DEBATA HISTORYCZNA

Czy w 1939 r. Polska miała inny wybór? Dwugłos: Sadkiewicz i Szeremietiew

Felieton Cejrowskiego: TikTok Won

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 40/393 28 WRZEŚNIA–4 PAŹDZIERNIKA 2020

„DOGMAT I TIARA" – NAJNOWSZA KSIĄŻKA LISICKIEGO O KRYZYSIE RZYMSKIEGO KATOLICYZMU

NIESPEŁNIONA NADZIEJA – MAŁGORZATA WOŁCZYK KREŚLI SYLWETKĘ URSULI VON DER LEYEN

PRZESILENIE

O co chodzi w sporze na prawicy? Analizują: Semka, Ziemkiewicz, Warzecha, Gociek

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

40 >

9 772299 850000

Nakład: 58 000 egzemplarzy

eprasa.pl 2fa62032cf

POLSKA WIELKI PROJEKT

NOWE POKOLENIE

X KONGRES
POLSKA
WIELKI PROJEKT

9-11 października 2020

W tym roku tylko transmisja online.
Zapraszamy do oglądania na stronę www.polskawielkiprojekt.pl

Paneliści:

Zbigniew Stawrowski • Andrzej Zybertowicz • Antoni Łepkowski • Antoni Libera • Andrzej Nowak • Andrzej Rychard • Bronisław Wildstein • Krzysztof Szczerski • Przemysław Żurawski vel Grajewski • Michał Łuczewski • Justyna Orłowska • Michał Łukasz Kamiński • Paweł Lisicki • Maciej Urbanowski • David Engels • Mateusz Werner • Krzysztof Noworyta • Sławomir Mazurek • Grzegorz Górny • Bolesław Stelmach • Krzysztof Ingarden • Kazimierz Łatak • Hubert Trammer • Andrzej Szczerski • Włodzimierz Bolecki • Dariusz Wieromiejczyk • Patryk Kencki • Piotr Bernatowicz • Maciej Mazurek

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Partnerzy

Patronat medialny

eprasa.pl 2fa82032cf

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Niebezpieczeństwo ekologizmu

Trudno przewidzieć, jak ostatecznie będzie wyglądała ustawa o ochronie zwierząt i czy zostanie przyjęta w formie, jaką zaproponował PiS. Jej wady prawne są oczywiste i trudno sobie wyobrazić, żeby przynajmniej w części nie zostały one usunięte. Nie interesuje mnie jednak pytanie, jaki był sens polityczny przegłosowania tej ustawy. To wszystko rzeczy ważne, ale mimo wszystko drugoplanowe. Istotą problemu jest to, że ustawa, jak uzasadnienia, jest znakiem daleko idącej uległości wobec ideologii radykalnego ekologizmu, którego naczelną zasadą jest dążenie do zatarcia różnic między człowiekiem a zwierzęciem.

Pokazuje to zarówno uzasadnienie nowego prawa, jak i towarzysząca jego wprowadzeniu debata. Niektórzy politycy prawicy zaczęli mówić o hodowli jako o „niedopuszczalnej przemocy wobec zwierząt", inni twierdzili, że producenci futer dopuszczają się „bestialstwa", jeszcze inni utrzymywali, że miarą ludzkiego humanitaryzmu jest stosunek do zwierząt, wreszcie zdarzali się i tacy, którzy mówili o godności zwierząt i o należnych im prawach. Wszystko to jest dość osobliwe i pokazuje, do jakiego stopnia, świadomie czy nie, w głowach polskich polityków – to samo dotyczy też przedstawicieli opozycji – zagnieździła się fałszywa, ideologiczna świadomość.

Otóż, po pierwsze, zwierzę nie ma żadnych praw, bo nie jest istotą moralną. Nie ma żadnych praw, tak jak nie ma żadnych obowiązków, nie ma bowiem ani rozumu, ani wolnej woli. Po drugie, człowiek ma prawo dla własnych potrzeb wykorzystywać zwierzęta i prawa człowieka mają pierwszeństwo przed ochroną zwierząt czy troską o nie. Dlatego żydzi i muzułmanie mają prawo dokonywać uboju rytualnego zgodnie z przepisami swojej religii, a prawodawca, który im tego odmawia, łamie zasady prawa naturalnego. Tak samo postępuje zresztą prawodawca, który przedkłada domniemany dobrostan zwierząt nad ludzkie prawo do własności. Z tego wszystkiego nie wynika, naturalnie, ani zgoda na okrucieństwo, ani na maltretowanie zwierząt, tyle że w żadnym wypadku nie wolno tych określeń odnosić do hodowców zwierząt, do producentów żywności, skór czy futer. Okrucieństwo to bezcelowe znęcanie się, to sycenie się bólem; produkowanie to działalność nastawiona na zaspokojenie potrzeb. Z tego punktu widzenia, po trzecie, nie ma żadnej różnicy moralnej między wykorzystywaniem zwierząt na skóry (paski, buty, teczki, płaszcze, kożuchy) czy na futra.

Żeby pokazać radykalną różnicę między człowiekiem a zwierzęciem, w pewnej dyskusji telewizyjnej posłużyłem się porównaniem, do którego ponownie się odwołam. Wyobraźmy sobie sawannę, pełną dzikich zwierząt. Wyobraźmy sobie pożar, który nagle na niej wybucha i sprawia, że wszystkie one mogą uciekać w jedną tylko stronę, ku górom, za którymi jest kolejna równina. Żeby się na nią przedostać, zwierzęta muszą przebiec przez wąski, skalisty wąwóz. Na jego środku stoi fotel z człowiekiem, tak słabym i chorym, że nie może z niego wstać. Wyobraźmy sobie, że tuż przed tym fotelem jest głęboka bezbrzeżnie przepaść, przecinająca wąski wąwóz, zakryta płytą. I wyobraźmy sobie, że jesteśmy zamknięci w wieżyczce i możemy wykonać tylko jeden ruch: podnieść zapadnię, uratować człowieka i sprawić, żeby w przepaści wylądowały tysiące zwierząt, lub nie, patrzeć spokojnie, jak te gigantyczne masy zdrowych zwierząt tratują samotnego, zapewne wkrótce już odchodzącego na tamten świat człowieka. Otóż nie ma wątpliwości, że naszą powinnością moralną jest podniesienie drążka i uratowanie człowieka. Na tym właśnie polega całkowita nieproporcjonalność, bezwzględna wyższość godności osoby ludzkiej w stosunku do zwierząt. Kto tego nie rozumie, ten nie głosi humanitaryzmu, ale ulega taniemu sentymentalizmowi.

Ma on kilka powodów. Pierwszym jest powszechnie przyjmowany i wpajany od szkoły ewolucjonizm. Drugim jest to coś, co niektórzy słusznie nazywają bambinizmem – we współczesnej kulturze masowej to zwierzęta jawią się jako mądre i rozumne, a człowiek jako uzurpator i zdobywca. Wreszcie zwycięstwo ideologii genderowej sprawiło, że człowiek definiowany jest nie przez swój rozum i wolną wolę, ale przez swoje instynkty, pożądania i pragnienia, czyli przez to, co zwierzęce.

Przyjęcie tej ustawy w dłuższej perspektywie może być początkiem przemiany polskiej prawicy. Dokąd ona prowadzi, łatwo zauważyć, obserwując rozwój na Zachodzie. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 2fa82032cf

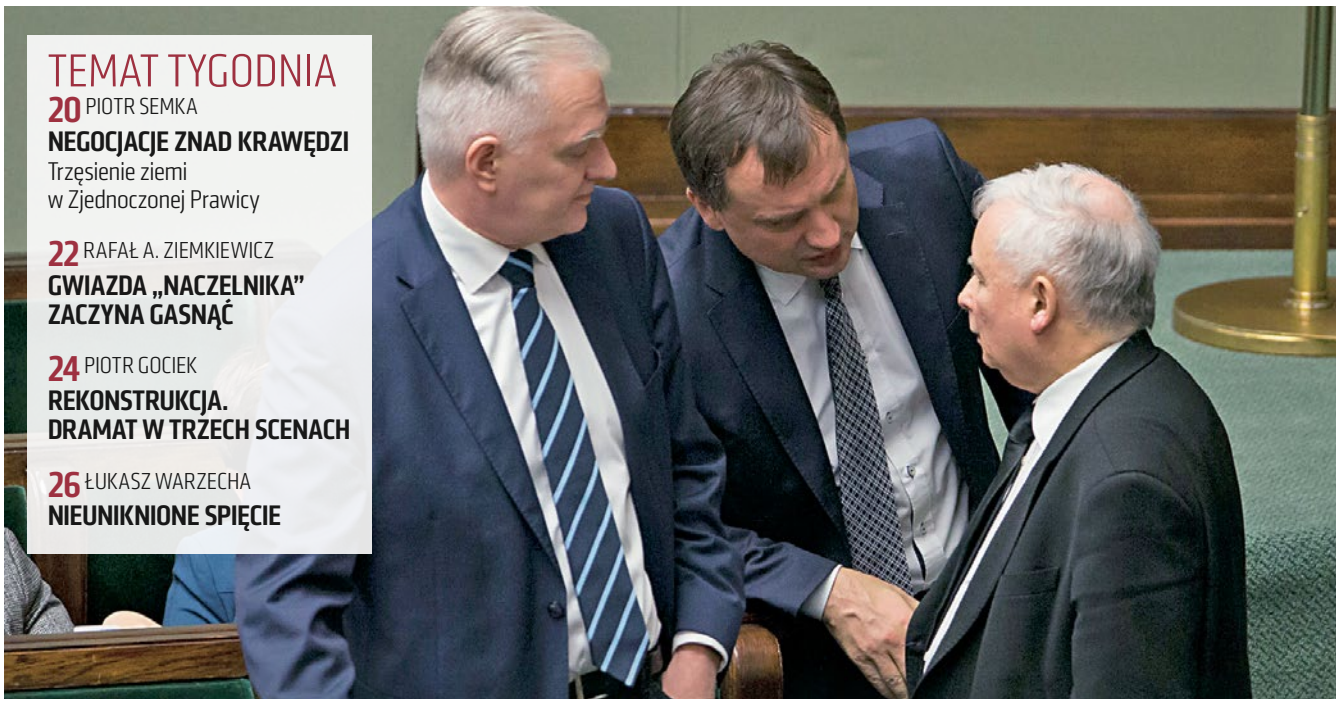

TEMAT TYGODNIA

20 PIOTR SEMKA
NEGOCJACJE ZNAD KRAWĘDZI
Trzęsienie ziemi w Zjednoczonej Prawicy

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GWIAZDA „NACZELNIKA" ZACZYNA GASNĄĆ

24 PIOTR GOCIEK
REKONSTRUKCJA. DRAMAT W TRZECH SCENACH

26 ŁUKASZ WARZECHA
NIEUNIKNIONE SPIĘCIE

KRAJ

28 KAMILA BARANOWSKA
OPOZYCJA NIEPOZBIERANA
Trudny czas Borysa Budki

30 MARCIN MAKOWSKI
FIKCJA UNIWERSYTECKA

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
Z PORTFELA SENIORA

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DUDA RZĄDZI, DUDA RADZI

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
WENECKI ŁĄCZNIK
Dolabella – malarz Wazów

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 PAWEŁ LISICKI
NASI BRACIA POGANIE
Fragmenty książki „Dogmat i tiara. Esej o upadku rzymskiego katolicyzmu"

HISTORIA

52 ROMUALD SZEREMIETIEW
NIESPEŁNIONY KOLABORANT
Debata nad Władysławem Studnickim

54 JAN SADKIEWICZ
LEKCJA WŁADYSŁAWA STUDNICKIEGO

debata DO RZECZY

56 ROZMOWA Z JACKIEM KOMUDĄ
ZNACZENIE MILITARNE WIZNY BYŁO OGROMNE

ŚWIAT

60 MAŁGORZATA WOŁCZYK
RÓŻYCZKA Z BRUKSELI
Ursula von der Leyen

64 JACEK PRZYBYLSKI
KONSERWATYŚCI ODZYSKAJĄ AMERYKĘ?

66 ROZMOWA Z DR. MIKIEM DAVIDSONEM
TĘCZOWE LOBBY CHCE NAS ZNISZCZYĆ

EKONOMIA

68 TOMASZ CUKIERNIK
ANTYPODY WOLNOŚCI
Nowozelandzki cud gospodarczy

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z BOGDANEM GAJEWSKIM
POTRZEBNA KROPKA NAD I
Choroby rzadkie – hemofilia

FELIETONY:

SEMKA (8), GMYZ, GOCIEK (10), ZIEMKIEWICZ, JUREK (12), KOWALCZUK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (62), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (76), ZALEWSKI, MAKOWSKI (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 2fa82032cf

Nagroda Nobla za immunoterapię w onkologii potwierdzeniem przełomu w leczeniu nowotworów

James P. Allison i Tasuku Honjo

zostali docenieni za

ODKRYCIE TERAPII PRZECIWNOWOTWOROWEJ

poprzez hamowanie negatywnej regulacji immunologicznej

James P. Allison
dyrektor oddziału immunoterapii w MD Anderson Cancer Center.

Opracował przeciwciało anty-CTLA-4.

Tasuku Honjo
immunolog z Uniwersytetu w Kioto.

Odkrył funkcję receptora PD-1.

IOPL2003052-01,05.2020

Bristol Myers Squibb™

Immuno-Onkologia

eprasa.pl 2fa82032cf

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl i zachęcamy do przesyłania korespondencji.

„Realizm i tragizm polityki", Paweł Lisicki, „DRz" 38/2020

Szanowny Panie Redaktorze!
Wielkie dzięki za artykuł wstępny i sprowadzenie na prostą drogę wszelkich dyskusji, często bezdowodnych, na temat popełnionego jakoby błędu w stosunku do ultimatum Hitlera w 1939 r. lub wręcz jako przyczyny wojny.

W tym kontekście interesujące jest przypomnieć przemówienie min. Becka z maja 1939 r., wygłoszone po spotkaniach i podpisaniu umów z Anglią i Francją o wzajemnej pomocy w razie agresji. Te pokojowe pakty zostały odebrane przez Hitlera jako akt antyniemiecki, krzyżujący plan Hitlera otwartej agresji na Zachód. Uważał on polskie umowy sojusznicze za automatyczne unieważnienie „deklaracji polsko-niemieckiej o niestosowaniu przemocy" podpisanej w 1934 r. Jednakże pakt z Polską „urządzał" Francję i Anglię, tworząc widmo drugiego frontu, który w istocie stał się jednostronnym Drang nach Osten. Nawet wypowiedzenie wojny Stalinowi w 1941 r., czyli „walki z bolszewizmem", było strategicznym kruczkiem do uziemienia wszelkiej pomocy aliantów dla zniewolonej Polski.

Nie należy zapominać, że Hitler robi swoją karierę na głębokim uczuciu upokorzenia narodu niemieckiego po przegranej wojnie 1914–1918. To nie ruski bolszewizm jest wrogiem numer jeden; to Francji i Wielkiej Brytanii należał się w pierwszym rzędzie rewanż. Dokonywał się on stopniowo pogwałceniem traktatu wersalskiego (1919): zerwaniem zobowiązań demilitaryzacji Nadrenii, anszlusem Austrii w marcu 1938 r., zajęciem Sudetów. Rok przed wybuchem wojny Hitler dokonuje aneksji i rozbioru Czechosłowacji oraz oświadcza po podpisaniu w Monachium kompromitującego Francję i Anglię paktu: „Teraz niech oni (Zachód) się zajmują swoimi sprawami, a ja swoimi na Wschodzie". Jako osoba Hitler daje dowody psychopatycznej przewrotności (każe m.in. zamordować swojego najbliższego przyjaciela). Wszystkie te fakty znane powszechnie w 1939 r. wskazywały na to, że celem Hitlera jest wojna jako wyjście Niemiec z kryzysu ekonomicznego i społecznego (moralnego), i wskazują jednoznacznie na nieuniknioną agresję na Polskę.

Szukając konkretnego pretekstu do ataku na Polskę, Hitler postawił ultimatum dotyczące odstąpienia Niemcom „korytarza" do Prus Wschodnich. Znaczyłoby to dla Polski zabranie dostępu do morza, a następnie nieuniknioną aneksję Gdyni z nowym portem zbudowanym przez Polaków. W obliczu tej niemieckiej ekspansji szukanie jakichkolwiek możliwości kompromisu z Hitlerem byłoby naiwnością. Pozornie harde użycie słowa „honor" w polskiej prasie sprzed 81 lat dawało do zrozumienia, że nie można było oczekiwać tej cechy od Niemców. Tragedia polska polega na nieistnieniu wariantów. Dzisiejsze dyskusje na ten temat i wątpliwości są nieuzasadnione.

Z poważaniem
Jerzy Kowal, Bruksela

Jestem patriotą!

Święta państwowe to doskonała okazja do celebrowania barw narodowych. [...] Czy jednak w tym wszystkim nie zapomnieliśmy się gdzieś, nie sprowadzamy tego, co ważne, do tego, co zwykłe i bez znaczenia?

„Jestem patriotą!" – odpowiada dumnie pan Jan zapytany o to, czy i on wywiesi flagę. „U mnie flaga wisi przez cały rok". I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie wygląd owej flagi. Biało-czerwone barwy już dawno nie są biało-czerwone. Czerwony kolor wypłowiał od słońca, natomiast biały... teraz jest szary.

Zastanawiające jest, kiedy się w tym wszystkim zagubiliśmy. Dlaczego właścicielom domków jednorodzinnych, ba – co gorsza niejednokrotnie i urzędnikom, nie przeszkadza, że to, co powiewa przed budynkiem, za nic nie przypomina naszej narodowej flagi? [...] Czy na tym ma polegać patriotyzm oraz miłość i szacunek do symboli narodowych, że raz wywiesiwszy flagę, zapominamy o niej całkowicie? A ta smagana przez wiatr, śnieg i deszcz po pewnym czasie traci swoją urodę. Jeżeli tak mamy postępować, to nie róbmy tego. Nie wywieszajmy flagi, jeżeli nie planujemy o nią dbać. [...]

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Zbyszek Kaczmarek/Reporter, Mateusz Włodarczyk/Forum; oprac. graf. PEGAZ/JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel. : 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 2fa82032cf

JAK POWSTRZYMAĆ ROTAWIRUSY?

– najważniejsze informacje:

PRAWDOPODOBIEŃSTWO WYSTĄPIENIA **ZAKAŻENIA ROTAWIRUSEM U DZIECKA DO 5. ROKU ŻYCIA**[1]:

- 100% – 1 RAZ
- 69% – 2 RAZY
- 42% – 3 RAZY

GŁÓWNE OBJAWY CHOROBY[2]:

- **Wymioty** (często gwałtowne) – trwające ok. 2 dni,
- **Wodnista biegunka** – trwająca 4-8 dni,
- **Gorączka** do 40°C.

DROGI ZARAŻENIA[2] – poprzez kontakt z:

- osobą zakażoną (dzieckiem lub dorosłym)
- osobą, która przenosi wirusy na rękach
- przedmiotem zanieczyszczonym wirusami

POWYŻSZE OBJAWY CZĘSTO PROWADZĄ DO ODWODNIENIA[3].

W EFEKCIE:
2 NA 5 DZIECI WYMAGA KONSULTACJI LEKARSKIEJ[1]
1 NA 20 WYMAGA POBYTU W SZPITALU[1]

ROTAWIRUSAMI ŁATWO SIĘ ZAKAZIĆ, BO:

- **95%** występują powszechnie – zakażeniu ulega ok. **95% dzieci do 5. roku życia**[3]
- do zakażenia dochodzi po **20 min** kontaktu z wirusem[1]
- wystarczy **10 cząsteczek** wirusa
- trudno je zabić środkami dezynfekcyjnymi, **mogą długo przetrwać na powierzchniach**[4]:
  - na rękach ponad **4 godz.**
  - na zabawkach do **10 dni**

ZACHOROWALNOŚĆ WŚRÓD DOMOWNIKÓW[1]:

1 OSOBA z chorobą rotawirusową = choruje **1** na **2** dzieci; choruje **1** na **3** osoby dorosłe **(WYMAGAJĄ ŚREDNIO 3,5 DNIA ZWOLNIENIA Z PRACY**[5]**)**

SPOSOBY ZAPOBIEGANIA BIEGUNCE ROTAWIRUSOWEJ[2]:

NIESKUTECZNE[2]:

mycie rąk, karmienie dziecka piersią, unikanie kontaktu z chorymi.

MYDŁO

SKUTECZNE[3]: SZCZEPIENIE OCHRONNE

90-100% dzieci jest chroniona przed ciężką biegunką rotawirusową i hospitalizacją.

70-90% dzieci wcale nie zachoruje.

Materiał powstał w ramach kampanii informacyjnej „Powstrzymaj rotawirusy"

1. Szymański H., Chmielewska A., Szajewska H., „Powikłania zakażenia rotawirusowego – przegląd piśmiennictwa", w Standardy Medyczne/Pediatria, nr 3, tom 14, 2017,
2. Red. Chybicka A., Dobrzańska A., Szczapa J., Wysoki J, „Pierwsze 2 lata życia dziecka. Przewodnik dla rodziców. Jak dbać o rozwój, pielęgnować i zapobiegać chorobom", Medycyna Praktyczna, 2012,
3. Jackowska T., Kowalska-Kuassi D., Ołdak E., Wysocki J., „Zakażenia rotawirusowe – aktualne zalecenia i propozycje dotyczące zapobiegania w: Pediatria Polska, tom 89, nr 3, maj-czerwiec 2014,
4. Mrukowicz J., Szajewska H., Vesikari T., Options for the Prevention of Rotavirus Disease Other Than Vaccination, w: Journal of Pediatric Gastroenterology and Nutrition,
5. Szczepienia przeciwko rotawirusom w pytaniach i odpowiedziach, Medycyna praktyczna – Szczepienia, wydanie specjalne 1/2015,

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Wszystkie działania niepożądane produktów leczniczych należy zgłaszać do Departamentu Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02-222 Warszawa, tel. (22) 492-13-01, fax (22) 492-13-09, zgodnie z zasadami monitorowani bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu www.urpl.gov.pl lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego zgłoszenie dotyczy. Treści zamieszczone w materiale mają wyłącznie charakter informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma konsultacji medycznej i nie mogą zastąpić konsultacji lekarza, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia.

Powstrzymaj ROTAWIRUSY

GSK Commercial Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 53, 02-697 Warszawa,
tel.: 22 576 9000, fax: 22576 9001, pl.gsk.com
NP-PL-ROT-WCNT-190001

gsk

eprasa.pl 2fa82032cf

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Jak to z Maurami było

Tabliczki z nazwą ulicy Mohrenstrasse (ulica Maurów czy – jak kto woli – Murzynów) w Berlinie są już zaklejone na krzyż czarną taśmą. Zgromadzenie radnych berlińskiej dzielnicy Mitte powiadomiło dzielnicowy urząd administracyjny o swej decyzji o zmianie nazwy ulicy. Na posiedzeniu 20 sierpnia uznano, że nazwa ma charakter rasistowski, a samo określenie „Maur" jest dodatkowo obraźliwe. Teraz urząd ma już tylko usunąć stare tabliczki. Nowym patronem ulicy został Anton Wilhelm Amo (ok. 1703–1759), pierwszy czarnoskóry filozof i prawnik wykształcony w Niemczech.

Historycy nadal spierają się, skąd się wzięła nazwa ulicy. Pierwszy zapis z 1834 r. głosi, że „nazwa ulicy pochodzi, jak mówią, od Maura, który służył margrabiemu ze Schwedt i dzięki hojności władcy mógł tu zbudować dom". Kolejna notatka jest już z 1885 r. i jej autor twierdzi, że król Prus Fryderyk Wilhelm I otrzymał w 1713 r. od Holendrów 159 ciemnoskórych janczarów i na tej ulicy mieli stacjonować. Tę teorię łatwo zanegować, bo nazwę ulicy wpisano do miejskiego rejestru już w 1707 r., a król Fryderyk rządził od 1713 r.

Najsolidniej jawi się teoria numer trzy, wskazująca, że tu w końcu XVI w. była zakwaterowana grupa Murzynów z Ghany, których elektor brandenburski próbujący stworzyć w Ghanie swoją kolonię kazał sprowadzić do Berlina. Tutaj ciemnoskórych chłopców rozdzielono między domy arystokratyczne w roli służących czy muzyków.

Ich porwanie z ojczyzny budzić musi współczucie, ale zazwyczaj pędzili oni los sto razy lepszy niż brandenburscy chłopi żyjący w pruskim ucisku feudalnym.

Czy nazwa Mohrenstrasse miała charakter obraźliwy? Raczej odzwierciedla ona myślenie z czasów epoki, gdy czarnoskórzy przybysze odgrywali rolę egzotycznej ciekawostki. Nie otaczanych wrogością, raczej traktowanych jak żywe maskotki. Jak wskazuje pisarz i podróżnik Philipp Ammon, w herbach wielu niemieckich miast jest motyw ciemnoskórych głów – np. Coburga, Pappenheim, Ismaning, Lauingen an der Donau, Möhringen an der Donau czy Oberkirchbergu. W wielu przypadkach są to nawiązania do ciemnoskórego św. Maurycego (tego od włóczni, którą Otton III obdarzył Chrobrego) lub do ciemnoskórych jeńców, którzy trafiali do Bawarii podczas wojen z Turcją. Wszystkie te symbole są pamiątką po kulcie św. Maurycego lub po rzadkich przypadkach przybycia „Maurów" wieki temu do miast, które wcześniej nie widziały osób o innym kolorze skóry. Na podobnej zasadzie hiszpańscy konkwistadorzy odkrywali u podbitych Inków znacznie starsze wyobrażenia brodaczy o białej skórze, którzy mogli być przybyszami z Europy, na wieki przed Kolumbem.

Wszystkie te argumenty nie trafiły do przekonania radnym dzielnicy Mitte. Wieści zza oceanu o ruchu Black Lives Matter skłaniają niemiecką lewicę do zmian nazw ulic. Kolejny kandydat do usunięcia to pomnik Bismarcka w Hamburgu. Część miejscowej lewicy zarzuca kanclerzowi, że to za jego rządów Niemcy zaczęli zdobywać kolonie. Żadne decyzje jeszcze nie zapadły, ale na cokole już wysprejowano napis: „Bismarck bye, bye". Akurat „żelaznego kanclerza" – gdyby ktoś chciał go zrzucić z postumentu – żegnałoby bez żalu bardzo wielu Polaków. ©℗

FOT. FRANK HOERMANN/SVEN SIMON/DPA/PAP

LEWANDOWSKI OPUŚCI BAYERN?

FC Barcelona oraz Juventus są poważnie zainteresowane przejęciem Roberta Lewandowskiego – poinformował w ubiegłym tygodniu niemiecki „Kicker". Nie są to tanie marzenia. Obecnie Polak przez transfermarkt.com wyceniany jest na 60 mln euro. Tymczasem 32-letni polski napastnik, mający kontrakt z Bayernem Monachium do 2023 r., znów zaimponował kibicom, tym razem niezwykłymi asystami w meczach z Sevillą (2:1 dla Bayernu w finale Superpucharu Europy) i z Schalke (8:0 dla Bayernu). *(jap)* ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

Z miłości do koni

Niedzielne wrześniowe przedpołudnie. Finały mistrzostw Polski w Jakubowicach. Na parkur wkracza para – jeździec i koń. Po półfinałach zajmują miejsce 11., ale dziś, po bezbłędnym przejeździe, zdobędą nie tylko złoto, lecz także serca publiczności.

Kim jest zwycięska para? Koń to klacz rasy oldenburskiej o imieniu Tokajer, potomkini ogiera Tinka's Boy, na którym Szwajcar Markus Fuchs wielokrotnie zdobywał medale najważniejszych zawodów, m.in. Pucharu Świata. Amazonka to 17-letnia Juliana Suska. Mistrzyni Polski Juniorów. Jedna z najbardziej doświadczonych i najciekawszych zawodniczek młodego pokolenia.

PIERWSZE SUKCESY

Juliana zaczęła jeździć w wieku dziewięciu lat, w roku 2012, a cztery lata później startowała już w konkursach międzynarodowych. W 2016 r. zdobyła brązowy medal na mistrzostwach Polski, Grand Prix na zawodach w Austrii i została powołana do kadry narodowej Polski w kategorii Dzieci. Kolejne zawody, tym razem w mistrzostwach Europy w Irlandii, zakończyła z najlepszym wynikiem spośród zawodników z Polski i weszła do ścisłego finału konkursu. Rok 2017 to złoto w Halowym Pucharze Polski i drużynowy brązowy medal mistrzostw Europy w Šamorín na Słowacji. Wszystkie te zwycięstwa są ważne, ale jest coś jeszcze. Wyjątkowa wytrwałość.

GROŹNY WYPADEK I WSPANIAŁY POWRÓT

Dwa miesiące po mistrzostwach w Šamorín Juliana bierze udział w Zawodach Pucharu Polski w Dąbrówce. Podczas jednego z treningów jej koń staje dęba i przewraca się, łamiąc zawodniczce trzy kości, w tym m.in. kość biodrową. Powrót do zdrowia trwa kilka miesięcy. Juliana wraca na parkur tak szybko, jak to możliwe, i już w lutym 2018 r. wygrywa w Halowym Pucharze Polski w Lesznie. Zostaje powołana do kadry narodowej, tym razem w kategorii Juniorów. W tym samym roku odnosi sukcesy także na zawodach m.in. w Linzu i Fontainebleau. W 2019 r. staje na podium Grand Prix CSIOJ w czeskich Zduchovicach. Zajmuje także trzecie miejsce w mistrzostwach Polski w Jakubowicach. W roku 2020 poprawia wynik z 2019 r. Wraca do Jakubowic i sięga po złoto.

MISTRZOWSKI PRZEJAZD

To było zwycięstwo w pięknym stylu, tym bardziej że po półfinałach zajmowała dopiero 11. miejsce. Jak sama tłumaczy, zaczynając jazdy finałowe, nie liczyła na zwycięstwo, mimo to jedyna bezbłędnie pokonała trasę i wskoczyła na pozycję lidera, której nie oddała już do końca, zdobywając mistrzostwo Polski i uznanie komentatorów. – Bezbłędny, piękny, mistrzowski przejazd – przyznawali obserwatorzy. Dodając, że Tokajer „ma chyba oczy w nogach", z taką wirtuozerią pokonywała przeszkody. Niemożliwe stało się możliwe.

SUKCESY, KTÓRE MAMY PRZED SOBĄ

Juliana jest zawodniczką Klubu Sportowego Euro Holding. Od pięciu lat jej trenerem jest Grzegorz Kubiak, wielokrotny reprezentant Polski w finałach Pucharu Świata, uczestnik igrzysk olimpijskich w Atenach. To z nim przygotowuje się do wszystkich zawodów. Niestety w tym roku, z powodu pandemii, odwołano wiele z nich, w tym m.in. młodzieżowe mistrzostwa Europy. – Mam nadzieję, że za rok mistrzostwa już się odbędą, że będę mogła ponownie w nich uczestniczyć. Chciałabym zaprezentować się jak najlepiej – mówi Juliana Suska. Polskie jeździectwo ma wspaniałe tradycje, ale młodzi zawodnicy swoim talentem i wytrwałością pokazują, że być może największe sukcesy mamy dopiero przed sobą.

eprasa.pl 2fa82032cf

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

No i stało się. Musimy wymyślić nową ksywę dla Naczelnika Państwa. Wchodzi bowiem do rządu, a to ważna zmiana. Po dłuższym namyśle proponujemy wersję bardzo tradycyjną: „Jarosław Kaczyński SWP". Rozwija się to jako „szeregowy wicepremier". To logiczny awans dla kogoś, kto do niedawna był jedynie szeregowym posłem.

Przy okazji chcemy uświadomić wszystkim, że to, co ostatnio obserwowali, to nie żadna rekonstrukcja, rekonstrukturyzacja, negocjacje, kryzys czy przesilenie. Jak od 2015 r. mówiono na Nowogrodzkiej, wejście Kaczyńskiego do rządu to ostateczność. Zatem to, co nas teraz ogarnia, możemy nazwać czasami ostatecznymi.

Zabawna rzecz. Plotka o tym, że Jarosław SWP ma wejść do rządu, pojawiła się dwa tygodnie temu, ale nikt w nią nie wierzył, bo po pierwsze, dlaczego akurat na wicepremiera, a po drugie, wypłynęła z okolic ziobrystów. Inna sprawa, że dzięki temu wiemy już, jak rozpoznać, kiedy paru ministrów mija się z prawdą. Otóż podpytywani przez nas, czy mogą potwierdzić, odpowiadali, że nie, że bzdura, ale jakoś tak dziwnie sztucznie dementowali – coś między żachnięciem a udawanym śmiechem. Odnotowaliśmy w pamięci ten unikatowy dźwięk, będziemy w przyszłości wiedzieć co i jak.

Tak czy inaczej wychodzi na to, że teraz w pomniejszonym rządzie niemal połowa ludzi będzie wicepremierami. No dobra, może jedna trzecia. Ale to i tak bardzo interesujący wynik.

Groźba powstania rządu mniejszościowego – musimy wam przyznać – mocno podziałała. Znaczy w minionym tygodniu w biurach i biurkach polityków oraz krewnych i znajomych Solidarnej Polski odbywało się w pośpiechu wielkie sprzątanie. Największe sprzątanie trwało w prokuraturach. Wreszcie swoje zastosowanie znalazły maszyny spełniające najwyższe standardy NATO, jeśli chodzi o niszczenie informacji niejawnych. W sumie dobrze, do świąt bliżej, niż się wydaje, w końcu trzeba było posprzątać.

Największe sprzątanie odbywało się u prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego. Oczywiście chodzi o ploteczkę, jakoby PiS zażądał jego głowy. Nasze wiewiórki twierdzą nawet, że zaczął zdejmować obrazy ze ścian. W odróżnieniu od partyjnych kacyków, którzy ogołacali ściany w Komitecie Centralnych, w odróżnieniu od urzędników Komora, którzy upłynnili „Gęsiarkę", krajowy nabył dzieła sztuki za swoje własne pieniądze, a zlecenie namalowania niektórych wydał osobiście. Dodajmy, że w centralnym punkcie wisi okazała kopia „Carów Szujskich przed Zygmuntem III". Bardziej znana jako „Hołd ruski". Boguś, jak nazywają go przyjaciele, chętnie nabyłby oryginał, ale z jakiegoś powodu nie jest na sprzedaż.

Podczas gdy w jednym z członów koalicji rozgrywały się wydarzenia tragiczne (tak nazywamy niespodziewane, acz dokładne sprzątanie), w drugim wręcz przeciwnie, było zabawnie. Całkiem niedawno. Na przykład w Poznaniu wiceszefem lokalnego Porozumienia został niejaki Jarosław Pucek. Kiedyś w Unii Wolności, potem w Platformie, a tak w ogóle to pupil byłego prezydenta Poznania Ryszarda Grobelnego. Zygzakowatą karierę Pucka dopełnia start w wyborach na prezydenta miasta przeciw kandydatowi Zjednoczonej Prawicy oraz start na senatora jako kandydat Zjednoczonej Prawicy. Jednak nie to jest zabawne, lecz fakt, że żeby uniknąć dyskusji na temat kontrowersyjnego kandydata, Jadwiga Emilewicz, szefowa Porozumienia w Poznaniu, zapisała go do partii godzinę przed wyborem władz.

Przy okazji bardzo nas ubawił nagłówek „Der Faktu" o tym, że Jarosław Kaczyński SWP idzie do rządu, żeby zarobić fortunę. Biorąc pod uwagę, że przeciętny minister zarabia dziś mniej więcej tyle, ile bardzo obrotny zbieracz złomu, było to naprawdę zabawne. A Kaczyński SWP, gdyby naprawdę chciał zarobić, to przecież zostałby urzędnikiem warszawskim. Albo przynajmniej ordynatorem w szczecińskim szpitalu.

Apropos szczecińskich szpitali i nie tylko. CBA w ubiegłym tygodniu urządziło marsz przez instytucje. A konkretnie instytucje związane z marszałkiem Senatu Grodzkim Tomaszem. Podobno wniosek o uchylenie mu immunitetu nabiera rumieńców. A teraz to, co najlepsze: Do kogo zgodnie z prawem kieruje się wniosek o uchylenie immunitetu senatorowi? Tak. Zgadliście, do marszałka Senatu. Jakie to szczęście, że Grodzki jest nadmarszałkiem, a nawet marszałkossimusem. To musi być jakiś inny urząd.

Źli ludzie z CBA opowiadają także, że jedna ze zmian na ministerialnych stanowiskach w ramach rekonstrukturyzacji rządu może mieć związek z pewnymi wątpliwościami co do pewnej działalności pewnego podmiotu i działań pewnego ministra. I w związku z tym pewnie niedługo będzie głośno. Pożyjemy, zobaczymy.

Tymczasem w Warszawie. Chcielibyśmy zauważyć, że w obliczu wielkiej katastrofy finansów stolicy, do której doprowadził Rafcio Czajkowski, ksywa Trzaskowski, wielkie oszczędzanie zaczęło się wcześniej, niż ktokolwiek przypuszczał. Dużo wcześniej niż awaria w niesławnej oczyszczalni. Otóż dysponujemy zdjęciami kwiatów, które Rafcio składał 1 sierpnia pod pomnikiem i pod tablicami powstańców warszawskich. No i, jakby tu powiedzieć, te kwiaty są sztuczne. Podziwiamy. Cóż za oszczędność! Za rok czy dwa lata wystarczy tylko przetrzeć szmatką i będą jak nowe.

Na koniec wieści z Włoch. Wiecie, jaka jest definicja groteski? I tragedia, i komedia równocześnie. Otóż Anna Maria Anders, córka gen. Władysława Andersa, złamała nogę. Gdzie? Na Monte Cassino. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

Pekao: wyniki polskich firm będą się poprawiać

FOT. ADOBE STOCK

Polskie przedsiębiorstwa relatywnie dobrze poradziły sobie z wyzwaniami biznesowymi, jakie postawiła przed nimi pierwsza faza kryzysu COVID-19 – wynika z raportu przygotowanego przez ekonomistów Banku Pekao S.A.

Mogło być znacznie gorzej – taki wniosek wyłania się z danych zaprezentowanych w najnowszym raporcie Banku Pekao S.A. „Krajobraz po bitwie. Wyniki sektora przedsiębiorstw w pierwszym półroczu 2020 roku”. Wprawdzie nie udało się uniknąć spadku przychodów przez firmy, i tak łagodzonego przez niektóre elementy tarcz antykryzysowych, jednak dość skutecznie neutralizowały one ten ubytek dzięki optymalizacji kosztów.

POLSKA WŚRÓD NAJLEPSZYCH

PKB Polski spadł w drugim kwartale o rekordowe 7,9 proc. To niewielki spadek w porównaniu z takimi krajami jak Francja, Hiszpania czy Włochy, w których gospodarka skurczyła się o co najmniej 20 proc. Polska była też jednym z zaledwie trzech krajów UE, w których spółki były w stanie w kryzysowym drugim kwartale roku zwiększyć rok do roku swoją nadwyżkę operacyjną brutto.

– Polskie przedsiębiorstwa poradziły sobie nad wyraz dobrze w sytuacji, na którą nikt nie był w stanie się przygotować. Pomogła mniejsza skala recesji niż na Zachodzie, dość elastyczne dostosowania po stronie kosztowej firm, ale też znaczne – w relacji do skali działalności – wsparcie finansowe państwa, widoczne już w wynikach drugiego kwartału – tłumaczy Ernest Pytlarczyk, Główny Ekonomista Banku Pekao S.A. – Wszystko to zadziałało stabilizująco na sytuację krajowych podmiotów w pierwszej, krytycznej fazie kryzysu, co być może pomoże uniknąć kulminacji problemów w kolejnych okresach. Tym bardziej że w mijającym właśnie kwartale obserwujemy ożywienie gospodarcze, którego motorem napędowym są rosnąca konsumpcja oraz odradzający się eksport. Jeżeli taki stan rzeczy będzie utrzymywał się również na jesieni, to będziemy mogli mówić o realnym wychodzeniu z kryzysu – dodaje Pytlarczyk.

Najnowszy raport Banku Pekao S.A. wskazuje na spadek zysków polskich przedsiębiorstw o 18 proc. względem analogicznego okresu w roku 2019. Jednocześnie obecny kryzys w coraz większym stopniu przyjmuje charakter sektorowy. Eksperci Pekao wzięli pod lupę wyniki finansowe w pierwszej połowie 2020 r. w rozbiciu na poszczególne branże gospodarki, analizując, gdzie pogorszyły się one w największym stopniu, a gdzie wręcz uległy poprawie. Kryzys uderzył głównie w branże dotknięte restrykcjami wprowadzonymi w celu ograniczenia skutków pandemii. Najbardziej ucierpiały więc hotele i restauracje (spadek przychodów ze sprzedaży aż o 28,6 proc. r/r), górnictwo i wydobycie (spadek o 13 proc.), administrowanie i wsparcie firm (spadek o 10,1 proc.) oraz przetwórstwo przemysłowe (spadek o 7,4 proc.). Z kolei najwyższe wzrosty osiągnęły takie sektory jak gospodarka wodna i odpadami (wzrost przychodów ze sprzedaży o 7,4 proc. r/r), informacja i telekomunikacja (wzrost o 4,9 proc. r/r) oraz budownictwo (wzrost o 4,5 proc. r/r).

Kryzys związany z pandemią COVID-19 wyróżnia się na tle tych, z którymi krajowa gospodarka zmagała się w przeszłości. O ile sektor MŚP radził sobie z kryzysem o wiele lepiej, niż można było zakładać, o tyle wpływ „światowego lockdownu” na największe firmy był relatywnie silny. W tej grupie skala spadku przychodów ze sprzedaży okazała się największa i wyniosła 6 proc. r/r. Przyczyny tego stanu rzeczy należy upatrywać w silniejszej ekspozycji dużych koncernów na sprzedaż zagraniczną, która w warunkach bardzo trudnej sytuacji epidemicznej w wielu krajach Europy Zachodniej ucierpiała zdecydowanie mocniej aniżeli popyt krajowy, choć niemały wpływ na mniejszą skalę spadków przychodów małych i średnich podmiotów miały w II kwartale 2020 r. również niektóre elementy tarczy (np. dofinansowanie kosztów pracy).

STOPNIOWY POWRÓT DO NORMALNOŚCI

Polska należy do wąskiej grupy krajów, w których pracownicy odczuli skutki kryzysu mocniej niż ich pracodawcy. Ci pierwsi tylko pozornie jednak zaliczają się do przegranych obecnego kryzysu. Zastosowanie elastycznych rozwiązań w zakresie wymiaru czasu pracy oraz tzw. postojowego pozwoliło bowiem uniknąć fali zwolnień, a skala spadku średnich wynagrodzeń była i tak mniejsza niż w przypadku pozostałych krajów UE.

Firmy w Polsce wciąż odczuwają dużą niepewność co do rozwoju sytuacji epidemicznej i jej oddziaływania na gospodarkę, ale zdaniem ekonomistów Pekao możemy już mówić o stopniowym powrocie do normalności. Według prognoz Banku Pekao S.A. PKB Polski w III kwartale 2020 r. wzrośnie o ok. 8 proc. w ujęciu kw./kw.

Kluczowe dla wychodzenia z kryzysu przez przedsiębiorstwa mogą okazać się długofalowe efekty wprowadzonych programów pomocowych czy tarczy antykryzysowej. Dla części z nich, zwłaszcza tych funkcjonujących w najbardziej wrażliwych sektorach gospodarki, dopiero kolejne kwartały mogą okazać się prawdziwym testem. Nieuchronne w ich przypadku wydają się m.in. dalsze działania optymalizacyjne, w tym w zakresie kosztów pracy (a więc również zatrudnienia).

eprasa.pl 2fa82032cf

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nowa Unia

Pozornie drobna zmiana w unijnych przepisach, dotycząca sposobu rozumienia pojęcia „siedziby przedsiębiorstwa", może być kolejnym ciosem w naszą konkurencyjność w Unii Europejskiej, a przy okazji dodatkowo zmniejszyć wpływy do i tak ledwie zipiącego ZUS. Jak zwykle za pomysłem stoi Francja, która od kiedy rządzi nią Emmanuel Macron, nieustannie kombinuje, jak by tu jeszcze zaszkodzić „polskiemu hydraulikowi". Konkurencyjność naszych firm na Zachodzie wynika z tego, że płacą one składki ubezpieczeniowe i inne opłaty w Polsce jako kraju, gdzie mają siedziby. A Francja chce, żeby musiały płacić je tam, gdzie działają.

Nikt oczywiście nie bierze pod uwagę, że ten nasz – jak nazywa go „stara Unia" – socjalny dumping to nie żadne przywileje, tylko część umowy, w ramach której otworzyliśmy swoje rynki na zachodnie towary i usługi. Zachód Europy zarobił na tym krocie, natomiast ze swojej części dealu nie chce się wywiązywać. Wspomniany drobiazg jest przecież tylko jednym z elementów procesu wykańczania gospodarek środkowej Europy, którego najbardziej znaną częścią była „dyrektywa o pracownikach delegowanych".

To nie jest przypadek, to jest zaplanowana zmiana samej istoty Unii Europejskiej. To, co powstało jako organizacja gospodarcza, chce się stać superpaństwem. To, co zakładało równe prawa wszystkich członków, zamienia się w narzędzie kolonialnej dominacji Niemiec i innych państw Zachodu nad Wschodem i Południem. Fundamentalna zasada trzech swobód gospodarczych – przepływu kapitałów, towarów i usług oraz pracowników – jest odrzucana, natomiast narzucane są podstawy ideologiczne, swobodnie przez Zachód interpretowane „wartości europejskie", mające legitymizować systemową przewagę unijnej metropolii nad „cywilizowanymi" przez nią peryferiami.

Kiedy w Unii Europejskiej będzie lepiej? Obawiam się, że już było. Realizację tego neokolonialnego planu widać w coraz liczniejszych przejawach i chyba trudno liczyć, że eurokraci sami wyrzekną się tej nowej „misji białego człowieka". Najwyższy czas leczyć się z wiary, że Unia to poczciwa hojna ciocia, i zacząć działać. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Grzmoty znad Renu

Parlament Europejski znowu zabrał się za Polskę. Co go zatrwożyło tym razem? W Polsce toczą się „procesy mające na celu uciszenie lub zastraszenie niezależnych mediów" (art. 44), wolności słowa zagraża ustawa o IPN (art. 47), nauczycielom grożą kary więzienia „za nauczanie" o „stosunkach intymnych" (art. 54). W trakcie „polskiego Stonewall" (!) doszło do „masowych aresztowań, których ofiarą padło 48 działaczy LGBTI", a o ich losie „informował zespół Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur" (art. 62). PE jest oburzony nie tylko społeczną inicjatywą ustawodawczą #ZatrzymajAborcję, lecz także samym polskim prawem, bo „restrykcyjne przepisy dotyczące aborcji" naruszają, a jakże, „prawa człowieka" (art. 56).

I jeszcze kwiatek wyjątkowo oryginalny: Parlament Europejski „głęboko ubolewa" nad stanowiskiem (!) Konferencji Episkopatu Polski, zawierającym sugestię, że homoseksualiści chcący uwolnić się od tej skłonności mogą zdecydować się na „terapię konwersyjną". Parlament wzywa do karania takich praktyk medycznych, nie wyjaśnia jedynie, czy chodzi tylko o karanie lekarzy, czy również – o karanie mężczyzn (art. 63).

Parlamentowi Europejskiemu nie sposób odmówić specyficznego poczucia historii. Rezolucję tę przyjęto 17 września. Jakby dla upamiętnienia wojennej noty rządu sowieckiego uchwalono, że w Polsce należy „zwalczać uprzedzenia i negatywne nastawienie do mniejszości narodowych i etnicznych" (art. 58). Wybór tej daty i wszystkie opisane wątki można by traktować jako ponure głupoty, jednak autentyczną miarę hańby przekracza upomnienie się przez Parlament – w rocznicę dobicia niepodległej Polski – o prawo do oskarżania Polski (jako Polski właśnie) o współudział w Holokauście (art. 47).

Chciałoby się powiedzieć, że Parlament Europejski to nie Unia. Jednak rezolucję tę przyjęto większością ponad dwóch trzecich głosów. Niestety, to jest właśnie Unia, z takimi państwami i w takich czasach ją zawarliśmy. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

Walka o godność i prawo do życia. Przemoc wobec kobiet w Polsce i na świecie

Przemoc wobec kobiet to zarówno forma dyskryminacji ze względu na płeć, jak i naruszenie podstawowych praw człowieka, w tym do wolności oraz godności. Są kraje, w których kobieta nadal jest istotą „niższej kategorii". W Polsce ostatnie zmiany w prawie to wręcz rewolucyjna poprawa ochrony kobiet przed przemocą, w tym tą najtrudniejszą do zidentyfikowania – domową

Kończy się druga dekada XXI w., a mimo to kobiety w wielu krajach świata wciąż padają ofiarami przemocy fizycznej, psychicznej i seksualnej. Dotyczy to zarówno krajów, w których kobieta ma oficjalnie znacznie mniejsze prawa niż mężczyzna, jak i regionów uznawanych za zdecydowanie bardziej cywilizowane, w tym Europy. Ustawodawcy różnych krajów i organizacje międzynarodowe od wielu lat próbują doprowadzić do poprawienia smutnych statystyk oraz zmiany w sposobie myślenia ludzi i działania systemów prawnych. Nie ma bowiem wątpliwości, że przemoc w rodzinie narusza podstawowe prawa człowieka, w tym prawo do życia i zdrowia oraz poszanowania godności osobistej. Problemem jest jednak znalezienie rozwiązań, które w praktyce wezmą kobietę pod rzeczywistą ochronę.

W państwach islamskich nadal dochodzi do „honorowych morderstw". Kobiety są też poddawane karygodnym represjom m.in. w Afganistanie, Arabii Saudyjskiej czy Pakistanie.

Niestety, przemocy doświadcza również wiele Europejek. Z badania „Przemoc wobec kobiet", przeprowadzonego na zlecenie Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej (FRA), wynika, że jedna na 10 badanych kobiet w UE doświadczyła przemocy seksualnej od ukończenia 15. roku życia, a jedna na 20 została zgwałcona. Jednocześnie zaledwie 14 proc. kobiet zgłosiło policji doświadczony przez nie najpoważniejszy przypadek przemocy w rodzinie, natomiast najpoważniejszy przypadek przemocy pozadomowej zdecydowało się zgłosić policji 13 proc. kobiet. Z rezolucji Parlamentu Europejskiego w sprawie eliminacji przemocy wobec kobiet z 2009 r. wynika, że szczególnie narażone na przemoc oraz dyskryminację są kobiety starsze oraz niepełnosprawne (trzykrotnie bardziej niż kobiety pełnosprawne).

PRAWO DO ŻYCIA

Z przemocą wobec kobiet od lat walczą różnego typu organy międzynarodowe. Z dokumentów tych jasno wynika, że jest ona naruszeniem podstawowych praw i wolności człowieka, w tym prawa do życia i zdrowia, a także poszanowania życia prywatnego i rodzinnego. Jednocześnie zauważają one, że cierpienia kobiet wynikają nie tylko z przemocy fizycznej czy seksualnej, lecz także psychologicznej czy ekonomicznej.

W grudniu 1979 r. ONZ przyjęła Konwencję w sprawie likwidacji wszelkich form dyskryminacji kobiet (CEDAW), która została ratyfikowana przez 187 państw. Według artykułu 1 Konwencji CEDAW „Dyskryminacja kobiet oznacza wszelkie zróżnicowanie, wyłączenie lub ograniczenie ze względu na płeć, które powoduje lub ma na celu uszczuplenie albo uniemożliwienie kobietom, niezależnie od ich stanu cywilnego, przyznania, realizacji bądź korzystania na równi z mężczyznami z praw człowieka oraz podstawowych wolności w dziedzinach życia politycznego, gospodarczego, społecznego, kulturalnego, obywatelskiego i innych".

W 1993 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło także Deklarację o eliminacji przemocy wobec kobiet, a sześć lat później Protokół fakultatywny do Konwencji w sprawie likwidacji wszelkich form dyskryminacji kobiet. W sprawie przemocy wobec kobiet w Europie wiele dokumentów przyjęła także Rada Europy. W 2012 r. Parlament Europejski i Rada Europejska przyjęły zaś Dyrektywę ustanawiającą normy minimalne w zakresie praw, wsparcia i ochrony ofiar przestępstw.

Problematyka przemocy wobec kobiet pojawia się również w orzecznictwie m.in. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. W słynnej sprawie Opuz przeciwko Turcji skarżąca oraz jej matka przez wiele lat padały ofiarami napaści ze strony męża skarżącej i chociaż doznały także poważnych obrażeń ciała, w tym ran kłutych, to państwo ukarało go jedynie niewielką grzywną. Gdy bojące się o życie kobiety próbowały wyprowadzić się z domu, mężczyzna „w obronie honoru" zastrzelił teściową, ale choć został uznany za winnego zabójstwa, to i tak zwolniono go na czas czekania na wyrok sądu kolejnej instancji. Trybunał orzekł, że Turcja nie wywiązała się z obowiązku zapewnienia skarżącej stosownej ochrony, przez co naruszyła m.in. przepisy dotyczące zakazu tortur, nieludzkiego lub poniżającego traktowania, a także artykuł dotyczący zakazu dyskryminacji kobiet. Podobne wyroki zapadały również w sprawach przeciwko Chorwacji, Bułgarii czy Słowacji.

PRZECIW PRZEMOCY

Polski rząd prowadzi m.in. Krajowy Program Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie na lata 2014–2020. O skuteczniejsze narzędzia do walki z przemocą wobec kobiet i przemocą w rodzinie od kilku lat konsekwentnie zabiega Ministerstwo Sprawiedliwości. Znowelizowane ustawy o policji i żandarmerii wojskowej pozwalają policjantom na podjęcie decyzji o natychmiastowej eksmisji sprawcy przemocy domowej z zastosowaniem zakazu zbliżania się do ofiar. Nowe prawo połączone jest z bardzo szybką ścieżką kontroli tej decyzji przez sąd.

30 kwietnia 2020 r. Sejm niemal jednogłośnie uchwalił przygotowaną w Ministerstwie Sprawiedliwości ustawę antyprzemocową, dzięki której sprawcy przemocy domowej będą natychmiast izolowani od swych ofiar. To bardzo ważny krok, ponieważ wcześniej tego typu sprawy ciągnęły się miesiącami. Dzięki nowelizacji przepisów ofiara nie musi już nagle opuszczać własnego domu i szukać schronienia poza nim, ale to sprawca zostaje usunięty ze wspólnego miejsca zamieszkania.

W Polsce policyjne statystyki wykazują, że każdego roku 90 tys. kobiet (a 250 tys. osób w ogóle) doświadcza przemocy domowej. Ustawa antyprzemocowa ma sprawić, że ofiary mogą liczyć na szybką i skuteczną pomoc.

eprasa.pl 2fa82032cf

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Zabić księdza

W Como w północnych Włoszech doszło do wstrząsającej tragedii. 51-letni ks. Roberto Malgesini, który całkowicie poświęcił się pomocy biednym i potrzebującym, został zamordowany nożem przed swoim kościołem przez jednego z tych, którym pomagał, Mahmoudiego Ridhę z Tunezji. Jak mówią jego wierni i ci, których wspierał, księdzu towarzyszyła aura świętości.

Papież Franciszek podczas audiencji generalnej, wspominając Don Roberta, powiedział, że był księdzem ostatnich i opuszczonych, a został zabity przez osobę w potrzebie, chorą na głowę. Jałmużnik papieski, kard. Konrad Krajewski, wziął udział w nabożeństwie żałobnym, przekazując rodzinie duchownego, a także przebywającemu w więzieniu Tunezyjczykowi różańce od Ojca Świętego.

Dyrektor diecezjalnego Caritasu, który też Tunezyjczykowi pomagał, zawyrokował, że ks. Malgesini „padł ofiarą gęstniejącej atmosfery nienawiści bardziej niż osoby, która go zabiła". Słowem – tragedii jest winne społeczeństwo włoskie, a konkretnie mieszkańcy Como, którzy nienawiścią do imigrantów i obojętnością na ich los niejako sprowokowali go do morderstwa. Tę pokrętną interpretację, zgodną z kanonami zideologizowanej socjologii, podchwyciły natychmiast wszystkie postępowe włoskie media i ideolodzy postępu społecznego.

Ridha przybył do Włoch w 1993 r. Otrzymał nakaz opuszczenia Italii, ale uratowało go małżeństwo z o 20 lat starszą Włoszką. Jednak jako że żonę maltretował i wymuszał od niej pieniądze, kobieta w 2014 r. się z nim rozwiodła. W związku z tym rok później po raz pierwszy cofnięto mu pozwolenie pobytu. W 2020 r. otrzymał czwarty już nakaz opuszczenia Włoch, wstrzymany z powodu pandemii. Czekał na decydujący wyrok w tej sprawie. Ubzdurał sobie, że Don Roberto i adwokat zmówili się, żeby zmusić go do powrotu do Tunezji, więc zabił księdza. Tak powiedział śledczym. Poza tym miał na koncie wiele pospolitych przestępstw.

Może więc jednak ksiądz padł ofiarą tolerowania nielegalnej imigracji i złego człowieka? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Zdecydowane rozstrzygnięcia

Jeżeli ktoś sądził, że do następnych wyborów będziemy się nudzić, to nie docenił zdolności dramaturgicznych naszych polityków. „Zakończyła się narada kierownictwa PiS-u. Podjęto decyzje o zdecydowanych rozstrzygnięciach. O szczegółach poinformujemy w stosownym czasie" – zatweetowała rzecznik partii, Anita Czerwińska. Nawet tak oszczędnymi słowami zainspirowała komentatorów. „To jest bardzo dobry patent na tekst SMS-a do domu. Idę z kolegami podjąć zdecydowane rozstrzygnięcia. Wrócę w stosownym czasie" – stwierdził Michał Majewski.

Inspirujące były również dialogi wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. „Jacek Ozdoba: »Zbigniew Ziobro musi być prokuratorem generalnym i ministrem sprawiedliwości«. Taki jest skutek zmiękczania Solidarnej Polski podczas negocjacji koalicyjnych?" – zapytał Michał Szułdrzyński. „Parafrazując znane przysłowie; »Musi to na Rusi, a w Polsce jak premier Jarosław Kaczyński chce«" – odpowiedział mu, a właściwie koledze z koalicji, Krzysztof Sobolewski.

Nie wszyscy docenili jednak kunszt politycznych szachów, rozgrywanych przez Jarosława Kaczyńskiego. „Zgadzam się, że mamy do czynienia nie tylko z demoralizacją rządzących, ale także z demoralizacją opinii publicznej. Żadna afera PiS nie zmiotła PiS, choć kiedyś mniejsze afery rozsadzały władzę. Zaślepiony lub zahipnotyzowany suweren akceptuje niegodziwości. To jest współudział" – oskarżył prokurator in spe Przemysław Szubartowicz.

À propos egzotycznych rejonów intelektualnych, w które zapuszczają się niektórzy dziennikarze. „Koniec Zjednoczonej Prawicy? Jeśli ten rząd rzeczywiście upadnie, to Janusz Schwertner, który ruszył tę lawinę reportażem o mordowaniu norek, zostanie Bernsteinem i Woodwardem. Pulitzer?" – zasugerował Michał Broniatowski, szef polskiego oddziału Politico. Ja myślę, że za skromnie. Przynajmniej pokojowego Nobla. Najpierw jednak, solidarnie, pomóżmy innemu koledze po fachu. „Szanowni Państwo! Mogę korzystać tylko z tweetdecka, na konto tt nie mam dostępu. Atak rosyjskich służb trwa dalej!!" – zaalarmował Tomasz Sakiewicz. Czy służby to słyszą? ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. PAWEŁ GROMADA

WSZYSTKO IDEALNE

Małgorzata Rozenek-Majdan uwielbia dzielić się szczegółami ze swojego życia, w którym wszystko – przynajmniej na zdjęciach – wygląda perfekcyjnie. Z niemowlęciem Henrykiem na czele. Ostatnio Małgorzata wrzuciła zdjęcie z planu zdjęciowego nowego przedsięwzięcia, w którym bierze udział. „Na planie. Idealne połączenie wakacyjnego #vibes z pracą" – podpisała fotkę. Jedna z fanek zapytała ją z przekąsem: „A coś w pani życiu jest nieidealne?". Małgorzata postanowiła odpowiedzieć na ten przytyk. „Niektórzy followersi" – odpisała niby-dowcipnie. No cóż, do rzeczy nieidealnych trzeba dodać jeszcze poczucie humoru.

CHUCHAĆ NA KUNĘ

Aktorka Agnieszka Włodarczyk narzeka, że zadomowiły się u niej kuny, które nie dają jej spać. – To było strasznie śmieszne, że powiedziałeś, że chodźmy już spać, zanim kuna przyjdzie i zacznie hałasować – relacjonowała to, jakie dylematy ma teraz jej rodzina. O godz. 4 nad ranem napisała zaś, że przez kunę „jest już totalnie rozbudzona". – Co zrobię z tak pięknie rozpoczętym dniem? – zastanawiała się. – To jest przegięcie pały – narzekała, prosząc swoich fanów o rady, jak walczyć z kunami. Naszym zdaniem powinna chuchać i dmuchać na te kuny. Nie dość, że dzięki nim ma o czym opowiadać na Instagramie, to jeszcze zaczęła nawet wzbudzać sympatię ludzi. Co dotąd było niespotykane.

MUZYKA ŁAGODZI OBYCZAJE

Dramat celebrytki Izabeli Janachowskiej. Idąc na recital z mężem, pomyliła nazwiska kompozytorów. Poinformowała świat w Internecie, że wybiera się na recital muzyki Spindlera, podczas gdy chodziło o muzykę Szpilmana.

– A wieczorem wybieram się razem z moim mężem na recital muzyki Spindlera. Kocham muzykę klasyczną, a jeszcze fortepian i na żywo... Wow – pochwaliła się najpierw. Za chwilę dodała kolejny wpis. – Mój mąż mówi, że to jest recital muzyki Szpilmana. Z tej ekscytacji już nie wiem, na co idę, ale idę – tłumaczyła. I najważniejsze, że mogę wrzucić fotkę na Insta w ładnej kiecce. Reszta to jakieś didaskalia.

MĄDRA JAK IZA

Niestety Izie wpadka nie dawała spokoju, bo internauci zaczęli się z niej perfidnie nabijać. Myślała więc, jak z tego wybrnąć, no i wymyśliła. – Nie wiem, czy wiecie, ale miałam w życiu czas, gdy grałam na fortepianie... Zdarzało mi się grać utwory Spindlera. Niektórzy twierdzą, że on nie istnieje. Twierdzą, że ja jestem głupia, a oni są mądrzy!!! – napisała następnego dnia na Instagramie. A przecież wiadomo, że jest dokładnie odwrotnie! Spindler istniał, a skoro tak, to Janachowska miała prawo pomylić go ze Szpilmanem. Bo jest mądra. Czego nie rozumiecie?

SUPER HIPER PROMOCJA

Celebrytka młodego pokolenia Julia Wieniawa, która już dziś należy do najlepiej zarabiających, nie zwalnia tempa. Pochwaliła się właśnie wypuszczeniem na rynek własnej marki kosmetycznej. Zachęciła też wszystkie swoje fanki do zamawiania kosmetyków. Okazało się, że te zaczęły narzekać, iż ceny są zbyt wysokie. „Z kosmosu!" – pisały do Julii w komentarzach. „Nasze składy są naprawdę z najwyższej półki. Mimo że są to kosmetyki do makijażu, to są bogate w formuły pielęgnacyjne. Możesz poczytać na stronie" – zachęcała Wieniawa sceptyczną fankę. Aby jednak przekonać potencjalne klientki jeszcze bardziej, z okazji

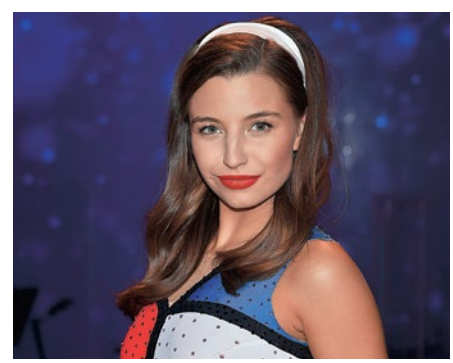

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

debiutu swojej marki przygotowała specjalną niespodziankę dla pierwszych stu klientek. Każda z nich otrzyma do zakupów zdjęcie celebrytki z podpisem! I to gratis! Już chcieliśmy się ponabijać z tej superokazji, ale okazało się, że po trzech minutach od startu sprzedaży padły serwery, bo tak duże było zainteresowanie fanek. I teraz już nie wiemy, czy śmiać się, czy płakać. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

ROAMER
OF SWITZERLAND
SINCE 1888 ROAMER OF SWITZERLAND
C-LINE AUTOMATIC
ROAMER 1888
SWISS MADE
OVER
130 YEARS
SWISS HERITAGE

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, podobno jakaś polska firma opracowała skuteczny lek na COVID-19. No i wyobraźcie sobie, iż ten lek w pierwszej kolejności będzie przeznaczony dla... Polaków. To naprawdę rozczarowujące, iż nie zamierzamy się podzielić lekarstwem ze światem, tylko jak zawsze musimy myśleć najpierw o sobie. To takie egoistyczne. Nie mogłoby być tak, iż przetransportujemy lekarstwo najpierw na Zachód, a potem sami skorzystamy z tego, co ewentualnie zostanie lub na drugą partię?

Taki brak solidarności europejskiej będzie nam jeszcze długo pamiętany, zobaczycie. Boimy się, co teraz myślą ludzie na ulicach Paryża czy Londynu: znów ci okropni Polacy nie chcą nam pomóc.

Jak słusznie zauważono, tzw. piątka Kaczyńskiego dzieli zwierzęta. Podobnie jak społeczeństwo tego kraju od wieków dzieli je na lepsze i gorsze, jedne zjadając, a drugie głaszcząc.

Po raz kolejny widzimy tu taką typowo polską niekonsekwencję. Żeby wszystko było sprawiedliwie, należałoby bowiem albo wszystkie zwierzęta zjadać, albo nie zjadać żadnego.

Niestety, dla typowego janusza konserwatywnie myślącego o roli zwierzęcia w jego życiu nie do pojęcia byłaby adopcja świni jako towarzysza spacerów i zabaw na kanapie. Dlatego nowa ustawa jedynie utwierdzi mentalne podkarpacie w dotychczasowym podejściu do tematu równości ras i gatunków.

Już za kilka dni w tym kraju będzie obchodzone nikomu niepotrzebne święto, czyli tzw. Dzień Chłopaka. Jest to oczywiste przegięcie, i to z kilku powodów.

Po pierwsze, w obecnej sytuacji i przy obecnej świadomości wielu młodych osób nie można jednoznacznie stwierdzić, kto Dzień Chłopaka obchodzi, a kto nie.

Po drugie, biali cisheteromężczyźni i tak na co dzień mają w tym kraju swoje święto, więc zupełnie niepotrzebnie należy ich wyróżniać specjalnym dodatkowym dniem w roku.

A po trzecie, jak to się skończy? Tym, że waginoosoby miałyby koło nich skakać, przygotować kolację, nalać piwa, a na koniec oberwać kablem od żelazka, of kors, końcówką z żelazkiem. Dość męskim przywilejom, naprawdę. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Połóż się, Borys

Borys, musimy się w tym jakoś odnaleźć, bo nam Hołownia po piętach depcze.
Odnaleźć, odnaleźć... Łatwo ci, Czarek, mówić. Myślisz, że ja coś z tego rozumiem?

Myślę, że nie. Bo nawet ja nie bardzo nadążam.
No właśnie. A jak idę do tefauenu, to muszę udawać, że wszystko rozumiem i nad wszystkim u nas panuję. Myślisz, że to łatwe?! Ja już czasem nie mogę...

Dobra, Borys, ciszej trochę. Ludzie usłyszą, że płaczesz, i będzie wstyd.
Zobacz – wymyśliłem to wotum nieufności dla Zizu i co? Wszyscy sobie zaczęli żartować, że bez sensu i że go ratujemy, a nie pogrążamy. A co niby miałem zrobić?! Tyle z tego jeszcze rozumiałem – że Zizu ma kłopoty.

No dobra, wiem, że to wszystko strasznie trudne, ale coś musimy wymyślić.
Wiem! Sądy, praworządność, gwałt na demokracji, kon-sty-tu-cja, kon-sty-tu-cja!

Ale... to chyba już trochę zgrane, co?
Nie, nie! Tylko to nas uratuje, to wszyscy rozumieją, trzeba walczyć, trzeba... Kon-sty-tu-cja!...

Połóż się, Borys, wody ci przyniosę. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Rządy Polski i Węgier muszą wreszcie ponieść konsekwencje. Ile jeszcze mamy czekać?"

SYLWIA SPUREK, *europosłanka Wiosny, na Twitterze, ponaglając Niemcy sprawujące prezydencję w UE, by utworzyły mechanizm powiązania środków z Unii z „praworządnością"*

eprasa.pl 2fa82032cf

Walczymy o interesy polskich firm

W Parlamencie Europejskim staje pani w obronie polskich inwestycji. W połowie lipca, wraz z innymi europosłami PiS, wystąpiła pani z petycją w sprawie Kopalni i Elektrowni Turów, należących do Grupy PGE. Dlaczego?

POSEŁ DO PE, GRUPA EUROPEJSKICH KONSERWATYSTÓW I REFORMATORÓW ANNA ZALEWSKA: Zgłosili się do mnie nie tylko pracownicy i kierownictwo kopalni, lecz także samorządowcy i mieszkańcy, których bardzo poruszyła ta sytuacja. W sposób nieuzasadniony i nagły czeski Greenpeace zaczął atakować kompleks, zarzucając Polsce, że rozbudowa kopalni może wpłynąć na utratę wody pitnej w regionie Liberca w Czechach.

Przypomnijmy, że Czesi zabiegają o odebranie koncesji i wygaszenie działalności kompleksu w Turowie w ciągu 10 lat. Tłumaczą, że chodzi o dobro środowiska.

Czesi mają po swojej stronie granicy podobne kompleksy i jakoś im to nie przeszkadza. IMGW zbadał sprawę. Z ich ustaleń wynika, że to wina zmian klimatycznych. Warto dodać, że Turów podjął ponadstandardowe decyzje i finansuje rozwiązania, które mają wesprzeć Czechów. Greenpeace jednak, podpierając się podpisami 11 tys. obywateli, wniósł sprawę do Komisji Petycji. Natomiast mieszkańcy zebrali w odpowiedzi 30 tys. podpisów Polaków, Czechów i Niemców, w tym samorządowców, chcąc pokazać fakty. Mam nadzieję, że do końca roku uda się tę sprawę rozstrzygnąć i rozwiązać problem.

Z korzyścią dla Polski?

Na to liczymy. Odnoszę jednak wrażenie, że to dopiero początek walki i przez najbliższe lata będziemy zakładnikami ekologicznych organizacji. Jesienią odbędą się manifestacje, które zapoczątkowała szwedzka aktywistka Greta Thunberg. Chodzi o wywarcie presji na unijnych polityków, którzy w październiku będą głosować nad prawem klimatycznym.

Co jest dla nas największym zagrożeniem?

Prawo klimatyczne i idea Europejskiego Zielonego Ładu [strategia UE dotycząca ochrony środowiska i przeciwdziałania zmianom klimatycznym – przyp. red.] są zagrożeniem dla całej europejskiej gospodarki i rolnictwa. Wiele mówi się o ekologii w UE, ale nikt nie policzył, ile ta idea będzie nas kosztowała. Nikt nie słucha głosów przedsiębiorców, którzy mówią, że trzeba proces spowolnić. Stawianie ciągle nowych wyzwań destabilizuje europejskie gospodarki. A przecież żyjemy w czasach pandemii i kryzysu, który wywołał koronawirus.

Do 2050 r. musimy osiągnąć neutralność klimatyczną. Będzie to wymagało transformacji społeczno-gospodarczej. Jakie wyzwania stoją przed Polską jako członkiem UE?

Ustalenia Rady Europejskiej z grudnia 2019 r., potwierdzone w czerwcu tego roku, mówią o zeroemisyjności na poziomie UE. Nie zapominajmy jednak o tym, że Polska, podobnie jak inne kraje z węglowym miksem energetycznym, jest zupełnie w innym położeniu niż np. Szwecja czy Austria, które bez problemu w ciągu 10–15 lat osiągną cel. Finalnie to kraje z największymi kłopotami będą samodzielnie realizować ambicje UE. Transformacja musi odbywać się w sposób przemyślany, a nie destrukcyjny dla społeczeństw i gospodarek, które, nie ze swojej winy, znalazły się w takiej sytuacji. Niestety można odnieść wrażenie, że KE ma jeden cel: walkę o rynki energetyczne.

Czy możemy sobie wyobrazić Polskę bez kopalń? Kiedy to nastąpi?

Trudno sobie wyobrazić jakikolwiek kraj, który nie ma kręgosłupa kopalnego w postaci węgla lub gazu. W prawie klimatycznym pojawił się bardzo niebezpieczny zapis – po 2025 r. UE nie będzie subsydiować inwestycji związanych z paliwami kopalnymi. Komisja Europejska ma również ambicje sprawdzania krajów członkowskich i ich przepływów finansowych, by kontrolować realizację zapisów prawa klimatycznego. Wciąż za mało mówi się o tym, że energia odnawialna nie działa bez stabilnego źródła energetycznego.

Tutaj dochodzimy do kolejnej ważnej kwestii, którą ostatnio pani podnosi w PE. Prawo klimatyczne bowiem zakłada nową rolę europejskiego systemu handlu emisjami. Domagała się pani zawieszenia go na czas epidemii koronawirusa. Dlaczego?

ETS, czyli system opłaty za tonę emisji dwutlenku węgla, wymknął się spod kontroli. W czasie pandemii, gdy nie funkcjonowały firmy, zakłady pracy, obywatele nie poruszali się samochodami, cena za jedną tonę CO2 wzrosła z 15 do 30 euro. Przepisy proponowanych rozwiązań chcą poszerzyć te rozwiązania o budownictwo, transport, rolnictwo. Górnicy, energetycy, rolnicy i inni przedsiębiorcy powinni pytać głośno polskich europosłów, co robią, by walczyć o ich interesy w UE. Niestety, jeśli chodzi o prawo klimatyczne, to polscy eurodeputowani głosują tak jak ich grupy polityczne. A te często działają wbrew interesom takich krajów jak Polska.

Sfinansowano ze środków Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim

EKR GRUPA EUROPEJSKICH KONSERWATYSTÓW I REFORMATORÓW

eprasa.pl 2fa82032cf

Piotr Semka

I znów wszyscy cofnęli się znad przepaści. Z trudem, ale schowali do kieszeni urazy i wzajemne podejrzenia. Wizja nowych wyborów zadziałała jak zimny prysznic

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Negocjacje znad krawędzi

W chwili, gdy piszę te słowa, wszystko wskazuje na to, że doszło do ugody na linii PiS – Solidarna Polska – Porozumienie Jarosława Gowina. Oczywiście najbardziej kluczowa była ugoda między Jarosławem Kaczyńskim a Zbigniewem Ziobrą. Po środowych wieczornych rozmowach jedynym nierozwiązanym punktem pozostaje tzw. ustawa bezkarnościowa, ale Ziobro wiele uzyskał. Jak się zdaje, obronił głowę prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego oraz wpłynął na poprawki w kwestii „piątki dla zwierząt". Bolesną stratą jest dla Solidarnej Polski utrata Ministerstwa Środowiska, które zapewniało nadzór nad lasami i geologią. Kolejna kwestia, która może jeszcze być kością niezgody, to żądanie Kaczyńskiego, aby w Ministerstwie Sprawiedliwości jedno ze stanowisk wiceministra było dla PiS. Ziobro może jednak mówić o znaczącym wzmocnieniu swojej pozycji w porównaniu z sytuacją sprzed tygodnia. Negocjował z Kaczyńskim niemal jak równy z równym. Media sprzyjające opozycji na chwilę zawiesiły ataki na Jarosława Kaczyńskiego, aby skupić się na „dobrych radach" usunięcia Solidarnej Polski z koalicji. Partia Ziobry przeszła próbę ogniową – nikt z kuszonych przejściem do PiS nie uległ i ugrupowanie to pokazało swoją spójność. Równie dobry nastrój może mieć Jarosław Gowin, który wychodzi z kryzysu ze stanowiskiem wicepremiera i być może ministra w nieco powiększonym Ministerstwie Rozwoju.

Oznacza to, że partie koalicyjne zachowały trójdzielny status koalicji. Powtórzył się scenariusz z maja, gdy ostry konflikt z Jarosławem Gowinem sprzeciwiającym się wyborom w maju zakończył się mimo dramatycznych okoliczności ugodą z Kaczyńskim. Raz jeszcze okazuje się, jak wiele w polityce znaczy arytmetyka. Zarówno Gowin, jak i Ziobro mają wystarczająco dużo głosów, by decydować o tym, czy rząd PiS ma większość, czy nie.

Ostatecznie Jarosław Kaczyński odrzucił pomysły rządu mniejszościowego i nowych wyborów. Także w Solidarnej Polsce nie wygrały zapalczywe głosy, aby zdecydować się na przyspieszone wybory i startować w nich w jakiejś koalicji z Konfederacją. Koalicjanci po okresie wzajemnych oskarżeń i krytyk zrozumieli, że są na siebie skazani.

WEJŚCIE SMOKA

Niewątpliwie najbardziej zaskakującym dla wielu Polaków efektem negocjacji będzie objęcie przez Jarosława Kaczyńskiego funkcji wicepremiera. Dla ludzi nieobserwujących na bieżąco polityki, może to być deprecjacja pozycji lidera PiS. Kaczyński jednak, dobrze znający swoją pozycję, raczej nie będzie przywiązywać do takich głosów wagi. Jego nowa rola nadzorcy MSW, MON i Ministerstwa Sprawiedliwości jest próbą zakończenia procesu, który bardzo szkodził gabinetowi Zjednoczonej Prawicy. Chodzi o coraz gorętszą rywalizację między Zbigniewem Ziobrą a premierem Morawieckim. Kaczyński jako swoisty superwizor Ziobry ma pilnować, by konflikt ten nie rozsadził rządu. Ma też ukrócić występowanie przez ziobrystów z postulatami z zakresu sporów cywilizacyjnych. Ludzie premiera skarżyli się na nie, uznając je za pomysły nieskoordynowane z szefem rządu.

Wicepremierostwo to dla Kaczyńskiego nieco ryzykowne doświadczenie. Po 13 latach odwyku od pełnienia rządowych funkcji musi teraz na nowo wdrożyć się do praktyki gabinetowej. Oczywiście korzystając ze swej mocnej pozycji, sam będzie ustalał reguły gry, ale jest to znacząca zmiana, która będzie miała jeszcze jedną poważną konsekwencję. Wejście lidera PiS do rządu osłabia pozycję Mateusza Morawieckiego jako lidera polityki Zjednoczonej Prawicy. Może dojść do tego, że iluś ministrów zacznie konsultować swoje pomysły najpierw z formalnym wicepremierem, a dopiero potem z szefem gabinetu. Tylko od Kaczyńskiego będzie zależało, czy ukrócać będzie podobne praktyki mogące wprowadzić do rządu chaos.

eprasa.pl 2fa82032cf

Zwolennicy niestandardowego pomysłu na wicepremierostwo Kaczyńskiego wskazują, że jest to wynik pogłębionej refleksji lidera PiS nad słabą skutecznością rządu Morawieckiego. Według tych opinii Kaczyński uznał, że rozdęty rząd stał się niesterowny. Jeśli spełni się informacja o gabinecie złożonym tylko z 12 ministrów, to będziemy mogli być świadkami „szarpnięcia za cugle" w aparacie państwowym. Jan Maria Rokita na marginesie rozważań o rekonstrukcji rządu przypomniał, że mała efektywność władzy była już przedmiotem refleksji Kaczyńskiego w latach 2006–2007. Rokita przypomniał, że lider PiS jako premier prowadził wtedy specjalny zeszyt, w którym zapisywał polecenia wydawane ministrom i potem sprawdzał ich wykonanie. Pytanie, czy teraz ze stanowiska wicepremiera będzie w stanie zwiększyć efektywność rządu i czy nie zamieni się to w swoistą dwuwładzę podcinającą skrzydła Morawieckiemu. Jeśli użyć barwnej metafory, to wejście naczelnika z Nowogrodzkiej do rządu przypomina nieco wzmocnienie kontroli dyrektora szkoły nad klasą, w której wzajemne animozje wpłynęły na zdolność dobrego funkcjonowania. Pesymiści wskazują, że dołączenie Kaczyńskiego do rządu to ostateczność, której użyto zbyt szybko.

ZA WSZYSTKO SIĘ PŁACI

Jeśli uznamy, że prezes PiS postanowił zdyscyplinować wszystkich harcowników w obozie Zjednoczonej Prawicy za pomocą testu lojalnościowego – „piątki dla zwierząt" – to cena, którą płaci za ten manewr, nie jest niska. Prezesa PiS zawiodło wyczucie polityczne. Kaczyński mógł być niemile zdziwiony skalą kontestacji jego projektu nie tylko w ugrupowaniach koalicyjnych, lecz także w jego własnej partii. Teraz musi stanąć wobec problemu, jak ten podział rozwiązać. Jeśli lider PiS dogaduje się z Solidarną Polską, która zagłosowała przeciw ustawie, to w imię czego mają być zawieszeni posłowie PiS, którzy zachowali się dokładnie tak samo? Najbardziej konkretną konsekwencją przeforsowywania ustawy o ochronie zwierząt stał się konflikt z ministrem Janem Ardanowskim. Jarosław Kaczyński stracił ministra, który zrobił bardzo wiele dla przyciągnięcia do rządzącej partii wyborców ze wsi. Jeśli PiS prowadził od lat politykę zabierania PSL elektoratu wiejskiego, to starcie z Ardanowskim stanowi zmarnowanie wysiłku ostatnich paru lat. A odepchnięty minister już komentuje „piątkę dla zwierząt" jako dowód na neomarksistowskie myślenie. Jeśli przyciągnie go do siebie PSL, wówczas będzie dolegliwym krytykiem rządu.

GDZIE TKWIŁ BŁĄD?

Jeśli PiS myśli nie tylko o przetrwaniu u władzy przez najbliższe trzy lata, lecz także o nowej kadencji, to musi z ostatniego kryzysu wyciągnąć bardzo poważne wnioski. Kaczyński przekonał się boleśnie, że z koalicjantami trzeba się liczyć. Wizja przyspieszonych wyborów oznaczać może rozstanie z władzą. Jednocześnie zarówno PiS-owcy, jak i ziobryści oraz gowinowcy muszą ucywilizować swoje wzajemne relacje. Od dłuższego czasu można było odnieść wrażenie, że utracili świadomość, jak wewnętrzne wojenki różnych grup kompromitują prestiż rządu, jak bardzo marnują jego potencjalną skuteczność. Nawyk rozmaitych słownych ataków i zaczepek faktycznie demoralizował partię. Z jednej strony budził złe emocje u koalicjantów, z drugiej stawał się alibi dla Gowina czy Ziobry, aby w kluczowych momentach stawać okoniem.

Coś musi jednak być w narzekaniach na zbyt wygórowane apetyty polityczne Solidarnej Polski. Premier Morawiecki może czuć się oburzony, gdy dowiaduje się, że prokuratura bada jego działalność z przeszłości. Nakłada się na to naturalny lęk „starego PiS" przed dynamiczną grupą 30-, 40-latków, których zgromadził wokół siebie Ziobro.

Teraz, gdy ziobryści przetrwali poważny kryzys w Zjednoczonej Prawicy, muszą sobie zadać pytanie, dlaczego inni tak się ich boją. Zastanowić się, czy są zdolni do samoograniczenia swoich ambicji. Kaczyński postanowił uspokoić sytuację, przechodząc do ręcznego kontrolowania ambitnej grupy. Pytanie, czy skutecznie wygasi on swary wokół rządu. W tle jest jednak jeszcze jeden wybór. Czy rząd ma wygaszać kwestie cywilizacyjne i iść w kierunku tematyki, która kojarzy się z wychyleniem w stronę centrum? Jeśli spora część wyborców obawiała się usunięcia ziobrystów z rządu, to dlatego, że gotowość do zajmowania wyrazistego stanowiska w sporach cywilizacyjnych powoli zacznie być w rządzie PiS uznawana za coś szkodliwego. I tu znów pewną winę ponosi Kaczyński, który nie był w stanie określić, jak ma się lansowany ostatnio wychyl w kierunku młodszego elektoratu do szerszej zmiany oblicza ideowego partii. Wypuszczanie lidera Forum Młodych PiS do prezentowania nowej agendy skupionej na ekologii czy problemach młodych wyglądało jak zmiana ideologiczna wprowadzona po cichu. I jeszcze jeden element ostatniego kryzysu.

Wielu posłów PiS poświadcza, że nagły konflikt w łonie rządzącej partii był absolutnie niezrozumiały dla wyborców. Mieli oni w pamięci maraton czterech kolejnych wyborów, pamiętali o skali swojego zaangażowania w sukcesji i tym bardziej irytowali się na nieodpowiedzialność polityków ZP, którzy dopuszczali możliwość nowych wyborów. Ludziom, którzy bardzo często w swoich środowiskach mobilizowali się na rzecz wygranej PiS w kolejnych wyborach, taka nonszalancja kojarzyła się z lekceważeniem ich starań wyborczych. Jeżeli PiS chce przetrwać, to musi teraz zanalizować historię tak ostrego ostatniego konfliktu. Inaczej wewnętrzne spory znów będą buzować pod powierzchnią, by ujawnić się w najmniej korzystnym dla PiS momencie.

W latach 70. popularny był czeski film „Straszne skutki awarii telewizora". Opowiadał on o rodzinie, która zazwyczaj spędzała wieczory, wpatrując się w szklany ekran. Dopiero gdy pewnego wieczoru telewizor odmówił posłuszeństwa, wszyscy zaczęli wyrzucać sobie nagromadzone od dawna pretensje i żale. Tylko wskutek awarii odbiornika cała rodzina mogła się dowiedzieć, ile nierozładowanych w dyskusjach spraw nagromadziło się od dłuższego czasu.

W przypadku PiS jest podobnie. Zabrakło poważnej refleksji po szczęśliwym przejściu czterech prób wyborczych. Dopiero negocjacje w sprawie restrukturyzacji rządu pokazały, że PiS zaczyna przypominać niektóre rodziny, gdzie wszyscy się doskonale znają i nie lubią. Zabrakło forów, na których te utajone, ale zabójcze dla rządzącej partii procesy mogły być spokojnie przegadane i jakoś rozwiązywane. Jeśli PiS nie znajdzie sposobu na rozładowywanie takich zabójczych tendencji, to kolejny kryzys wybuchnie w najmniej oczekiwanym momencie.

Jarosław Kaczyński zorientował się już, że sama taktyka „dziel i rządź" w Zjednoczonej Prawicy nie gwarantuje skuteczności. Pytanie, czy będzie w stanie stworzyć forum, na którym koalicjanci będą cierpliwie, ale skutecznie przedyskutowywać kolejne zamierzenia. Jeśli Zjednoczona Prawica się tego nie nauczy, to polityczne trzęsienia ziemi będą się powtarzać. A wyborcy będą coraz bardziej rozgoryczeni kolejnymi wojenkami na górze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Gwiazda „Naczelnika” zaczyna gasnąć

Rafał A. Ziemkiewicz

Czy Jarosław Kaczyński wciąż jeszcze jest niepodzielnym władcą swojej formacji?

Kilka miesięcy temu pisałem o Jarosławie Kaczyńskim, że przypomina starzejącego się Bolesława Krzywoustego, który wie, że gdy tylko odejdzie, synowie rzucą się sobie do gardeł i rozszarpią jego dorobek – stara się więc ułożyć taki system, który, częściowo zaspokajając ich apetyty, zachowa względną równowagę. Okazało się jednak, że Kaczyński poszedł inną drogą niż Krzywousty czy bliższy nam w czasie Piłsudski i postanowił nie tylko wyznaczyć jednego sukcesora, lecz także własnymi rękami usunąć zawczasu jego konkurenta.

I wygląda na to, że mu się nie udało. A to każe zadać pytanie, czy Jarosław Kaczyński wciąż jeszcze jest niepodzielnym władcą w swojej formacji, czy jego gwiazda właśnie zaczęła gasnąć.

WYPALENIE

Chociaż sam „Naczelnik” lubi żartować, że zamierza pobić rekord Konrada Adenauera (który urząd kanclerski złożył w 87. roku życia), to rośnie przekonanie, że zbliża się jego rezygnacja. Sam Kaczyński miał ponoć w gronie współpracowników czynić aluzje, że do następnych wyborów poprowadzi partię już nie on, ale Mateusz Morawiecki. Oczywiście, podobne zapowiedzi to częsta zagrywka politycznych liderów – Donald Tusk, jeśli wierzyć niedyskrecjom byłych członków PO, miał nie tylko wielokrotnie deklarować rezygnację, lecz także obiecać następstwo kilkunastu różnym osobom. W przypadku „Naczelnika” wiele wskazuje jednak na to, że popycha go do takiej decyzji stan zdrowia, a mocniej jeszcze coraz bardziej widoczne polityczne zmęczenie, wypalenie.

Temu ostatniemu trudno się dziwić. Kaczyński, powróciwszy cudem z politycznego niebytu, w który strącono go w czasach rządów lewicy i AWS, od lat odnosi sukcesy, ale żaden z tych sukcesów niczego nie załatwia ani nie kończy, każdy okazuje się tylko początkiem nowej awantury. Im więcej sukcesów, tym więcej spraw rozgrzebanych i ustrojowych prowizorek. Im bardziej Kaczyński wygrywa, tym mocniej musi się angażować, tym bardziej dopilnowywać wszystkiego osobiście, popędzać, rozsądzać spory, sterować ręcznie. Im bardziej współpracownicy lojalni i posłuszni, tym więcej trzeba po nich poprawiać. Rodzi to irytację i zniecierpliwienie, które popychają Kaczyńskiego do działań coraz bardziej „w żadnym trybie”, bez liczenia się z okolicznościami i zachowywania bodaj pozorów praworządności.

eprasa.pl 2fa82032cf

Wszystko to dla człowieka obeznanego z polityczną historią Polski nie jest zaskoczeniem. Taka właśnie jest natura rządów sanacyjnych, które Kaczyński w znacznym stopniu zrekonstruował. Podobnie jak w czasach Piłsudskiego naczelnym celem i zasadą dobrej zmiany było (jak określił swój cel sprawca zamachu majowego) „przywrócenie prawości". Nie „praworządności", o której lubią mówić jego przeciwnicy, ale właśnie „prawości". Chociaż Kaczyński tego określenia nie używa, to moralny wymiar władzy, wielkie zadanie uzdrowienia państwa przerośniętego wskutek błędnie przeprowadzonej transformacji patologiami, jest dla niego uzasadnieniem i usprawiedliwieniem rozmaitych przekroczeń, jakich w swoim przekonaniu musiał i musi się dopuszczać, by nie ugrzęznąć w „imposybilizmie".

Tymczasem to właśnie rządzenie z pozycji moralnej przewagi nad przeciwnikami, w połączeniu z innymi typowymi cechami sanacji – oparciem władzy nie na trwałych procedurach, ale na autorytecie przywódcy, polityka personalna forująca głównie lojalność i zaufanie starych, „sprawdzonych w boju" podwładnych z „pierwszej brygady" itd. – nieuchronnie wiedzie do takich, a nie innych skutków. W porównaniu z Piłsudskim jednak, który w pewnym momencie uznał, że po jego śmierci i tak wszystko przepadnie, więc jedyne, co warto, to budować swą legendę dla przyszłych pokoleń, trzeba Kaczyńskiemu zapisać na plus, że nie poddaje się rezygnacji.

Tylko że, jako się już rzekło, działa coraz bardziej niecierpliwie i na skróty. Wydaje się też, że coraz bardziej bez przemyślenia. Dla wielu wyborców szokiem było ogłoszenie dwa tygodnie temu „piątki dla zwierząt", nawet nie dlatego, że zawierała same propozycje szkodliwe dla wszystkich z obozem władzy na czele, niektóre wręcz horrendalne (wyliczałem je już w poprzednim numerze i w artykułach na DoRzeczy.pl), ale ze względu na sposób jej przedstawienia. Osobiście, w trybie nakazowym, z apodyktycznym szantażem moralnym, bez jakichkolwiek konsultacji i dopuszczenia wątpliwości, nie mówiąc o dyskusji, z zacietrzewionym wypieraniem oczywistej niezgodności popychanego kolanem projektu z polską konstytucją i naszymi zobowiązaniami wobec UE. Nawet własny minister rolnictwa, jeden z najlepiej ocenianych, padł ofiarą zacietrzewienia „Naczelnika". A na dodatek całe to wzmożenie skończyłoby się kompromitacją lidera i odrzuceniem projektu, w który tak się zaangażował, gdyby nie notoryczna głupota Lewicy i PO, które wbrew wszelkiej logice i wszystkiemu, co zawsze głosiły, poparły go niemal jednogłośnie (tylko cztery osoby przeciw i wstrzymujące się, podczas gdy w Zjednoczonej Prawicy – 53, z czego 20 z PiS).

Ale to przecież nie było pierwsze takie zacietrzewienie Kaczyńskiego i jego „wyjście ze świata rzeczywistego". Podobnie nie oglądając się na nic, parł do „pocztowych" wyborów 10 maja, ignorując zarówno konstytucję, jednoznacznie stanowiącą, że nie może organizować wyborów nikt inny niż Państwowa Komisja Wyborcza, jak i oczywistą dla wszystkich (choć jemu być może nikt nie odważył się o tym powiedzieć) niezdolność Poczty Polskiej do dźwignięcia takiego przedsięwzięcia.

„Piątka dla zwierząt" to nie pierwsze takie zacietrzewienie Kaczyńskiego i jego „wyjście ze świata rzeczywistego"

Dzięki poświęceniu Jarosława Gowina, który zaryzykował wtedy całą swą przyszłość, PiS uniknął grubej kompromitacji – ale nie znaczy to, że wyszedł bez szkód. Wydanie na druk niepotrzebnych kart 70 mln zł (nie trzeba było czekać na orzeczenie NSA, że było to bezprawne, wyrok mógł być tylko jeden) zmusiło PiS do wymyślenia „ustawy bezkarnościowej", która dla wyborców od lewa do prawa jest po prostu oburzająca. A dla Zbigniewa Ziobry stanowiła jasny sygnał, że jeśli nie postawi się teraz, jeśli jeszcze wszelkie „haki" prokuratur są cokolwiek warte, to wkrótce w ogóle go nie będzie.

LOJALNOŚĆ ZIOBRY

Sam Ziobro i jego niezwykle silna pozycja – powiedzmy to: ku powiększeniu irytacji Kaczyńskiego – też są zresztą skutkiem wcześniejszych decyzji prezesa PiS, by przełamać „imposybilizm", idąc na skróty i nie licząc się z prawem. Nie jest żadną tajemnicą, że inni kandydaci rozpatrywani do Ministerstwa Sprawiedliwości odmówili byli prezesowi działań, których żądał. Ziobro nie odmówił, co więcej, wydaje się, że kilkakrotnie brał na siebie odium oczywistych błędów lidera, ocalając jego reputację polityka nieomylnego. Nic jednak za darmo. Za swą lojalność (a w końcu to nikt inny, tylko właśnie Kaczyński wyniósł lojalność wobec siebie do rangi najważniejszej cnoty w swym obozie) oczekiwał czegoś więcej niż odsunięcia od dziedzictwa na rzecz Morawieckiego.

Jedyna jako tako logiczna racjonalizacja wzmożenia prezesa w obronie praw zwierząt to sugestia, że wrzucił on ten temat w ostatniej chwili, by w walce z Ziobrą występować nie w obronie kompromitującej „ustawy bezkarnościowej", tylko w imię sprawy, w jego przekonaniu, dla wszystkich „dobrych ludzi" jednoznacznie szlachetnej – troski o dobre traktowanie zwierząt. Nie sądzę, by tak w istocie było i w ogóle bym „piątki dla zwierząt" nie łączył ze sporem o przyszłą sukcesję. Ale jeśli istotnie „piątka" miała przykryć spór, to raczej pomogła Solidarnej Polsce, umacniając budowany przez nią wizerunek partii, która broni założycielskich, prawicowych wartości „dawnego" PiS przed prowadzącym partię ku „ciepłej wodzie w kranie" i kapitulacji w wojnie kulturowej technokratą Morawieckim, nawet jeśli wymaga to zakwestionowania przywództwa Kaczyńskiego.

W chwili, kiedy oddajemy ten numer do składu, wicemarszałek Ryszard Terlecki powiedział Radiu Zet, iż „wszystko wskazuje na to, że Jarosław Kaczyński będzie w składzie rządu". Miał otrzymać specjalnie dla niego stworzone stanowisko nadzorcy resortów siłowych, głównie Ministerstwa Sprawiedliwości. Jeśli taki rozejm rzeczywiście zawarto, to, poza wymownym symbolem słabnięcia przywództwa Kaczyńskiego, niewiele z niego wynika, właściwie tylko rozciągnięcie wojny w czasie.

Można być pewnym, że Jarosław Kaczyński będzie wykorzystywał taki „nadzór" nad Ziobrą do stopniowego pozbawiania go wpływów i usuwania z kluczowych stanowisk jego ludzi, tak by cel, którego nie dało się osiągnąć za jednym zamachem bez ryzyka utraty władzy, osiągnąć w dłuższym czasie. Kto przyjrzał się całej politycznej drodze Jarosława Kaczyńskiego, ten wie, że wszystkim sojusznikom czy koalicjantom zawsze stawiał on tylko jeden wybór: albo ja cię połknę, albo ty zostaniesz przeze mnie połknięty. I koalicjanci ze Zjednoczonej Prawicy raczej nie będą tu wyjątkiem.

Uda się raz jeszcze czy nie, jedno nie ulega wątpliwości – kolejne nieracjonalne działania Kaczyńskiego poderwały ślepe zaufanie i wierność w jego obozie. A to jedyne spoiwo, którym cementował swój obóz polityczny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

Piotr Gociek

Ten kryzys musiał nadejść. Żeby go zażegnać, Jarosław Kaczyński wybrał rozwiązanie doraźnie korzystne, ale o trudnych do obliczenia skutkach odłożonych w czasie

Strasburg, siedziba Parlamentu Europejskiego FOT. FRED MARVAUX/EUROPEAN UNION/EP

Rekonstrukcja. Dramat w trzech scenach

SCENA PIERWSZA. Strasburg, rok 2017. Grupa europosłów PiS (a są to przedstawiciele twardego jądra partii) dyskutuje o sytuacji w Zjednoczonej Prawicy. Pojawia się kwestia tego, jak zręcznie Zbigniew Ziobro rozbudowuje swoje wpływy. „Jak za bardzo urośnie, to się go przytnie" – mówi twardo jeden z europosłów, wieloletni zaufany współpracownik Jarosława Kaczyńskiego. „Nie takich już przycinaliśmy".

Nie jest prawdą, że starcie o strefy wpływów wewnątrz koalicji rządzącej to efekt rozpychania się partii Ziobry po wyborach parlamentarnych w 2019 r. Przypomnę, że już operacja wymiany premiera z Beaty Szydło na Mateusza Morawieckiego była odpowiedzią Jarosława Kaczyńskiego na coraz wyraźniejszą rywalizację grup interesów wewnątrz rządu. To, co obserwujemy w ostatnich tygodniach, to ten moment w rozgrywce, w którym prezes PiS mówi: „Sprawdzam". Tak jak w każdej sytuacji kryzysowej, w każdym momencie przesilenia, dochodzi do urealnienia wartości aktywów. Jarosław Kaczyński niekoniecznie musi uważać, że Ziobro zagarnął zbyt wiele. Ma zaś do wygaszenia wewnętrzną wojnę podjazdową w rządzie. Kiedy, jeśli nie teraz? Na rok przed kolejnymi wyborami? Na pół roku?

SCENA DRUGA. Warszawa, jesień roku 2019. Dwa tygodnie po wyborach parlamentarnych. W kancelarii premiera rozmawiam z jednym z kluczowych ministrów w rządzie. Mimo że PiS odniósł właśnie największe zwycięstwo w swojej historii i odnotował rekordowe poparcie, widzę markotną minę i słyszę: „Liczyliśmy wszyscy, że będzie łatwiej, ale nie będzie". Chodzi o to, ile mandatów zdobyli mali partnerzy koalicyjni. Ale nie tylko. Także o to, że najbliższe otoczenie premiera Morawieckiego i on sam oczekiwali, iż dużo większa będzie w Sejmie reprezentacja nowych, młodych posłów orientujących się na szefa rządu.

Dzisiaj Jarosław Kaczyński nie pierwszy raz musi korygować efekt własnych decyzji. Kto prowadzi grę, ten siłą rzeczy jakieś błędy musi popełniać. Jednym z tych błędów była konstrukcja list wyborczych Zjednoczonej Prawicy w roku 2019. To prezes PiS zatwierdzał ich ostateczny kształt, przyglądając się nie tylko temu, kto na nich jest, lecz także na jakim miejscu (wyjąwszy pozycje zarezerwowane dla koalicjantów). Uważam, że nie docenił czynnika osobistego

eprasa.pl 2fa82032cf

zaangażowania kandydatów w kampanię wyborczą.

Nadspodziewanie dobry efekt kandydatów Solidarnej Polski i Porozumienia nie wynikał z tego, że Polacy nagle ich szczególnie pokochali albo że chcieli zrobić na złość szefowi PiS. Po prostu okazało się, że przyszli posłowie przystawek, mocno wspierani przez swoich przywódców, gryźli trawę, żeby wejść do Sejmu. A wielu kandydatów spośród lokalnych działaczy PiS uważało, że jeśli sobie zrobią zdjęcie z Kaczyńskim i wydrukują logo partii na ulotce, to automatycznie wjadą do parlamentu. Otóż nie. Wyborcy surowo ukarali tych, których mieli dość lub którzy niewystarczająco się starali, a docenili tych, którzy aktywnie zabiegali o ich poparcie. Gdyby wszyscy kandydaci PiS walczyli w elekcji z taką zaciekłością jak kandydaci Porozumienia i Solidarnej Polski, to Gowin i Ziobro mieliby dziś po trzech–czterech posłów. I problem zaburzonej równowagi w koalicji po prostu by nie istniał.

Także w tym kontekście rozumieć należy wygłaszane przy każdej okazji przez Kaczyńskiego połajanki wobec lokalnych działaczy, zachęcające ich do większej aktywności. Mieli okazję poprawy, zbyt wielu okazało się do tego niezdolnych. Stąd program szeroko zakrojonych zmian w PiS zaplanowanych na listopadowy kongres partii.

SCENA TRZECIA. Warszawa, początek roku 2020. W odpowiedzi na pytanie o stan zawieszenia, który powstał po parlamentarnym zwycięstwie, i poczucie niepewności, które paradoksalnie pojawiło się i wśród części lokalnych działaczy, i części wyborców, słyszę od pewnego ministra taką ocenę: „Jest czas na to, by Mateusz mocniej zaznaczał swoją rolę w obozie Zjednoczonej Prawicy, nie tylko w rządzie, ale z drugiej strony każde bardziej zdecydowane posunięcie jest odbierane przez »stary« PiS jako próba budowania własnej frakcji i spotyka się z ostrą kontrakcją".

Mateusz Morawiecki, wskazany przez Jarosława Kaczyńskiego na swego następcę i przyszłego lidera obozu Zjednoczonej Prawicy, znalazł się w sytuacji paradoksalnej. Żeby wejść na wskazaną trajektorię, musiał podjąć zdecydowane działania, gdyby się jednak na nie zdecydował, tym bardziej ryzykowałby wzmożoną aktywność tych, którzy z tej trajektorii chcieliby go ściągnąć. Sprawy zaszły jednak tak daleko, że niezależnie od tego, czy tego chciał, czy nie, znalazł się pod zmasowanym ostrzałem zarówno Solidarnej Polski, jak i części „starego" PiS. W tej układance sojusznikiem Morawieckiego był przywódca Porozumienia Jarosław Gowin, wyraźnie dający sygnały, że jego ugrupowanie nie godzi się na wymianę premiera. Co – kolejny paradoks – jeszcze bardziej irytowało przeciwników Morawieckiego spoza partii i w partii, nie jest bowiem tajemnicą, jaką opinią cieszy się Gowin u ziobrystów i w zakonie PC.

Rekonstrukcja rządu po reelekcji Andrzeja Dudy miała być momentem przesilenia i z tego powodu spotkała się z wewnątrzkoalicyjnym buntem. Nie chodziło wcale o „piątkę dla zwierząt" ani jakąkolwiek inną ustawę, ale o to, jak będzie wyglądała Zjednoczona Prawica za trzy lata, za pięć lat, za dziesięć. Ma to być – zdaniem Jarosława Kaczyńskiego – obóz dowodzony przez Mateusza Morawieckiego, wspieranego przez lojalnych koalicjantów i mocny sztab, w którym ważne role grają tak zaufane postacie prezesa jak Joachim Brudziński i Mariusz Kamiński. Sam prezes PiS pozostać miał na Nowogrodzkiej jako patron zmiany i arbiter. Czyli tak jak dotąd w układzie funkcjonującym po 2015 r.

PRZESILENIE. Gwałtowność przesłania, które obserwujemy w ostatnich tygodniach, zmodyfikowała plan Kaczyńskiego o kolejny wariant – wejścia prezesa PiS do rządu. Zanim o tym szerzej, zauważę tylko, że funkcjonowanie przez jakiś czas rządu mniejszościowego mieściło się w obecnym planie rozgrywki. Owo „Sprawdzam" pokazałoby nie tyle, na ilu posłów może liczyć Kaczyński, ile to, na ilu mogą liczyć Ziobro i Gowin. Sytuacja, w której część parlamentarzystów przystawek po prostu opuszcza Solidarną Polskę i Porozumienie, mogłaby być także częścią wspomnianego przeze mnie urealnienia wartości aktywów. Byłby to potężny cios dla obu mniejszych partnerów (także wizerunkowy), a dla prezesa PiS okazja do skomplikowanej gry manewrowej, podczas której konstruowałby nową większość, ale wcale nie potrzebował do niej kilkudziesięciu, lecz kilku posłów. Ziobrze i Gowinowi zajrzałaby w oczy natychmiastowa marginalizacja polityczna.

Co więcej, w przypadku Ziobry pułapka rządu mniejszościowego okazałaby się szczególnie groźna. Gdyby PiS wychodził z ustawami, które wypełniają agendę SP, to trudno byłoby wytłumaczyć, że się ich nie popiera. Zatem tak czy inaczej ziobryści musieliby je poprzeć. Gdyby PiS wychodził z ustawami spoza agendy SP, to mógłby je przygotowywać tak, by znalazły wsparcie części opozycji, zatem stanowisko ziobrystów okazywałoby się nieistotne. A scenariusz, w którym nagle Solidarna Polska kontestuje wszystko, co robią Morawiecki z Kaczyńskim, nawet kiedy są to propozycje wyczekiwane przez jej elektorat, byłby dla Ziobry efektownym samobójstwem na raty.

PRZYSZŁOŚĆ. Co oznacza wejście Jarosława Kaczyńskiego do rządu jako wicepremiera i opiekuna trzech resortów? Ziobro dostaje bezpośredniego nadzorcę w postaci prezesa PiS. Podobnie jest w przypadku szefa MON, który z punktu widzenia Kaczyńskiego trochę zbyt chętnie deklarował chęć zastąpienia Morawieckiego, „gdyby Polska tego potrzebowała". Z kolei objęcie tym posunięciem także resortu Mariusza Kamińskiego to odpowiedź na pretensje tych działaczy PiS, którzy uważali, że wszechwładny szef policji i specsłużb zbyt często działa bez porozumienia z partią.

W tym momencie kryzys w koalicji kończy się sprzecznymi sygnałami. Morawiecki niby wygrywa. Pozostaje premierem (wkrótce zostaje wiceprezesem PiS) i ma umacniać swą pozycję sprawnego szefa rządu oraz następcy Kaczyńskiego. Czy jednak nie kładzie się na tym cieniem fakt, że nie da rady być silnym człowiekiem bez nieustannej obecności w KPRM Kaczyńskiego? Ziobro niby przegrywa. Ale czy sam fakt tego, że aby poskromić jego ambicje, trzeba było aż wmontować w rząd samego „naczelnika państwa", nie pokazuje, jak groźnym jest graczem i jak wiele już zdobył? Kaczyński traci pozycję zewnętrznego kontrolera, który z wysokiego zamku napomina i koordynuje. Zyskuje bezpośredni wpływ na prace Rady Ministrów.

Niezależnie od doraźnych korzyści rysują się trzy niebezpieczeństwa na przyszłość. Osłabiona – wskutek zaangażowania w prace rządu – kontrola Kaczyńskiego nad innymi elementami działań Zjednoczonej Prawicy. Odsunięta w czasie wendeta Ziobry – nie wiem, kiedy do niej dojdzie, ale z pewnością kiedyś tak. Wreszcie uruchomienie zupełnie nowej dynamiki, nowych procesów, których tak gwałtowne i wymuszone zmiany mogą być początkiem. Wcale nie muszą przebiegać tak, jak kalkuluje Jarosław Kaczyński. Zagrał bardzo wysoko. Jak zawsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

Nieuniknione spięcie

Łukasz Warzecha

W Zjednoczonej Prawicy nie jest spokojnie, ponieważ relacje mają tam – inaczej niż w zachodnich organizacjach partyjnych – naturę personalną. Dokąd to zaprowadzi obóz władzy?

Nie należy mieć złudzeń – nawet jeśli uda się doprowadzić do uspokojenia sytuacji w obozie Zjednoczonej Prawicy (co w chwili pisania tego tekstu jest najbardziej prawdopodobne, ale bynajmniej nie pewne), to będzie to spokój czasowy, z małymi szansami na przetrwanie do planowego końca kadencji. Za dużo jest w tym gry osobistych ambicji, podsycanych świadomością, że Jarosław Kaczyński się starzeje; za wiele polegania na osobistych lojalnościach i zależnościach, a o wiele za mało – lub wcale – solidnej instytucjonalnej podbudowy systemu partyjnego, która pomaga przez takie perturbacje przechodzić i partiom, i państwu.

Gdyby PiS czy szerzej – Zjednoczona Prawica działały na zasadach takich jak sprofesjonalizowane zachodnie organizacje partyjne, dla których sprawą nadrzędną jest realizacja określonych celów, a to, kto będzie je realizował jako prezes ugrupowania, premier czy minister od tego lub tamtego, jest kwestią wtórną, nie byłoby w ogóle obecnego trzęsienia ziemi. Jest jednak inaczej. Gra toczy się wokół woli i planów jednego człowieka, który nie jest już być może wszechmocny, ale pozostaje fundamentem ugrupowania. Relacje w obozie władzy mają również naturę przede wszystkim osobistą, nie zinstytucjonalizowaną.

CORAZ WIĘCEJ OPOZYCJI

Kryzys, w którym ustawy bezkarnościowa i antyrolnicza były przecież jedynie katalizatorami, ma prawdziwe źródło w tym, jak zaangażowani aktorzy widzą sytuację w strategicznym planie. Pożywką było oczywiście wyraźne wzmocnienie się Solidarnej Polski i Porozumienia w wyborach do Sejmu w październiku 2019 r. Jednak bez pandemii i jej skutków gospodarczych być może jeszcze przez wiele miesięcy słyszelibyśmy tylko głuche tąpnięcia gdzieś spod ziemi, zamiast obserwować spektakularną erupcję wulkanu.

Pandemia się jednak zdarzyła i bardziej zorientowani członkowie obozu władzy mają świadomość gigantycznych problemów gospodarczych i fiskalnych, które prawdopodobnie zaczną się kumulować akurat przed 2023 r. Nie jest natomiast pewne, w jakim stopniu rozumie i uwzględnia ten czynnik sam Kaczyński.

Założenia budżetu na 2021 r. są zbyt optymistyczne, a fiskalna śruba będzie musiała się zaciskać, żeby Polska nie wpadła w spiralę zadłużenia. Już w kwietniu tego roku oficjalnie liczony dług publiczny przekroczył przecież bilion złotych, deficyt budżetowy to rekordowe 109 mld, a nie wygląda na to, żeby rządzący zamierzali w jakimkolwiek stopniu zrewidować wydatki socjalne. Skoro tak, to kolejnych opłat, danin, kaucji i innych podatków udających, że podatkami nie są, będziemy mieć coraz więcej. Przed kolejnymi wyborami beneficjenci programów socjalnych mogą dojść do wniosku, że bilans jest zerowy albo nawet ujemny. Socjalna magia PiS może przestać działać.

W połączeniu z nieuniknioną degeneracją władzy – co nie jest procesem unikatowym dla ZP, ale można by się zastanawiać, czy w tym przypadku nie postępuje rekordowo szybko – trzecie zwycięstwo wyborcze może nie być oczywiste. A nawet gdyby miało nastąpić, powtórka samodzielnej większości będzie mało realna, zwłaszcza gdyby groziło rozdrobnienie elektoratu – czyli to, co zagraża już Koalicji Obywatelskiej za sprawą pojawienia się Szymona Hołowni.

Partię Kaczyńskiego mogą otoczyć już nie jedna formacja, ale dwie. Po pierwsze, co oczywiste, Konfederacja, która dzięki swojemu oporowi wobec „piątki dla zwierząt" zyskała szansę na stworzenie przyczółków na wsi, czyli poza swoim dotychczas typowym elektoratem, ale za to tam, gdzie PiS odnotował poważne zyski, począwszy od wyborów samorządowych w 2018 r. Po drugie – i tu jest zarzewie obecnego konfliktu – Zbigniew

eprasa.pl 2fa82032cf

Przez kilka dni najważniejsze dla mediów było to, co rozgrywało się w warszawskiej siedzibie PiS FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Ziobro, gdyby nadal budował pozycję niezależną wobec Prawa i Sprawiedliwości. Ziobro te działania zintensyfikował, bo po wyborach w 2019 r. Kaczyński zapowiadał koalicjantom, że nie pozwoli na powtórzenie się układu, gdy bez zawierania formalnej koalicji korzystają z list PiS, ale w kampanii występują z wyraźnie zaznaczoną odrębnością organizacyjną. W tle jest jeszcze kwestia podziału subwencji, co nie jest uregulowane ustawowo, jeśli nie istnieje formalnie zarejestrowana koalicja wyborcza. PiS chciał to zmienić przy okazji ustawy podwyższającej poselskie uposażenia.

CO ZNACZY SOLIDARNA POLSKA?

Wbrew temu, co się dziś powszechnie powiada, Solidarna Polska jako odrębna siła nie byłaby bez szans. Sondaże, które teraz dają jej wynik na poziomie niecałych 2 proc., posługują się niemal nierozpoznawalną nazwą formacji, podczas gdy polityczną marką jest nie Solidarna Polska, ale Zbigniew Ziobro. Wyniki mogłyby wyglądać inaczej, gdyby trwała kampania, a Ziobro pracował intensywnie nad dotarciem do własnej grupy potencjalnych wyborców: rozczarowanych letniością PiS w sprawach światopoglądowych czy ich zdaniem zbytnią miękkością w kwestii sądów. Nie znaczy to, że przeskoczenie progu 5 proc. Ziobro miałby w kieszeni, ale nie byłoby to poza jego zasięgiem. Można sobie wyobrazić scenariusz na rok 2023 – o ile wyborów nie będzie wcześniej – w którym wygrywa PiS, ale bez większości, jako koalicjantów musi zaś dokooptować Ziobrę i jego ludzi oraz być może kogoś jeszcze – może PSL, może Konfederację. To byłoby już całkiem inne rządzenie, a Ziobro występowałby z autonomicznej, silniejszej niż obecnie pozycji.

Można sobie też jednak wyobrazić, że PiS wybory przegrywa (choć to wymagałoby stworzenia jakościowo całkiem nowej alternatywy po stronie największej formacji opozycyjnej), przytłoczony problemami gospodarczymi i fatalnym stanem finansów publicznych, a Ziobro wychodzi z tej sytuacji względnie obronną ręką, deklarując, że nie jest za to wszystko w pełni odpowiedzialny. Oczywiście byłoby to trudne, jeśli SP dotrwa w koalicji do końca tej kadencji.

MORAWIECKI KONTRA ZIOBRO

W scenariuszu z wygraną PiS mamy jednak podstawową strategiczną wątpliwość co do kursu, jakim miałby iść cały obóz. Spór między Ziobrą a Morawieckim jest oczywiście ambicjonalny, o zakres władzy, zapewne też charakterologiczny, ale nie jest to jednak spór kompletnie pozbawiony ideowej podbudowy. Wybór tematu „praw zwierząt" na punkt zwarcia pokazał najwymowniej, jaki jest długoterminowy plan PiS, przynajmniej na razie – a symbolizuje go najlepiej właśnie postać socjaldemokratycznego technokraty Mateusza Morawieckiego. To plan przesuwania partii Kaczyńskiego w kierunku wspólnym dla większości coraz bardziej pozbawionych wyrazu zachodnioeuropejskich chadecji, powoli akceptujących większość lewicowych ideowych wynalazków. Jeśli PiS był w stanie skopiować pomysły radykalnych lewicowców dotyczące zwierząt, to równie dobrze za kilka lat może dojść do wniosku, że i związki partnerskie, w tym homoseksualne, nie są tak złym rozwiązaniem.

Minister sprawiedliwości poszukiwał swojej niszy wśród tych wyborców ZP, którym taka miałkość nie pasuje – i coraz wyraźniej konkurował pod tym względem z Konfederacją, samo zaś ugrupowanie Kaczyńskiego na tym tle jawiło się jako coraz bardziej miękkie. To mogło mieć dla PiS jakieś plusy w elektoracie umiarkowanym, zwłaszcza w drugiej turze wyborów prezydenckich („Zobaczcie, Ziobro to jastrząb, ale my jesteśmy ważniejsi, więksi, bez nas Ziobro nie istnieje, a my jastrzębiami nie jesteśmy"), ale miało też ewidentny minus: podmywało pozycję PiS w najbardziej ideowym sektorze wyborców. Do spięcia musiało więc dojść i zapewne będzie musiało dojść w przyszłości, nawet gdyby napięcie zostało teraz złagodzone. Także dlatego, że tematy ideologiczne są najprostszym i najchętniej wykorzystywanym polem sporów w polskiej polityce.

W dłuższej perspektywie pojawia się kilka pytań. Po pierwsze: Jak zachowają się wyborcy PiS? Ilu z nich zaakceptuje przesuwanie się ich partii w kierunku wzorów wyznaczonych przez torysów w Wielkiej Brytanii czy CDU (bo nie CSU) w Niemczech? Zapewne ci najtwardsi (nie mylić z najbardziej ideowymi) – tak. Ale przecież nie wszyscy i dla nich już istnieje alternatywa. Po drugie: Czy zmianę zaakceptują sami członkowie PiS, wśród których wielu uwiera Mateusz Morawiecki i jego styl kierowania rządem, zwłaszcza gdyby miał to być także styl kierowania partią po Kaczyńskim? Po trzecie: Jak będzie się zmieniać partia, również organizacyjnie, w miarę wycofywania się Kaczyńskiego z czynnej polityki? Czy przejmą ją młodzi karierowicze w rodzaju Michała Moskala i to oni będą kształtować jej obraz, nieróżniący się specjalnie od tego, jaki obraz PO kształtowali ludzie w rodzaju Sławomira Nowaka, przez długi czas Tuskowego ulubieńca? Obraz arogancji i apodyktyczności. I wreszcie po czwarte: Czy w związku z tym w perspektywie paru lat, być może dalej niż w 2023 r., nie okaże się, że odnowiony PiS znajdzie się ideowo tam, gdzie była Platforma za Donalda Tuska?

Obecna sytuacja będzie mieć jednak swoje konsekwencje już teraz, niezależnie od tego, jak się uda chwilowo zaklajstrować przecieki. Od PiS odwróci się kolejna część wyborców wyraźnie konserwatywnych, rozczarowana tym, że partia, którą obdarzyli zaufaniem, nie zrobiła nic w sprawie ochrony życia, ale weszła bez problemu w skrajnie lewicową retorykę prozwierzęcą. Niezależnie od ostatecznej formy ustawy antyrolniczej PiS straci też część zaufania wsi. Te procesy również będą mieć wpływ na stabilność koalicji, bo przecież Ziobro świetnie zdaje sobie z nich sprawę i wie, że to jego własny potencjalny elektorat, o który może toczyć walkę z Konfederacją, ale nie wygra jej raczej, jeśli trwale położy uszy po sobie w ramach Zjednoczonej Prawicy i przestanie akcentować swoją odrębność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

Kamila Baranowska

Opozycja niepozbierana

Koalicja Obywatelska nie ma dziś ani lidera z prawdziwego zdarzenia, ani pomysłu na siebie. W jej szeregach coraz częściej słychać, że być może trzeba zmienić szyld i wymyślić się na nowo

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

W apogeum trwającego kryzysu w obozie Zjednoczonej Prawicy, kiedy ważyły się losy koalicji rządzącej, były premier Donald Tusk udzielił wywiadu TVN24. Radził w nim opozycji, a konkretnie swojej byłej partii, by w czasie, gdy rządzący pogrążają się sami we własnych kłótniach, nie ingerować w ich spór, lecz stanąć z boku i czekać na rozwój wydarzeń.

– Jeśli twój przeciwnik zaczyna robić błędy, to nie przeszkadzaj mu, nie wtrącaj się – poinstruował Tusk. Dwa dni później lider Koalicji Obywatelskiej Borys Budka ogłosił, że jego partia składa właśnie wniosek o wotum nieufności dla ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Czyli zrobił dokładnie odwrotnie, niż radził Tusk, postanowił się wtrącić. – Kiedy twój przeciwnik jest skrajnym hipokrytą, kiedy udaje, że toczy się jakaś wojna ideowa, a chodzi tylko o stołki, to trzeba to obnażać – mówił w Polsat News, tłumacząc, dlaczego nie posłuchał Tuska. – Dokładnie tak samo postępował Donald Tusk w latach 2006 i 2007, kiedy Platforma Obywatelska składała takie wnioski – podkreślił.

SERIA WPADEK

Ta sytuacja idealnie obrazuje problemy, z jakimi boryka się dziś największa partia opozycyjna. Dotychczas zarzucano Koalicji Obywatelskiej przede wszystkim brak długofalowego planu, programu, którym mogłaby powalczyć z PiS. Ostatnie tygodnie pokazują, że Koalicja ma problem także z doraźnym reagowaniem na bieżącą sytuację. I z liderem. Gdyby Borys Budka czuł się w tej roli pewnie, nie musiałby udowadniać sobie ani światu, że nie kieruje się w swoich decyzjach radami Donalda Tuska. A tak wyszło jak wyszło.

„Co to za geniusz wymyślił, żeby PO składała teraz wniosek o wotum nieufności w stosunku do Zbigniewa Ziobry?" – drwił na Twitterze były premier Leszek Miller.

„Infantylne reagowanie. Dziesiątki ludzi mnie od wczoraj pytają: Czy wyście postradali zmysły? […] Ten ruch z całą pewnością służy konsolidacji PiS" – wytykał w Radiu Zet Michał Kamiński z Koalicji Polskiej.

„Mam wrażenie, że najbardziej zaciekli przeciwnicy PO to członkowie tej formacji. Czas to zmienić. Od góry do dołu i od dołu do góry. Przeciwnik jest gdzie indziej, wyzwania również. Pora także na zamknięcie tematu szefa klubu" – tak zapowiedź Budki o wotum nieufności dla Ziobry skomentował z kolei senator Koalicji Obywatelskiej Bogdan Zdrojewski. Trudno o bardziej dosadną krytykę działań nowego kierownictwa partii pod wodzą Borysa Budki.

Kwestia dotycząca rozdzielenia funkcji szefa klubu i przewodniczącego partii to osobny temat, który pojawił się po

eprasa.pl 2fa82032cf

nieszczęsnym dla Koalicji głosowaniu nad podwyżkami pensji m.in. dla parlamentarzystów i członków rządu. Posłowie Koalicji Obywatelskiej zagłosowali wówczas ramię w ramię z politykami PiS za podwyższeniem sobie i ministrom uposażenia. Projekt ustawy miał być wcześniej przedmiotem konsultacji między klubem PiS a klubem Koalicji i był efektem porozumienia obu stron. Jak się szybko okazało, porozumienia niestrawnego dla wyborców opozycji oraz jej medialnych sympatyków. W Internecie na opozycję posypały się gromy zarówno za głosowanie razem z PiS, jak i za samo podwyższanie sobie pensji w czasie, gdy większość Polaków boryka się z finansowo-gospodarczymi skutkami pandemii.

– Borys Budka ma trudny czas – komentował były szef partii Grzegorz Schetyna w Radiu Wrocław.

Wybór nowego szefa klubu szybko stał się okazją do kolejnej próby sił wewnątrz partii i na nowo uwydatnił stare napięcia oraz konflikty. Budka zarekomendował na to stanowisko Cezarego Tomczyka, swojego bliskiego współpracownika, który zasłużył się także w kampanii Rafała Trzaskowskiego. – Uważam, że byłby to bardzo dobry szef klubu. Poradziłby sobie z taką funkcją. Jest osobą bardzo kreatywną, ma za sobą dobrą kampanię Rafała Trzaskowskiego – przekonywał. Jednocześnie, wbrew zamiarom Budki, zaczęły się pojawiać kolejne nazwiska kandydatów na szefa klubu, które miał podrzucać Grzegorz Schetyna. Były szef PO wyczuł moment słabości nowej głowy partii i postanowił trochę namieszać. I tak ostatecznie w grze oprócz Tomczyka znaleźli się posłowie: Sławomir Neumann, Arkadiusz Myrcha, a także posłanka Urszula Augustyn. Dwaj pierwsi to politycy jednoznacznie kojarzeni ze Schetyną. – Będę popierał tych, którzy mają duże szanse na zwycięstwo i dadzą nowy impuls do dobrego zarządzania klubem i nowy początek całej Platformy Obywatelskiej – mówił Schetyna w RMF FM, nie kryjąc, że liczy na to, iż za zmianą szefa klubu pójdą dalsze zmiany personalne.

– Grzegorz czekał na dobry moment i dostał go w postaci wtopy Borysa z podwyżkami pensji dla posłów. Nawet jeśli nie osiągnie swego, bo pewnie Tomczyk zostanie szefem klubu, to napsuje trochę krwi kolegom z partii – śmieje się polityk Koalicji.

Zwłaszcza że wybory szefa klubu to coś, co denerwuje już nawet samych polityków Platformy, którzy skarżą się dziennikarzom, że w partii nikt nad niczym nie panuje. – Kiedy przez moment pojawiła się na horyzoncie wizja wcześniejszych wyborów, na wszystkich padł blady strach. Jak mamy zebrać się i iść do wyborów, jak szefa klubu nie możemy od kilku tygodni wybrać? – narzeka nasz rozmówca.

REBRANDING NA 20-LECIE?

Tuż po wyborach prezydenckich wydawało się, że Platforma najgorszy czas ma już za sobą. Rafał Trzaskowski choć przegrał z Andrzejem Dudą, to zmobilizował do oddania na niego głosu ponad 10 mln wyborców. Czując, że jest na fali i że tego kapitału nie może zmarnować, zapowiedział powołanie nowego ruchu obywatelskiego, który nazwał roboczo Nową Solidarnością. I zaczęły się schody. Partii matce i jej kierownictwu taki obrót spraw niespecjalnie się bowiem spodobał. Po rozmowach Budka i Trzaskowski uznali, że nie będą sobie jednak wchodzić w drogę, i ogłosili, że ruch (obywatelski) Trzaskowskiego będzie powstawał w porozumieniu z Platformą, a nie w kontrze do niej. Ruch obywatelski kontrolowany przez partię polityczną – to wszystko brzmiało groteskowo i tak też zostało odebrane przez opinię publiczną. Cezary Tomczyk chodził po mediach i zapewniał, że ruch Trzaskowskiego nie zamierza startować w wyborach, by nie robić konkurencji innym partiom. – Ruch nie będzie startował w wyborach, ale może wspierać jakiś projekt, być jego częścią lub patronem. Zobaczymy, jak to będzie wyglądało. Przyszłością ruchu nie jest bycie partią i na pewno nie chcemy być konkurencją dla partii – mówił Tomczyk w rozmowie z Interią. I apelował do mediów, by nie uwzględniały ruchu w sondażach. Trzaskowski zresztą sam swojemu projektowi także nie pomógł. Od razu po wyborach wybrał się na urlop, by później na wiecu w lipcu zapowiedzieć inaugurację ruchu… na wrzesień. Nierealne było utrzymanie przez tak długi czas emocji, które towarzyszyły mu w kampanii wyborczej. A ponieważ po drodze przytrafiła się jeszcze powtórna awaria oczyszczalni Czajka – inauguracji ruchu nie doczekaliśmy się do dziś (z ostatnich doniesień wynika, że ma się odbyć w pierwszej połowie października). W Platformie wszyscy odetchnęli z ulgą. Ruch Trzaskowskiego partii już raczej nie zaszkodzi.

On sam także nie wykazuje wielkich aspiracji do bycia liderem, choć sondaże wskazują, że wciąż miałby na to największe szanse.

Z ostatniego badania IBRiS dla Wirtualnej Polski wynika, że to właśnie obecny prezydent Warszawy jest postrzegany jako najlepszy lider polskiej opozycji (uważa tak 24,6 proc. badanych). Po piętach depcze mu jednak Szymon Hołownia (21,9 proc.), co jasno pokazuje, że wyborcy liberalni, widząc nieporadność Koalicji Obywatelskiej, powoli rozglądają się za alternatywą. Nadziei upatrują w Szymonie Hołowni, który – choć nie ma własnego zaplecza w parlamencie – stara się być obecny w polskiej polityce i nie dać o sobie zapomnieć. Pytanie, czy wystarczy mu determinacji na całe trzy lata, które zostały do wyborów.

Borys Budka uplasował się na samym końcu – lidera widzi w nim zaledwie 2,4 proc. badanych. Wyprzedzili go więc prawie wszyscy: i Władysław Kosiniak-Kamysz, i Robert Biedroń, i Adrian Zandberg, i Krzysztof Bosak.

Nie dziwi zatem, że politycy Platformy nieoficjalnie przyznają, iż Budka nie jest pewien swojego przywództwa. A kiedy lider czuje się niepewnie, trudno, by jego formacja odnosiła sukcesy.

Na razie plan Platformy jest taki, by jak najszybciej wyłonić szefa klubu, a później skupić się na programie. Ten ma zostać zaprezentowany w styczniu, gdy Platforma będzie świętować swoje 20-lecie. Z tej okazji ma przyjąć nową deklarację ideowo-programową. To ma być nowe otwarcie, które da nowy impuls.

Nie wszyscy jednak wierzą w to, że w obecnej formule zmiana jakościowa jest możliwa. Coraz częściej z ust polityków opozycji można usłyszeć, że być może po 20 latach Platformie przydałby się nawet „rebranding". Że z obecnym szyldem wiele się już nie zdziała, bo – co pokazują kolejne wybory – zwyczajnie źle się on ludziom kojarzy. W partii panuje przekonanie, że Trzaskowski osiągnął tak dobry wynik między innymi dlatego, iż nie pokazywał się z ludźmi z partii ani nie akcentował swojej przynależności partyjnej. Grzegorz Schetyna, pytany w Radiu Zet, czy Platformie potrzebny jest taki rebranding, odparł, że „nad tym trzeba się bardzo poważnie zastanowić". – To jest ostatni etap rozmowy o tym, co potrzebne jest dziś opozycji – dodał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

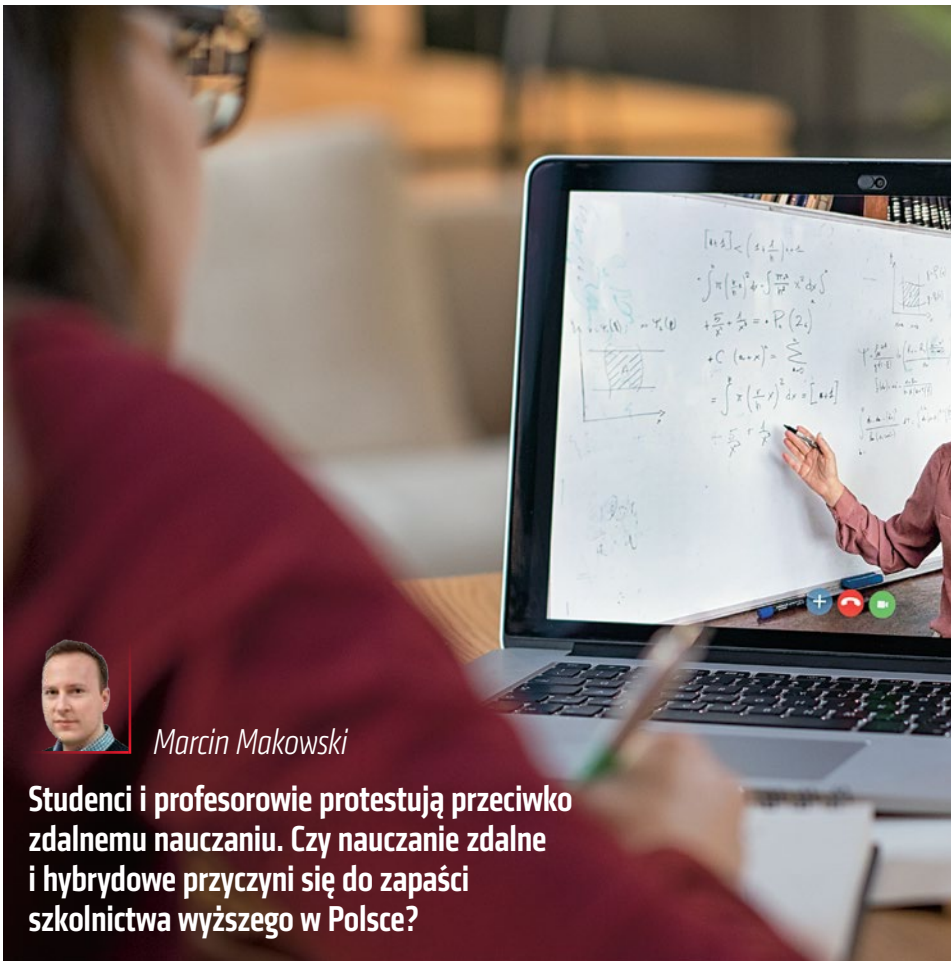

Marcin Makowski

Studenci i profesorowie protestują przeciwko zdalnemu nauczaniu. Czy nauczanie zdalne i hybrydowe przyczyni się do zapaści szkolnictwa wyższego w Polsce?

Fikcja uniwersytecka

Za tydzień mamy rozpoczęcie roku akademickiego. Do tej pory nie wiadomo jednak gdzie – czy zdalnie, czy na miejscu? – mówi Karol, jeden ze studentów pierwszego roku, który rozpoczyna psychologię w Krakowie. – O legitymacjach poinformowano tylko, że „będą na początku października" i nie można odebrać ich na poczcie. Trudno powiedzieć, jak będziemy zaliczać WF, jaka będzie forma prowadzenia zajęć. Egzaminy i kolokwia przez Internet to dla nas zagadka. Czujemy się jak króliki doświadczalne.

– Nauczanie zdalne to fikcja. Wykładowcy wysyłają listę lektur, konsultować każą się e-mailowo. Do wielu, zwłaszcza starszych, kontakt jest utrudniony – żali się Justyna, studentka trzeciego roku prawa w Warszawie.

Podobnych problemów, a zwłaszcza niewiadomych jest znacznie więcej. Jak ostrzega część środowiska akademickiego, konsekwencje zamykania murów uczelni, tłumaczone walką z koronawirusem, będą opłakane. To obniżenie poziomu nauczania, fikcyjność wykładów, praktyczna niemożliwość wyeliminowania oszustw podczas egzaminów czy brak żywego kontaktu z doktorantami i magistrantami – wymieniają.

W tym samym czasie, z mniejszymi lub większymi problemami, od miesiąca funkcjonują tysiące szkół podstawowych i liceów, gdzie znacznie trudniej o zachowanie odpowiednich warunków sanitarnych. – Nie widzę w tym żadnego sensu ani logiki. Ale co mam zrobić? Wziąć ryzyko na siebie, gdy większość szkół wyższych przechodzi na zajęcia zdalne? – mówi „Do Rzeczy" proszący o zachowanie anonimowości prorektor jednej z małopolskich uczelni.

Przygotowując się do inauguracji, uczelnie działają na podstawie obowiązującego do 30 września rozporządzenia Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, zakładającego prowadzenie zajęć zdalnych tam, gdzie jest to możliwe. W praktyce jednak, jako ciała posiadające niemal całkowitą autonomię, same decydują o formach nauczania. Dlatego, w zależności od miasta i uniwersytetu, ten sam kierunek może pracować stacjonarnie, hybrydowo albo zdalnie, co prowadzi do ogromnych dysproporcji w jakości wykształcenia. Również decyzje władz poszczególnych placówek mogą zmieniać się z tygodnia na tydzień. Jeszcze w sierpniu ówczesny rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Marcin Pałys przekonywał, że nauka na uniwersytecie nie może – zwłaszcza przy zajęciach praktycznych oraz zajęciach na pierwszym roku studiów – przypominać kursów e-learningowych, dlatego część zajęć musi się odbywać na miejscu. Już jednak 7 września nowy rektor – prof. Alojzy Nowak – zmienił narrację, przechodząc niemal wyłącznie na tryb zdalny.

„STUDENCI GORSZEJ KATEGORII"

Chociaż taką formę – w ograniczonym zakresie – można sobie wyobrazić na kierunkach humanistycznych, to co ze ścisłymi? Część placówek – od Politechniki Opolskiej do Uniwersytetu Śląskiego – zapowiedziała, że warsztaty i ćwiczenia praktyczne w parkach maszynowych odbywać się będą w pierwszym semestrze hybrydowo. „Laboratoria, symulatory, niektóre projekty oraz ćwiczenia terenowe [...] będą prowadzone w bezpośrednim kontakcie, z zachowaniem reżimu sanitarnego" – zadeklarował np. rektor Akademii Morskiej w Szczecinie

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. ADOBE STOCK

prof. Wojciech Ślączka w piśmie rozesłanym na początku września do pracowników i studentów.

– Czujemy się jak studenci gorszej kategorii. My nie musimy mieć ćwiczeń z wykładowcami, bo nie mamy w salach maszyn, tylko książki? – żali się Michał z drugiego roku historii we Wrocławiu.

W naprawdę trudnej sytuacji są jednak ci, którzy zdecydowali się na studia niestacjonarne i pomimo przejścia w tryb zdalny nadal muszą płacić to samo czesne. Żacy z prawa na Uniwersytecie Warszawskim (kwota 8,5 tys. zł za rok akademicki) już umawiają się na grupach facebookowych na pozwy zbiorowe, domagając się odpowiedniego zredukowania zobowiązań. Jak twierdzą, nie po to płacą za zajęcia w formule akademickiej, aby dostawać pocztą elektroniczną artykuły do przeczytania, włącznie z częścią zadań z wychowania fizycznego, np. ćwiczeniami z aerobiku, które mają zrobić… w domu. Do tej pory studentom nie udało się również porozumieć z prof. Sławomirem Żółtkiem, prorektorem ds. studentów i jakości kształcenia UW, ponieważ pierwsze spotkanie nie odbyło się z powodu problemów technicznych.

Gdy rozmawiam z wykładowcami, ich zdanie na temat przyjętego wariantu działań jest podzielone. Jedni rozumieją, że przynajmniej pół roku trzeba przeczekać, aby spodziewana druga fala zachorowań na koronawirusa nie rozlała się po całym kraju, inni jednak nie kryją swojego rozczarowania brakiem myślenia długodystansowego rektorów.

– Mamy do czynienia z absolutnym skandalem. W kraju działa prawie wszystko, kawiarnie są otwarte, można pójść do kina, otwarte są szkoły i przedszkola. Na uniwersytecie natomiast profesor nie może się spotkać z kilkoma magistrantami, aby pomóc im w pisaniu pracy. Jeśli ten stan potrwa dłużej, to zniszczy szkolnictwo wyższe w Polsce – mówi mi prof. Marek Kornat z Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Jego zdaniem odblokowanie uniwersytetów jest konieczne i nie musi się odbywać kosztem zdrowia. – Rozumiem, że rządzący obawiają się przenoszenia koronawirusa przez naturalną mobilność studentów, ale to nie jest żadne wytłumaczenie. Studenci to osoby dorosłe i odpowiedzialne, równie dobrze można było zakazać wyjazdów wakacyjnych. Większość uniwersytetów i politechnik ma swoje kampusy oraz pokaźną infrastrukturę. Zajęcia mogłyby być również częściowo prowadzone w weekendy albo w mniejszych grupach, tak aby zmniejszyć ryzyko zarażenia – dodaje prof. Kornat.

W PUBIE TAK, NA UCZELNI – NIE

Niektórzy studenci twierdzą jednak, że choć woleliby uczyć się tak jak przed pandemią, to lepiej już teraz wiedzieć, na czym się stoi, niż ryzykować powrót do domu w środku semestru. – To nie jest wymarzony scenariusz, ale pół roku mogę przeczekać. Nie wiemy, co się wydarzy zimą, a w takiej sytuacji musiałbym wynajmować mieszkanie w ciemno. Lepiej to przeczekać w domu – słyszę od Łukasza z socjologii w Szczecinie. Zwraca on jednak uwagę na pewien absurd. – Z jednej strony nie możemy razem siedzieć na sali ćwiczeń, bo się zarazimy, z drugiej tego samego dnia możemy się umówić na spotkanie integracyjne w pełnym gronie w pubie – dziwi się.

Na brak konsekwencji narzeka również Michalina, studentka pierwszego roku studiów aktorskich w Krakowie. – Zaproponowano nam rozwiązanie, w którym dwa miesiące mamy zajęcia na miejscu z wykładowcami, dwa natomiast uczymy się zdalnie. A kto mi wynajmie pokój na tak krótki czas, gdy nikt nie chce na mniej niż trzy miesiące? No i jak mam się uczyć aktorstwa z książek? Już podczas egzaminów wstępnych, śpiewając do ekranu laptopa, czułam się dziwnie – mówi „Do Rzeczy".

Osobny problem, sygnalizowany przez moich rozmówców, to sposób przeprowadzania kolokwiów oraz egzaminów. Ten już w pierwszej fazie nauczania zdalnego w ubiegłym roku akademickim okazał się fikcją. Jak twierdzą wykładowcy, nie da się w żaden skuteczny sposób sprawdzić, czy ktoś nie posługuje się zakazanymi pomocami naukowymi podczas zadawania pytań albo gdzieś obok nie ma otwartego tabletu ze ściągą. Ba, wielu pracowników akademickich zakłada nawet, że zadając listę zadań do zrobienia, studenci będą korzystać z Internetu, dlatego jest ich więcej, a czasu na rozwiązanie – mniej.

– Jak w oparciu o takie oceny i średnie przyznawać stypendia? Co ze stypendiami ministerialnymi? Przecież to całe pole do nadużyć – żali się prof. Marek Kornat. Akademicy zwracają również uwagę, że niektóre stypendia zdobyć będzie trudniej, ponieważ uwzględniane w punktacji konferencje naukowe w wielu przypadkach zostały po prostu odwołane. Pojedyncze uczelnie zakazują również swoim pracownikom naukowym brania udziału w konferencjach stacjonarnych.

Osobne pytanie, o wiele większej wagi niż jakość internetowego nauczania, to kwestia przyszłości polskiego szkolnictwa wyższego, które w przypadku przedłużania się obostrzeń pandemicznych będzie musiało się zmagać nie tylko z niżem demograficznym. Jak przestrzegają eksperci, część potencjalnych studentów, którzy nie będą chcieli rozpoczynać nauczania w gorszej z ich perspektywy formule, może się zdecydować na tzw. gap year, czyli zaraz po maturze wziąć rok wolnego, który zwłaszcza na Zachodzie poświęca się na podróże i aktywności pozanaukowe. Ilu z nich zdecyduje się później na studia? Kto będzie chciał płacić za zdalne nauczanie zaoczne, będące finansową kroplówką wielu szkół wyższych? I tak niskie pozycje rankingowe polskich uniwersytetów mogą w najbliższym czasie być tylko dobrymi wspomnieniami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. ADOBE STOCK

Z portfela seniora

Łukasz Zboralski

W starzejącym się społeczeństwie powinna rozwijać się tzw. srebrna gospodarka, czyli sektor usług dla seniorów. Jest jednak problem: polscy emeryci są biedni

To, że cała Europa się starzeje, wiemy od dawna. Dobrze wiemy też, że Polski ten trend nie omija. Staniemy się społeczeństwem, w którym coraz więcej będzie osób starszych. Co gorsza, według prognoz tempo starzenia się ludności w krajach Europy Środkowo-Wschodniej będzie szybsze niż w pozostałych krajach Unii Europejskiej.

Biorąc pod uwagę to, że ludzie żyją coraz dłużej i w coraz lepszym zdrowiu oraz pozostają dłużej aktywni, powinna zacząć się rozwijać pewna gałąź gospodarki. Tak zwana srebrna gospodarka to wydatki publiczne, ale i prywatne na dobra oraz usługi dla osób w wieku 50 lat i więcej.

BIEDNIEJ NA STAROŚĆ

W Polsce też jest szansa na rozwój takiego sektora gospodarczego, ale istnieją też ogromne bariery. Przyjrzeli się temu badacze SGH, którzy niedawno na Forum Ekonomicznym w Karpaczu prezentowali raport „Srebrna gospodarka szansą rozwoju krajów Europy Środkowo-Wschodniej".

Dlaczego nad Wisłą możemy mieć problemy? Najkrócej mówiąc – bo jako emeryci jesteśmy wciąż dość biedni. Relatywnie niższe w ogóle dochody Polaków i stan całej gospodarki nie pozwalają na starość żyć nam tak, jak żyją emeryci np. Niemczech.

To jest jeden z głównych powodów, dla których Polacy już po przejściu na emeryturę dalej pracują. Potrzeba zapewnienia sobie dodatkowych pieniędzy jest główną motywacją do pracy dla połowy pracujących emerytów w Polsce (są kraje, gdzie jeszcze większa bieda wypycha więcej emerytów do pracy – np. w Rumunii ponad 90 proc. pracujących emerytów przyznaje, że musi to robić, by zwiększyć swoje dochody).

W naszej części Europy najlepszą sytuację materialną w wieku 65 lat i więcej mają Czesi. Jedynie 5 proc. seniorów w tym wieku jest tam w najuboższej grupie starszych. Dobrą sytuację mają Słoweńcy i Słowacy. Tam najuboższą grupę emerytów tworzy niecałe 8 proc. z nich. W Słowenii jest też największa grupa emerytów najbogatszych – dobrze ma tam aż 55,7 proc. wszystkich osób na emeryturze. Duży odsetek emerytów o najwyższych dochodach jest też w Czechach, na Słowacji i w Estonii.

Polska wypada tu średnio. Wśród polskich emerytów 28,4 proc. należy do grupy o najniższych dochodach. Nie jest pocieszeniem, że gorzej jest w Rumunii i Bułgarii (odpowiednio 77,5 proc. oraz 85,4 proc.).

I nie ma też pocieszającej dla nas perspektywy. Senator Koalicji Obywatelskiej Krzysztof Brejza wystąpił niedawno do prezes ZUS, by ujawniła szacunki relacji emerytur do średniej pensji w przyszłości. Odpowiedź opublikował na Twitterze. Z szacunków ZUS wynika, że siła finansowa emerytów nad Wisłą będzie znacząco spadać. Za pięć lat przeciętna emerytura stanowić będzie jeszcze 50,1 proc. średniego wynagrodzenia (w pierwszym półroczu 2020 r. przeciętna wysokość emerytury

eprasa.pl 2fa82032cf

wynosiła według ZUS 2428,73 zł, czyli 53,9 proc. przeciętnego wynagrodzenia). Tymczasem w 2040 r. – czyli gdy na emerytury zaczną przechodzić dzisiejsi 40-latkowie – przeciętna emerytura stanowić będzie już zaledwie 36,5 proc. średniej pensji. Dla dzisiejszych 20-latków perspektywa jest jeszcze bardziej mroczna. W 2060 r. średnia emerytura odpowiadać będzie jedynie 24,9 proc. średniej pensji.

NIE ZAROBIMY NA SENIORACH?

Mimo że ludzie żyją dłużej i długo rozwijają swoje zainteresowania, nie ma zbyt dobrych perspektyw dla tych, którzy chcieliby rozwijać sektor usług dla nich w Polsce lub dostarczać im produkty. Już dziś – według badania opisanego w raporcie SGH – blisko 60 proc. ocenia, że z dużą trudnością lub pewną trudnością „wiąże koniec z końcem" w swoim gospodarstwie domowym. Ponad 61 proc. przyznaje, że często lub czasami niedobór pieniędzy nie pozwala im zrobić rzeczy, które chcieliby robić.

Trudno się dziwić, że Polacy w wieku 50 lat i więcej są w grupie tych, którzy rzadziej biorą udział w wydarzeniach kulturalnych i sportowych. Polska notuje jeden z najniższych wskaźników pod tym względem dla osób w wieku 65 lat i więcej.

Wśród starszych Polaków (55–74 lata) jest też spora grupa osób, które nigdy nie korzystały z komputera.

Wiadomo, że w starzejącym się społeczeństwie rozwijać się będzie sektor opiekuńczy i medyczny. Tam już płyną prywatne pieniądze polskich emerytów. Jak wynika z badania SHARE, w 2015 r. ponad 80 proc. seniorów nad Wisłą w jakiejś części samo pokrywało koszty świadczeń medycznych.

Jak więc myśleć o tym, by seniorzy dalej się uczyli, korzystali z usług kulturalnych czy sportowych, realizowali pasje, gdy już dziś połowie trudno wiązać koniec z końcem, a na horyzoncie zawsze priorytetowe będą wydatki związane z własnym zdrowiem?

Zdaniem autorów raportu SGH musi tu zacząć działać państwo. „Niestety gorsza sytuacja finansowa starszych pokoleń (we wszystkich krajach) w porównaniu z młodszymi grupami wskazuje, że obecnie trudno będzie realizować cele srebrnej gospodarki (gdy istotne jest zwiększenie popytu na dobra i usługi dla osób starszych, wówczas muszą być finansowane ze środków prywatnych). Konsumpcja prywatna musiałaby być stymulowana poprzez dodatkowe zachęty finansowe (ulgi, dotacje, dofinansowanie)" – wskazują. Radzą też, by wspierać w Polsce seniorów w zakresie korzystania z nowych technologii. To coraz silniej dzięki nim – widzieliśmy to dobrze podczas pandemii – dociera się do ludzi z produktami czy usługami. Będący na bakier z obsługą takiego sprzętu oraz pozbawieni go starsi Polacy będą rzadziej korzystać z usług, nawet gdyby było ich na to stać.

Badacze z SGH wskazują też, że dla rozwoju usług medycznych i okołomedycznych istotny będzie też coraz bardziej widoczny brak personelu. Nawet jeśli seniorzy będą chcieli za to płacić, to przecież muszą mieć komu. A wyspecjalizowanej kadry już brakuje.

Na podstawie tego raportu widać dobrze, jak wielką pomocą dla najstarszych Polaków było rozpoczęcie przekazywania im przez rząd Zjednoczonej Prawicy 13. emerytur, jaką ulgą musiał być program darmowych leków dla seniorów. I jak dalece to wszystko nadal jest, niestety, niewystarczające.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NIE TACY ŚWIĘCI JAK ICH MALUJĄ

POZNAJ SEKRETY ŻYCIA AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH!

KSIĄŻKA DO KUPIENIA NA: WWW.XLM.PL

PATRONATY MEDIALNE:

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Duda rządzi, Duda radzi

Agnieszka Niewińska

Kinga Duda i Andrzej Duda nie będą już rozmawiać jedynie jak ojciec z córką, ale także jak prezydent ze swoim doradcą

O tym, że prezydentowi oficjalnie doradza jego 25-letnia córka, zrobiło się głośno w połowie września, kiedy na stronie internetowej prezydenta dziennikarz RMF FM wśród biogramów społecznych doradców prezydenta odnalazł także ten Kingi Dudy. Czytamy w nim, że prezydencka córka jest absolwentką nie tylko Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, lecz także studiów na Katolickim Uniwersytecie Ameryki w Waszyngtonie. Ukończyła tam studia z zakresu prawa amerykańskiego w Columbus School of Law.

„Doświadczenie zawodowe zdobywała w licznych krajowych oraz międzynarodowych kancelariach prawnych, a także Parlamencie Europejskim. Jako wolontariuszka uczestniczyła w pracach Biura Pomocy Prawnej Kancelarii Prezydenta RP, gdzie wspierała również prace legislacyjne" – czytamy na stronie prezydent.pl.

STAŻ W LONDYNIE, STUDIA W USA

Z biogramu Kingi Dudy na stronie prezydenta dowiadujemy się, że specjalizuje się w międzynarodowym arbitrażu handlowym i inwestycyjnym oraz prawie prywatnym międzynarodowym, a także że uczestniczyła w licznych międzynarodowych konkursach z zakresu alternatywnych metod rozwiązywania sporów. Młoda prawniczka niedawno wróciła z Londynu. Zdobywała tam doświadczenie w kancelarii WilmerHale. Trzymiesięczny staż w tej międzynarodowej kancelarii, która działa zarówno w Europie, jak i Stanach Zjednoczonych oraz w Azji, to nagroda, jaką Kinga Duda uzyskała, reprezentując Uniwersytet Jagielloński w międzynarodowym konkursie prawniczym Willem C. Vis International Commercial Arbitration Moot w Madrycie.

Wcześniej – jak wynika z jej zawodowego profilu w serwisie LinkedIn – przez trzy miesiące pracowała w kancelarii Maruta Wachta, która zajmuje się obsługą prawną firm z branży technologicznej. Niedawno dziadek prezydentówny prof. Jan Duda zdradził, że jego wnuczka zdecydowała się, by po zakończeniu stażu wrócić do Polski i rozpocząć aplikację prawniczą. Doradzanie prezydentowi RP to kolejny punkt, który może dopisać do zawodowego profilu.

Ruch prezydenta spotkał się jednak z dużym zaskoczeniem wśród ekspertów z dziedziny marketingu politycznego.
– Z pewnością prezydent liczy się ze zdaniem córki i dziwne byłoby, gdyby do tej pory o nie nie pytał – chociażby w kwestii odbioru jego działań, decyzji i całej prezydentury przez młodych ludzi. Trudno mi jednak zrozumieć, czym kierowała się głowa państwa, formalnie angażując córkę jako społecznego doradcę. Może prezydent chciał mieć ją blisko siebie, ale moim zdaniem to niepotrzebny krok – ocenia Bartosz Czupryk, specjalista w dziedzinie wizerunku. – Nominacja dla Kingi Dudy wcale nie przyczyniła się do poprawy wizerunku prezydenta. Do tej części opinii publicznej, która nieszczególnie wgłębia się w informacje ze świata polityki, nie dotarło nawet to, że Kinga Duda została doradcą społecznym, czyli nie pobiera żadnego wynagrodzenia. Wiele spośród osób, które czytają jedynie nagłówki, może mieć teraz przekonanie, że prezydent załatwił córce pracę w pałacu prezydenckim – wyjaśnia.

W sieci nie zabrakło uszczypliwych komentarzy, nawet ze strony feministek. Pojawił się choćby zarzut, że wśród 13 doradców społecznych prezydenta to jego córka ma najkrótszy biogram. – Nie jest sztuką napisać długi biogram. Nie czyniłabym Kindze Dudzie zarzutu z tego, że inni społeczni doradcy mają więcej dokonań. Córka prezydenta jest osobą bardzo młodą, dopiero co skończyła studia – zwraca uwagę Katarzyna Chołdzyńska, specjalistka w dziedzinie PR. I dodaje: – Zasadnicze pytanie nie dotyczy długości biogramu, ale zakresu, w jakim będzie prezydentowi doradzać.

Minister w Kancelarii Prezydenta RP Andrzej Dera wyjaśniał, że Kinga Duda będzie doradzać prezydentowi w dziedzinach, w których się specjalizuje, czyli w arbitrażu międzynarodowym i w kwestii polsko-amerykańskich relacji prawnych.

Katarzyna Chołdzyńska zaznacza jednak, że nawet jeśli Kinga Duda specja-

eprasa.pl 2fa82032cf

lizuje się w prawie międzynarodowym i arbitrażu handlowym, to ma jeszcze zbyt mało doświadczenia, by w tej dziedzinie doradzać głowie państwa. – Przypuszczam raczej, że nominacja na stanowisko doradcy społecznego to pomysł Kancelarii Prezydenta na wyjście do ludzi młodych. Jeśli prezydent chce jednak wsłuchać się w problemy młodego pokolenia, to powinien do kancelarii zaprosić bardziej reprezentatywną grupę. Kinga Duda wychowana w elitarnym środowisku, absolwentka prestiżowych studiów, nie może mówić głosem wszystkich ludzi w zbliżonym do niej wieku – wskazuje Chołdzyńska.

Głos w sprawie zabrał nawet były prezydent Aleksander Kwaśniewski. – Oczywiście Kinga Duda może przedstawiać problemy młodzieży jako córka, a niekoniecznie doradca, ale widzę w tym szansę na odświeżenie myślenia zarówno prezydenta, jak i jego kancelarii – ocenił.

JAK IVANKA?

Po tym, jak wypłynęła informacja o tym, że Kinga Duda została doradcą prezydenta, w sieci pojawiło się dużo jej porównań z inną prezydencką córką – Ivanką Trump. Córka prezydenta USA Donalda Trumpa od 2017 r. jest członkiem administracji swojego ojca. Pełni funkcję starszego doradcy i jest uważana za jednego z najbliższych współpracowników prezydenta. Media nazywają ją „pierwszą córką". Często jest członkiem delegacji podczas zagranicznych wizyt prezydenta USA. Brała udział m.in. w szczycie G20 w Niemczech, gdzie pozowała do zdęć z przywódcami państw członków grupy. W 2017 r. wraz z Trumpem odwiedziła Polskę. Złożyła kwiaty przed pomnikiem Bohaterów Getta i zwiedziła Muzeum Polin. Ivanka Trump nie tylko odbywa wizyty zagraniczne, lecz także wygłasza przemówienia, udziela wywiadów.

Bartosz Czupryk zaznacza, że porównywanie Kingi Dudy do córki Donalda Trumpa, aktywnej doradczyni prezydenta USA, jest nietrafne. – To zupełnie inne środowisko i inna rzeczywistość polityczna. Rodzina Trumpów ma zresztą to do siebie, że działa w sposób oligarchiczny – mówi ekspert. I dodaje, że na Kingę Dudę należałoby spojrzeć raczej przez pryzmat dzieci byłych polskich prezydentów czy premierów. – Nie ma u nas tradycji bezpośredniego angażowania dzieci polityków w kancelariach prezydenta czy premiera. Owszem, sporą popularność zdobyły córka Aleksandra Kwaśniewskiego – Aleksandra oraz córka Donalda Tuska – Katarzyna, ale one wykorzystały raczej znane nazwisko, by zaistnieć w mediach czy show-biznesie.

Kinga Duda przez pierwszą kadencję Andrzeja Dudy strzegła własnej prywatności. Nie widywaliśmy ani jej prywatnych zdjęć na portalach społecznościowych, ani wywiadów w kolorowych magazynach. Pojawiała się u boku prezydenta głównie przy okazji niektórych wieców kampanijnych, wieczorów wyborczych czy zaprzysiężenia. Do tej pory nie skomentowała nominacji na społecznego doradcę swojego ojca. Czy w związku z nową funkcją możemy się spodziewać jej częstszej obecności u boku prezydenta podczas oficjalnych wydarzeń czy wywiadów dla mediów? Bartosz Czupryk wątpi, by coś się w tej sprawie zmieniło. – Nie spodziewam się, żeby Kinga Duda zaczęła teraz udzielać wywiadów czy wspierać społeczne inicjatywy prezydenta w mediach społecznościowych. Ze względu na to, że przez minione pięć lat była raczej nieobecna, coś takiego zostałoby odebrane jako działanie wizerunkowe „na siłę" i przyniosłoby odwrotny efekt – uważa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Auschwitz w relacjach świadków

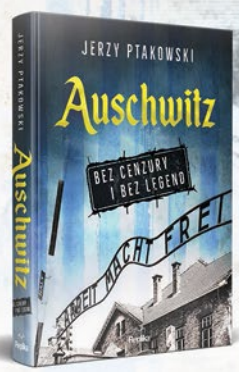

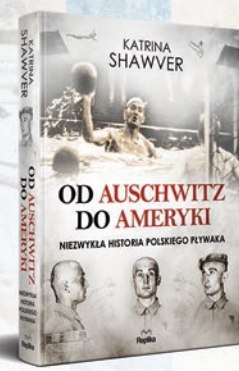

Auschwitz to otchłań. Ciągnie w głąb wspomnieniami wszystkich, którzy nad tą przepaścią zawiśli.
JERZY PTAKOWSKI

Pierwsze dni wolności nazwałem „rajem". Przejście bowiem tego, co przez pełne cztery lata przeżywałem, nie mogło pomieścić się w ludzkiej wyobraźni.
STANISŁAW GŁOWA

Jedynie nadzieja pozwalała przeżyć w Auschwitz.
HENRYK ZGUDA

ZOBACZ!

DARMOWA WYSYŁKA ZAMÓWIEŃ JUŻ OD 50 ZŁOTYCH!
Książki Wydawnictwa Replika kupisz m.in. na www.replika.eu

Replika wydawnictwo

eprasa.pl 2fa82032cf

Wiesław Chełminiak

Wenecki łącznik

W ojczyźnie byłby jednym z wielu, więc wybrał Polskę

„Śmierć św. Władysława", lata 1635–1636 FOT. KONGREGACJA EREMITÓW KAMEDUŁÓW GÓRY KORONNEJ

Polacy cenili Dolabellę, nawet za bardzo. Stawiali go w jednym rzędzie z Rubensem – królem malarzy. Można to zrozumieć – nigdy wcześniej nad Wisłą nie widziano artysty, który by tak swobodnie władał pędzlem. Tommaso nie cyzelował szczegółów i nie tracił czasu na rysunkowe szkice. Z bliska obrazy mogły sprawiać wrażenie niedokończonych, ale zwykle oglądano je z daleka. Specjalnością przybysza z Italii były bowiem imponujące rozmiarami malowidła, umieszczane na ścianach i stropach monarszych rezydencji, kościołów i klasztorów.

Tempo pracy i techniczne popisy z pewnością robiły wrażenie na postronnych, jednak Dolabella podbił serca Sarmatów głównie tym, że umiał wyczarować na płótnie kolory i światło Południa, do których polska dusza tęskniła, tęskni i zawsze tęsknić będzie.

CZARNA LEGENDA

Los obszedł się z dziedzictwem Wenecjanina równie okrutnie, co z Rzecząpospolitą szlachecką. Dzieła najbardziej prestiżowe, wykonane na zamówienie dworu, przepadły. Te, którym azylu udzieliły instytucje kościele, jeśli nie są w żałosnym stanie, to zostały zniekształcone nieudolnymi poprawkami oraz interwencjami domorosłych konserwatorów. Duch Dolabelli żyje natomiast w licznych, choć czasem szkaradnych malowidłach z XVII i XVIII w. Jego prace odznaczające się teatralnością, żywą kolorystyką oraz głęboką perspektywą jeszcze przez sto lat po śmierci autora prowincjonalnym artystom jawiły się bowiem wzorcem niedościgłym. Ojciec chrzestny polskiego baroku – to naprawdę brzmi dumnie.

Nasz bohater nie zwykł sygnować swych prac. Przypisywanie mu dzieł uczniów i naśladowców przyczyniło się do zaniżenia oceny talentu pupila Sarmatów. W oczach XX-wiecznych krytyków sztuki był zaledwie epigonem, cieniem wielkich Wenecjan – Tintoretta i Veronesego. Autor pierwszej monografii Dolabelli z 1914 r. pisał o płótnach z krakowskiego kościoła Kamedułów: „Barwy są ubogie, martwe, kompozycja wadliwa, rysunek fatalny, całość z wyjątkiem paru zaledwie obrazów – gruba i ciężka". Kolejni badacze przyklaskiwali tezie, że artysta „zepsuty powodzeniem, obniżył poziom swej twórczości" i straciwszy kontakt ze sztuką Zachodu, paskudnie się „zbarbaryzował". Cynik, dla pieniędzy schlebiający kiepskiemu gustowi odbiorców? Niżej już chyba upaść nie można.

Jerzy Żmudziński, autor koncepcji i scenariusza wystawy, który od wielu lat zajmuje się twórczością Wenecjanina, wyprostował nieco kwestię atrybucji. Część dzieł, tradycyjnie przypisywanych Dolabelli, wykreślił z jego oeuvre, zamiast nich wprowadził inne, dotąd niebrane pod uwagę. Z korzyścią dla artystycznego poziomu pierwszej w historii ekspozycji prac ulubieńca polskich Wazów. Szansa na przełamanie czarnej legendy, stworzonej przez skłonnych do wygłaszania apodyktycznych opinii historyków sztuki, jest spora. Ponadto wyrwanie tych malowideł z kontekstu, przeniesienie z barokowych ołtarzy i kaplic do neutralnych sal wystawowych nie bardzo im służy.

Tło dla 22 obrazów Dolabelli stanowią dzieła innych Wenecjan, które w różnych okolicznościach trafiły do naszych kolekcji. Artyści znad laguny wyspecjalizowali się w najwyżej wówczas cenionych tematach religijnych, historycznych, alegorycznych

eprasa.pl 2fa82032cf

i mitologicznych. Ich „poezje" sławiły urodę doczesnego świata i ludzkiego ciała, reprezentacyjne portrety spełniały oczekiwania władców, notabli oraz purpuratów.

Republika św. Marka zarabiała krocie na eksporcie wyrobów luksusowego rzemiosła, zaopatrując Europę w koronki, jedwabie, szkło z Murano oraz wyroby majoliki. Renoma, jaką cieszyły się weneckie oficyny wydawnicze, sprawiała, że zamawiano w nich druk książek. Bibliofile wydawali krocie w tutejszych księgarniach.

Mieliśmy i my swój wkład w handlowe sukcesy Serenissimy – sprowadzane z Rzeczypospolitej zasuszone poczwarki owada zwanego czerwcem polskim służyły do wytwarzania barwnika stosowanego w farbowaniu tkanin i w malarstwie. Głęboka czerwień w odcieniu purpury była jednym z owych kolorów, którym sztuka wenecka zawdzięczała swoją renomę.

Będące u szczytu potęgi państwo polsko-litewskie stało się naturalnym importerem luksusowych dóbr znad laguny. Jan Zamoyski, były student uniwersytetu w Padwie, kupił cztery obrazy Domenica Robustiego, syna sławnego Tintoretta. W kościele w Tarnogrodzie przetrwały dwa przedstawiające świętych patronów kanclerza, można je oglądać na warszawskiej wystawie.

Zygmunt III z Zamoyskim darł koty, lecz gust miał podobny. Pożar Wawelu (spowodowany alchemicznymi eksperymentami Wazy) dał okazję do przebudowy zamkowych apartamentów w duchu manierystycznym. Król zamówił obrazy u weneckich mistrzów: Iacopa Nigretiego i Antonia Vassilacchiego zwanego Aliensem. Ten drugi wysłał do Krakowa swojego ucznia – Tommasa Dolabellę. 28-latek miał już na swoim koncie malowidło zdobiące strop sali senatu Pałacu Dożów, ale skrzydła rozwinął dopiero nad Wisłą.

CAR NA KOLANACH

Konkurencję miał słabą – malarzom cechowym brakowało wiedzy i umiejętności, niezbędnych, by sprostać oczekiwaniom monarchy. Wenecjanin miał do dyspozycji pracownię na Wawelu, jako dworzanin nie płacił podatków. Robota paliła mu się w rękach. Oprócz królewskich zleceń przyjmował zamówienia od biskupów i przeorów. Zarabiał świetnie. Opat klasztoru w Mogile nadał mu w dożywocie folwark, honorarium za upiększenie katedry wawelskiej cyklami obrazów, poświęconych jej patronom: św. Stanisławowi i św. Wacławowi, opiewało na imponującą sumę 3559 florenów.

„Święty Stanisław Biskup i św. Walery adorujący Matkę Boską z Dzieciątkiem", ok. 1614 r. FOT. JANUSZ KOZINA

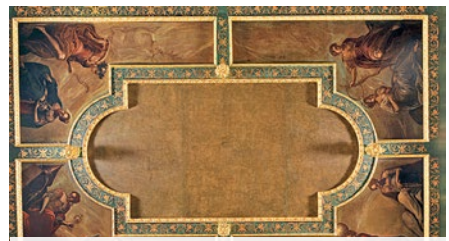

Strop ramowy z obrazami Tomasza Dolabelli z przedstawieniami: „Roztropności i nieokreślonej cnoty", „Trzeźwości i pokoju"; „Fortuny i czujności" oraz „Przyjaźni i cierpliwości", ok. 1600 r. FOT. JAKUB ŚLIWA

Gdy Zygmunt III definitywnie przeprowadził się do Warszawy, Dolabella został w Krakowie. Entuzjazm króla dla włoskiej kultury ustąpił fascynacji sztuką niderlandzką, lecz nadal wypłacał mu pensję. Tommaso, a właściwie już Tomasz, coraz bardziej wrastał w Polskę. Ożenił się z Agnieszką, córką wydawcy Andrzeja Piotrkowczyka, niepozbawioną malarskiego talentu. „Msza żałobna", na co dzień znajdująca się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie, podobno wyszła spod jej pędzla. Z kolei córki artysty miały brać udział w ozdabianiu klasztoru Dominikanów.

Gdy na tronie zasiadł Władysław IV, zamówił u Dolabelli serię obrazów o tematyce historyczno-alegorycznej. Warszawskie rezydencje Wazów – Zamek Królewski, zamek w Ujazdowie i Villa Regia – udekorowały malowidła przypominające zwycięstwa nad Rosją i Turcją, takie jak zdobycie Smoleńska, hołd Szujskich czy bitwę pod Chocimiem. Król, który podobnie jak ojciec kolekcjonował dzieła sztuki, okazał się wytrwałym mecenasem spolonizowanego Wenecjanina. Jego następca Jan Kazimierz, nie bacząc na podeszły wiek Tomasza, chciał ten związek kontynuować.

ZNIKAJĄCY ARTYSTA

Dolabella zmarł w 1650 r., gdy nad Rzecząpospolitą wisiały już czarne chmury. Miał jednak prawo liczyć, że zostanie zapamiętany: przez ponad pół wieku realizował prestiżowe projekty w prestiżowych lokalizacjach, sławił władców jednego z największych państw Europy. Upadek Polski stał się również jego upadkiem. Dziedzictwo Srebrnego Wieku marniało w oczach, obrazy znikały jeden po drugim.

Monarsze rezydencje splądrowali Szwedzi i Rosjanie. Dzieła, upamiętniające klęski carów, zabrał Piotr Wielki i tyle je widziano.

Nie zachował się żaden z portretów Wazów malowanych przez Dolabellę. Po obrazach, będących własnością krakowskich jezuitów, pozostało tylko wspomnienie. Zamek na Wawelu szczyci się monumentalną „Bitwą pod Lepanto", która powstała na zlecenie dominikanów z Poznania, oraz skonfiskowanym Potockim – pięknym portretem Stanisława Tęczyńskiego.

Cykle z katedry wawelskiej pod koniec XVIII w., gdy zmieniły się gusta, przekazano do małopolskich kościołów parafialnych. Przepadły bez śladu. Pożar zniszczył 10 malowideł wykonanych przez Dolabellę dla katedry gnieźnieńskiej. Pastwą płomieni padły również wielkie ołtarzowe płótna z krakowskich kościołów Franciszkanów oraz Dominikanów.

Ta ostatnia świątynia, w której malarz został pochowany, mogła uchodzić za muzeum jego twórczości. Wykonał dla konwentu kaznodziejów ponad 50 dzieł, wśród nich „Ucztę u faryzeusza Szymona". Nagość uczestniczącej w biesiadzie Marii Magdaleny stała się ponoć powodem wydania przez krakowski synod biskupów uchwały, zabraniającej przedstawiania świętej w stylu frywolnym. Pożar z 1850 r. zniszczył nawet epitafium Dolabelli, opatrzone jego autoportretem.

Los pozbawił Wenecjanina z urodzenia i krakowianina z wyboru tytułu „malarza polskiej sławy". Jego tropem próbował pójść Bacciarelli, ale zabrakło mu talentu. Matejko miał większe ambicje: chciał rodaków pouczać i wychowywać. Kossaków zgubiła miłość do koni, których akurat Dolabella malować nie umiał. Lukę w historycznej ikonografii wypełniają więc rekonstruktorzy, bo wyobraźnia współczesnych filmowców sięga tylko do początków II Rzeczypospolitej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Dolabella. Wenecki malarz Wazów" – wystawa na Zamku Królewskim w Warszawie jest otwarta do 6 grudnia 2020 r.

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

„Dzień trzeci”

★★★☆☆☆

FELIX BARRETT, DENNIS KELLY „DZIEŃ TRZECI” („THE THIRD DAY”)
USA / WIELKA BRYTANIA 2020, DYSTR. HBO

wyst. Jude Law, Naomie Harris

Ojciec trojga dzieci, mąż, przedsiębiorca, który uwikłał się w korupcyjną propozycję – oto bohater miniserii „Dzień trzeci”, koprodukcji HBO i brytyjskiej telewizji Sky. Sam (gra go Jude Law – im starszy, tym lepszy) napotyka w lesie dziewczynę, która próbuje popełnić samobójstwo. Po jej odratowaniu odwozi ją do domu, by zostać uwięzionym na dziwnej wyspie, w klimatach doskonale znanych miłośnikom horrorów. Mamy tu bowiem kliszę na kliszy: mieszkańcy wydają się sympatyczni, lecz w nieco przerażający sposób, są głęboko wierzący, lecz łączą rytuały chrześcijańskie z obyczajami pogańskimi, niby gościnni, lecz głęboko uprzedzeni do obcych. Wzorem tego typu opowieści był film „The Wicker Man” (1973), w ostatnich latach mieliśmy choćby „Midsommar”.

Czy w „Dniu trzecim” mamy do czynienia z takim właśnie horrorem? Trudno powiedzieć, bo od początku twórcy sprawiają, że możemy kwestionować realność wydarzeń. Nie wiemy, co dzieje się naprawdę, a co może być wytworem cierpiącego umysłu Sama – bohater dotknięty został rodzinną tragedią i wyraźnie prześladują go wyrzuty sumienia. Cała historia budzi zainteresowanie przede wszystkim ze względu na nietypowy chwyt formalny. Miniseria składać się ma z dwóch oddzielnych trzyodcinkowych wątków, przy czym każdy z nich koncentruje się na innym bohaterze. Na razie oglądamy „podserię” „Lato”, całość zamknie „podseria” „Zima”, w której główną rolę gra Naomie Harris, ale pomiędzy tymi częściami odbędzie się jeszcze specjalny 12-godzinny event odgrywany i transmitowany live, czyli „Jesień”, skupiony na jeszcze innym wątku. Wszystko to razem tworzyć ma jeden fabularny gobelin.

„Dzień trzeci” nakręcony jest z dużą dbałością o nastrój, a oprócz Jude’a Lawa oraz Naomie Harris zachęca pozostałymi członkami dobrej obsady – Katherine Waterston, Paddy Considine i wyróżniająca się Emily Watson. Wydaje się jednak dziełkiem na zimno obliczonym na wywołanie efektu „kultowości” i łatwym do polubienia głównie przez miłośników bardzo szczególnego rodzaju opowieści grozy. Pozostałych może znudzić lub zirytować wspomnianymi znanymi już dobrze chwytami. Dostaliśmy kolejną w ostatnim czasie produkcję HBO, w której twórcy koncentrują się na tym, w jaki sposób opowiadać historię, a nie na tym, czy mają coś oryginalnego do powiedzenia. ©℗

NOWE SERIALE: „RATCHED”

Netflix szuka kobiecej odpowiedzi na sukces „Jokera”. Jak? Trzeba dopisać ckliwą przeszłość powszechnie rozpoznawanemu „kultowemu” czarnemu charakterowi. W serialu „Ratched” padło na „Wielką Oddziałową”, czyli siostrę Ratched znaną z powieści Kena Keseya i filmu Miloša Formana „Lot nad kukułczym gniazdem”. Twórcy serialu proponują makabryczną opowieść o jej przeszłości (czyli prequel do „Lotu...”), próbując przekonać, że przyczyną przemiany jest nietolerancyjne patriarchalne społeczeństwo, w którym lesbijki tudzież inni ludzie o dobrych sercach próżno szukają akceptacji i drogi swobodnego rozwoju. Nie polecam. ©℗ ***Piotr Gociek***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Ben Lewin* ***„Projekt Larson” („The Catcher Was a Spy”),*** *USA 2018, wojenny* CINEMAX
- *reż. Adil El Arbi i Bilall Fallah* ***„Bad Boys for Life”,*** *USA 2020, sensacyjny* HBO GO
- *reż. Richard Eyre* ***„W imię dziecka” (The Children Act”),*** *USA 2017, dramat* CINEMAX

eprasa.pl 2fa82032cf

Choruj w Norwegii

W KINACH

Do Gwiazdki zostało jeszcze trochę czasu, lecz z krainy reniferów już dotarł do nas film, będący dobrym antidotum na kolejne „Listy do M.". Bohaterka energii ma więcej niż elektrownia Kozienice. Odnosi sukcesy zawodowe, wychowując jednocześnie sześcioro dzieci (własnych oraz partnera). Ból głowy w tej sytuacji zdaje się czymś oczywistym, jednak diagnoza lekarska jest druzgocąca: dzień przed Wigilią Anja dowiaduje się, że ma nowotwór mózgu. Zamiast w szpitalu postanawia spędzić święta w domu, z rodziną. Silne leki powodują huśtawkę nastrojów. Chora miota się między rozpaczą, nadzieją i zwątpieniem. „Nie potrafiliśmy trzymać się razem nawet w najlepszych momentach" – rzuca w twarz strapionemu Tomasowi. Czy związek od dawna bazujący na rutynie przetrwa próbę ogniową?

Historia jest nader wiarygodna, bo po części autobiograficzna i wcale nie tak dołująca, jak można by sądzić z powyższego opisu. Aktorstwo na najwyższym poziomie. Skarsgård mógłby nic mówić, potrafi zagrać wszystko co trzeba samym wyrazem twarzy, gestami oraz sposobem, w jaki się porusza. Jest perfekcyjny i akuratny jak norweska służba zdrowia. Receptę Marii Sødahl na szczęśliwsze życie można zrealizować nie tylko w nordyckiej strefie dobrobytu. Wystarczy mniej dbać o karierę, a bardziej o najbliższych. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★☆

REŻ. MARIA SØDAHL
„NADZIEJA" („HÅP")
NORWEGIA 2029, AURORA FILMS

wyst. Andrea Bræin Hovig, Stellan Skarsgård, Gjertrud Louise Jynge

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DRŻYJ, DONALDZIE!

HBO GO

Rozpisany na pięć głosów lament Amerykanów „z trudem radzących sobie z nową nienormalnością". Niby chodzi o pandemię COVID-19, lecz naprawdę o prezydenturę Trumpa. Film zaczyna się zresztą od wiązanki niefortunnych wypowiedzi gospodarza Białego Domu. Zabawny wydał mi się jedynie monolog homoseksualnego aktywisty, który ma nadzieję wygrać casting na rolę pierwszego gejowskiego superbohatera. Jako Fusion walczyłby z rasistami, seksistami oraz homofobami. Do boju! Świat (a na pewno Hollywood) dojrzał do takiego przełomu. Reszta bohaterów jest mniej przekonująca, stężenie propagandy sięga zaś poziomu szkodliwego dla zdrowia. Scenarzysta nie umiał poprzestać na łagodnej kpinie z zaślepionych sympatyków demokratów i republikanów – po tych drugich przejechał czołgiem. Ostatni głos – pielęgniarki po 14-godzinnym dyżurze – głęboko zasmuca. Owszem, można żyć po to, by nienawidzić. Ale co to za życie?

★★☆☆☆☆

REŻ. JAY ROACH
„ELITY Z WYBRZEŻA" („COASTAL ELITES")
USA 2020

wyst. Bette Midler, Dan Levy, Sarah Paulson

STASZEK, NIE STRZELAJ!

DVD

„Kiedyś byłam różą dla twojego serca" – śpiewała Kayah po zaprzysiężeniu pierwszego rządu Donalda Tuska. Dzisiaj ten wzruszający song wykonuje dziewczyna gangusa z Greenpointu. Rysiek Klimek zwany Generałem zarzuca amerykański rynek syntetyczną heroiną, a jego cyngiel Staszek Cusik obcina wścibskim nowojorskim policjantom języki. Mafiosi urzędują na zapleczu masarni, w której wyrabia się słynną polską kiełbasę. Przyzwoitość zachował jedynie Piotrek Koslow z wytatuowaną na plecach Matką Boską. Żeby skuteczniej infiltrować narkotykowy biznes, daje się zamknąć do więzienia. Niestety, dla FBI jest tylko pionkiem. Gdyby nie polskie akcenty, ta ekranizacja skandynawskiego dreszczowca utonęłaby w morzu produkcji ogrywających schemat „sam przeciw wszystkim". Zabrzmi to rasistowsko, ale Mateusz Kościukiewicz aktorsko zjada rapera Commona na śniadanie. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. ANDREA DI STEFANO
„TRZY SEKUNDY"
WIELKA BRYTANIA 2019, MONOLITH VIDEO

wyst. Joel Kinnaman, Rosamund Pike, Clive Owen

GRA TYGODNIA: „CRUSADER KINGS III"

★★★★★☆

Wśród wielu rozbudowanych strategii, które próbowały przedstawić zawiłe mechanizmy rządzenia w średniowiecznej Europie, seria „Crusader Kings" zawsze wyróżniała się nie tyle monumentalnymi bitwami (te są właściwie symboliczne), ile położeniem nacisku na psychologię władzy. Jak stworzyć królewską dynastię, która przetrwa wewnętrzne intrygi, spiski możnych, zawirowania religijne i zakusy sąsiadów? Jak długofalowo myśleć o gospodarce rozrastającego się państwa? Co zrobić, jeśli styl życia następcy tronu staje się coraz bardziej rozrywkowy, przez co korona trafi w niepowołane ręce? Oto dylematy udanej produkcji studia Paradox. ©℗

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Strategia*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Paradox / Koch Media*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *12+*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2fa82032cf

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Diabeł Nikołaja Gogola

Wydany właśnie tom szkiców Pawła Annienkowa, XIX-wiecznego rosyjskiego pisarza i krytyka, przynosi – obok przykładów ciekawej literatury podróżniczej – dłuższy tekst „Gogol w Rzymie". To po przeczytaniu tego właśnie szkicu Paweł Hertz stwierdził, że był on dla niego „o wiele tragiczniejszą powieścią niż »Martwe dusze«". Ale nie tylko dlatego warto przypomnieć sobie postać Nikolaja Gogola, który postrzegany bywa niekiedy wyłącznie jako wytrawny znawca prowincjonalnej Rosji i zawzięty krytyk despotyzmu Mikołaja I.

Nie jestem może specjalnym admiratorem Władimira Nabokowa i nie wpadłem w zachwyt po przeczytaniu jego książki „Nikołaj Gogol", ale trudno odmówić racji tym słowom: „Szukanie w »Martwych duszach« autentycznego rosyjskiego tła byłoby równie bezcelowe jak próba wytworzenia obrazu Danii na podstawie znanej awantury w mglistym Elsynorze". Mógłby natomiast Gogol, ten pionier wielkiej rosyjskiej prozy (z polskimi korzeniami, Gogol był bowiem przydomkiem, a urodzony na Ukrainie pisarz wywodził się z Janowskich), opowiedzieć nam o wpływie diabła na jego życie i twórczość, ale tego nie zrobił. Musieli więc zajmować się tym inni i po dziś dzień nie brakuje chętnych do szukania czartowskich śladów w tym, co robił i co pisał. A żył krótko, bo zaledwie 43 lata, jeśli zaś chodzi o pisanie, to po „Martwych duszach" (zamierzonych na trylogię, w efekcie – na szczęście – ograniczonych do części pierwszej) nie napisał już niczego sensownego. Przeciwnie jego ostatnie 10 lat (zmarł w 1852 r.) to jeden ostry zjazd.

„Po zerwaniu z diabłem – pisze w arcyciekawym posłowiu do »Gogola w Rzymie« jego tłumacz Bogdan Papieski – wyszło na jaw także to, na co zwrócił uwagę Wasilij Rozanow. Gogol był podziwu godnym idiotą, genialnym imbecylem, błędnym jurodiwym, człowiekiem pustym, a w tej pustce uwił sobie gniazdo bies małoruski. »Był równie niewzruszony i stały – opisuje Gogola Rozanow w szkicu »Wokół Gogola« – tak samo »niespychalny na bok« jak człowiek pozbawiony w swoim wnętrzu rozumu i sensu. »Piszę i tyle«. Wspaniale. Lecz jaka w tym myśl? Idiota wytrzeszcza oczy, nie rozumie. Słówka wspaniałe. Słówka jak u nikogo innego. On zaś doskonale widzi, że »jak u nikogo«, i zachwycony jest bezmyślnym zachwytem, i dumny bezmyślną dumą. – Tfu, diable! Przepadnij!".

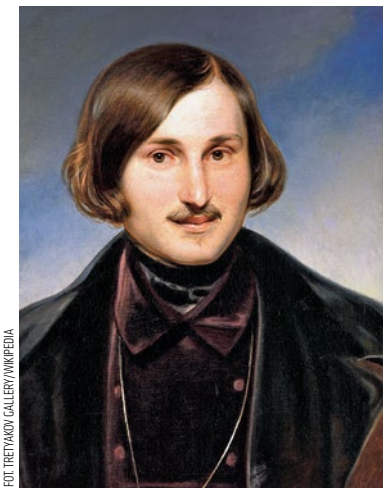

FOT. TRETYAKOV GALLERY/WIKIPEDIA

Niezależnie od wszystkiego tak należy pisać, nie inaczej. Pozwolę sobie w tym miejscu na dygresję: w bardziej może oględnych słowach, ale z równą bezwzględnością opowiada Jarosław Marek Rymkiewicz o, na przykład, „próbach" Mickiewicza przed jego wyprawą na Wschód w 1855 r., o namiocie rozstawianym przez Służalskiego w salonie poety, o całej tej groteskowej, ale i przerażającej romantycznej sklerozie. Nawiasem mówiąc, Gogol poznał w Paryżu autora „Pana Tadeusza" i później prosił Aleksandra Danilewskiego o kupno egzemplarza tej polskiej epopei, którą nazwał „rzeczą najbardziej zadziwiającą".

I już wracamy do diabła. „Świat przedstawiony w tekstach Gogola to rzeczywistość widziana oczami diabła – powiada Bogdan Papieski. – Gdy czart wykonał swoją robotę, gdy pokazał nam świat ze swojego punktu widzenia, opuścił Gogola, a on został sam na sam ze swoim diabelskim dziełem literackim. Z pomocą bożą napisał słabe »Wybrane fragmenty z korespondencji z przyjaciółmi« i równie lichy II tom »Martwych dusz«, który wrzucił do ognia z podszeptu złego ducha. Jak musiał cierpieć osobisty diabeł stróż Gogola, czytając grafomańską kontynuację przygód Cziczikowa".

Ocierał się o genialność, gdy pamiętał o podpisanym cyrografie; kiedy zerwał umowę z Kusym, ten pokazał mu, że bez jego pomocy jest bezradny jak dziecko. I jeszcze ukarał go, bo w końcu Gogol dostał to, „co wszyscy prędzej czy później otrzymują: każdemu, czego najbardziej się boi". Autor „Rewizora" i „Ożenku" panicznie obawiał się, że zostanie pochowany żywcem, w stanie śpiączki. Sporządził nawet stosowny zapis w testamencie. Cóż z tego! Po latach, gdy otwarto mogiłę, ciało leżało twarzą w dół czy, według innej relacji, na boku. Podobno. Tak jak podobno jego ostatnim zdaniem była prośba do lekarza: „Drabinę, szybciej, podaj drabinę". Chodziło mu, oczywiście, o drabinę, po której dusza wchodzi do nieba, o czym pisywał wcześniej.

Jedno wiemy z pewnością: diabła Nikołaj Gogol poznał. Aż za dobrze. ©℗

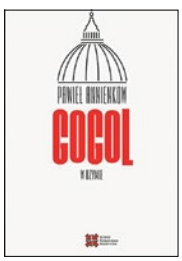

★★★★☆

PAWEŁ ANNIENKOW „GOGOL W RZYMIE" SEDNO WYDAWNICTWO AKADEMICKIE, WARSZAWA 2020

eprasa.pl 2fa82032cf

JEDYNE TAKIE WYDARZENIE W TYM SEZONIE!

TAURON FESTIWAL BIEGOWY

2-4 PAŹDZIERNIKA

KRYNICA-ZDRÓJ, MUSZYNA

3 DNI • PONAD 20 BIEGÓW • PONAD 300 km TRAS

BEZPIECZNA RYWALIZACJA!

WWW.FESTIWALBIEGOW.PL

SPONSOR TYTULARNY

TAURON

PARTNERZY

ORLEN · MAŁOPOLSKA · koral · Muszynianka · KRYNICZANKA · Krynica-Zdrój · Muszyna.pl · MOSiR · POWER CANVAS

eprasa.pl 2fa82032cf

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Utopia u władzy

Zebranie i uporządkowanie faktów, porządny research, dotarcie do kluczowych relacji naocznych świadków lub uczestników wydarzeń – żadne to dziś reporterskie himalaje, raczej fundament, minimum przyzwoitości, którego oczekujemy od autora. Jeff Guinn z tej części zadania wywiązał się wzorowo, jego opowieść o historii sekty Jima Jonesa przygotowana została drobiazgowo i starannie.

Jak wypada w drugiej, trudniejszej części zadania – czyli próbie interpretacji? Też nieźle. Książka „Co się stało w Jonestown" jest w istocie obszerną biografią Jonesa i jest to wybór słuszny, bo wszystko w tej historii kręci się wokół niego. Twórca Świątyni Ludu zaczynał jako szlachetny idealista przepełniony chęcią poprawienia świata, potem okazał się charyzmatycznym mówcą, przekonującym guru, świetnym organizatorem, aż wreszcie szalonym fałszywym prorokiem, ofiarą własnego sukcesu, ofiarą własnej pychy.

Guinn (który napisał także książkę o Mansonie) przedstawia Jonesa w dużym stopniu jako społecznego reformatora, obrońcę praw wykluczonych i poniżonych. Faktem jest, że w szeregi sekty szczególnie chętnie wstępowali ubodzy przedstawiciele czarnej mniejszości, co może dziwić dopóty, dopóki nie przeczytamy u Guinna, że Jones postrzegany był jako gość, który „przemawia jak czarny, ale załatwia sprawy jak biały". Skuteczny przywódca, który widzi krzywdę tam, gdzie nie widzą jej establishment i media, to wdzięczny materiał na obiekt kultu, nieprawdaż?

Nie bez powodu jednak pożyczyłem tytuł tej recenzji od Niekricza i Hellera, autorów głośnej historii Związku Sowieckiego. Demaskowali oni w swej pracy zbrodniczą naturę komunistycznej utopii. Jim Jones natomiast był utopijnym socjalistą. Jego pragnienie wyzwolenia maluczkich i stworzenia dla nich lepszego świata skończyło się – w skali mikro – tak jak eksperyment bolszewików w Rosji: wydaniem wojny całemu światu, odcięciem od „starego społeczeństwa" i morzem ofiar. Ponad 900 osób oddało życie wskutek szaleństwa Jonesa. Powiedzmy wprost: wskutek szaleństwa ideologicznego, a nie tylko religijnego. Zresztą czyż nie napisano wielu prac analizujących marksizm-leninizm w kategoriach świeckiej religii? Wybaczacie, że zakończę przesłaniem, które już powtarzałem przy różnych okazjach, ale wciąż jest aktualne. Piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami, strzeżmy się zatem naprawiaczy światów. ©℗

★★★★★

JEFF GUINN „CO SIĘ STAŁO W JONESTOWN?" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Pandemia, która nie powinna była się zdarzyć" – ocenia autorka znana m.in. z pisma „New Scientist", ale jednocześnie stawia pytanie, jak nie dopuścić do następnej. To nie publicystyczne rozważania, ale spojrzenie mikrobiologa.

DEBORA MACKENZIE „COVID-19" ZYSK I S-KA

NDE – near death experience. Świadectwa ludzi po śmierci klinicznej są zadziwiająco podobne. Fenomenu nie tłumaczy współczesna nauka. Może wyjaśni go wiara? Katolicka odpowiedź na „Życie po życiu" Moody'ego.

KS. WIKTOR SZPONAR „ŻYCIE PO ŚMIERCI. TEOLOGICZNE ŚLEDZTWO" FRONDA

W kostiumie opowieści grozy o rasizmie i bigoterii Ameryki z połowy XX w. Książka dużo lepsza od pretensjonalnego serialu, który powstał na jej podstawie w HBO. Ale tak samo tylko pretekstowo powiązana z Lovecraftem.

MATT RUFF „KRAINA LOVECRAFTA" W.A.B.

Na fali popularności serialu HBO jest okazja, by przypomnieć literacki oryginał. Powieści o Perrym Masonie nie zestarzały się wcale, ich siłą oprócz bohatera są intrygujące zagadki kryminalne i świetna znajomość realiów. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

E.S. GARDNER „PERRY MASON I SPRAWA PODMIENIONEGO ZDJĘCIA" WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

KOMIKS TYGODNIA: „BOGOWIE Z GWIAZDOZBIORU AQUARIUSA"

Dzisiaj Zbigniew Kasprzak jest gwiazdą komiksu francuskojęzycznego (pracuje z powodzeniem od lat na Zachodzie pod pseudonimem Kas). Gdy rozpoczynał karierę w Polsce, często bywał niedoceniany. W zbiorczej edycji kolekcjonerskiej oficyna Egmont przypomina jego komiksy z lat 80., oryginalnie publikowane w zeszytach komiksowych oraz na łamach miesięcznika „Fantastyka". Oprócz historii tytułowej otrzymujemy „Regenerit", dylogię „Gość z kosmosu" i „Zbuntowana", „Człowiek bez twarzy", „Hipotezy. Zagłada Atlantydy" oraz „Exponat AX". Klasyka polskiego komiksu. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

ZBIGNIEW KASPRZAK „BOGOWIE Z GWIAZDOZBIORU AQUARIUSA" EGMONT 2020

eprasa.pl 2fa82032cf

Nie ma, że się „nie da”. Dekada sukcesu Tomasza Nasiłowskiego

„Wspólna świadomość celu, który chcemy osiągnąć, oraz właściwa strategia innowacji oparta na potrzebie płynącej z przemysłu to sens naszego działania”

Naukowiec, który komercjalizacji wiedzy uczył się w Europie Zachodniej przy realizacji projektów stricte przemysłowych. Przedsiębiorca, świętujący właśnie 10-lecie założenia firmy rozwijającej rodzime, polskie technologie. Wreszcie ekspert, który o ogromnym potencjale polskiej fotoniki światłowodowej i wdrażaniu innowacji opowiada z niezwykłą pasją na największych w Polsce wydarzeniach biznesowo-gospodarczych. Rozmawiamy z innowatorem, prezesem Zarządu Grupy InPhoTech, dr. hab. inż. Tomaszem Nasiłowskim.

Panie prezesie, w trakcie tegorocznej edycji Forum Ekonomicznego wskazywał pan wyraźnie na potrzebę wdrażania innowacyjnych rozwiązań w przemyśle. Dlaczego u nas ten proces jest tak trudny do realizacji?
W Polsce potrzebna jest długofalowa, powszechna strategia wprowadzania innowacji. Innowacje dają przewagę konkurencyjną i wzmacniają gospodarkę. Nie mamy wielkich przedsiębiorstw, wspierających start'upy i firmy technologiczne i dbających, aby rodzime innowacje 'nie uciekały' z kraju. Przełomowych rozwiązań dających skok rozwojowy trzeba szukać u siebie, bo nikt nie podzieli się najnowszymi technologiami. W ramach idei patriotyzmu gospodarczego należy walczyć z pochodzącymi jeszcze z czasów PRL szkodliwymi stereotypami, bo polski biznes potrzebuje zaufania społecznego. W planowaniu strategii innowacji trzeba zwrócić uwagę na takie aspekty jak zarządzanie kapitałem ludzkim, finansowanie badań naukowych i prac rozwojowych, niezwykle istotną ochronę własności intelektualnej oraz zarządzanie ryzykiem. W Polsce musi się też znacznie poprawić współpraca uczelni i biznesu.

InPhoTech funkcjonuje od 10 lat. Macie nowe centrum badawczo-rozwojowe pod Warszawą, przygotowujecie się do kolejnej dużej inwestycji. Jak udało się panu rozwinąć firmę, która tworzy innowacyjne rozwiązania?
InPhoTech założyłem po kilkunastu latach pracy za granicą i obserwacji, w jaki sposób innowacje wprowadza się m.in. w Belgii czy Kanadzie. Widziałem, jak przemysł przychodził na uczelnie po konkretne rozwiązania i jak wyglądały relacje naukowców i przedsiębiorców. W Polsce od ponad 40 lat rozwijana jest technologia światłowodowa, która posiada niesamowity potencjał wdrożeniowy. W grupie InPhoTech mocno wierzymy, że polska fotonika światłowodowa znacznie unowocześni tradycyjne gałęzie przemysłu. Stawiamy na silne relacje zawodowe i świadomą realizację celów. Problemy nazywamy wyzwaniami, a naszym celem jest ich pokonywanie. Przez minioną dekadę sporo się ich uzbierało, ale dla nas nie istnieje stwierdzenie, że się „nie da”. Wśród pracowników utarło się nawet powiedzenie, że zaczynamy tam, gdzie inni rezygnują. Kluczowe w moim zespole jest proaktywne nastawienie, zrozumienie celów działania i realna współpraca, która często wywołuje efekt synergii.

Proszę powiedzieć, jak w pana firmie wygląda wdrażanie innowacji oraz gdzie zaistnieją wasze rozwiązania światłowodowe?
Zawsze zaczynamy od potrzeby płynącej z przemysłu. Kiedy ją zrozumiemy, proponujemy klientowi demonstrację działania naszego rozwiązania. Jeżeli spełnia ono wstępne oczekiwania, to od tego momentu współpracujemy już razem z klientem, aby zaproponować produkt dedykowany jego potrzebom. Kluczowa jest dla nas strategia wprowadzania innowacji. Proponujemy nie tylko wdrożenie rozwiązania, lecz także pakiet obejmujący obsługę techniczną, testy, naprawy czy szkolenia pracownicze. Gwarantujemy realizację zleconych badań i bierzemy na siebie finansowe ryzyko niepowodzenia wykonania prac badawczych. Kluczem do sukcesu są wzajemne zrozumienie i właściwa współpraca z klientem na różnych etapach działania. Technologie światłowodowe kojarzą się z telekomunikacją i działamy w tym obszarze, proponując innowacyjny i wielokrotnie nagradzany światłowód IPT-CORE dla sieci 5G. Ale polskie światłowody to przyszłość również innych sektorów przemysłu. Opracowujemy systemy czujników opartych na włóknach światłowodowych, które działają jak układ nerwowy – informują o zmianach właściwości, takich jak: ciśnienie, temperatura czy odkształcenie, i ostrzegają przed zagrożeniami. Można je zastosować w pojazdach elektrycznych, kopalniach, specjalistycznej infrastrukturze, np. kolejowej, czy w elektrowniach. Światowy rynek czujników światłowodowych oraz rynek fotoniczny dynamicznie się rozwijają. Wierzę, że polskie nowoczesne technologie rozwiną nasz przemysł, ale również zaistnieją na rynkach międzynarodowych. I to jest nasz cel na kolejne 10 lat działalności.

eprasa.pl 2fa82032cf

Zgrana rodzina

FOT. WWW.GRABLEVSKI.COM

Wydany wiosną, ale pasujący na jesienne wieczory mini-album wokalistki i wiolonczelistki Kamili Dauksz to produkt w dużej mierze rodzinny. Za kompozycje pięciu z sześciu utworów, które znalazły się na epce, odpowiada trio: Kamila Dauksz, jej mąż Tomasz Boruch oraz jej tata Dariusz Dauksz. Jeden utwór – „Dwa światy" – to kompozycja wyłącznie małżeńska. Pomysł na muzykę zrodził się po kłótni. – Tomek mówi: „Weź wiolonczelę, ja wezmę gitarę, no i gramy". Tylko że to nie było wspólne muzykowanie, tylko Tomek mówił „zagraj to", „zagraj tak". Próbował mi narzucać wszystko, głównie jeżeli chodzi o grę na wiolonczeli. W końcu się zdenerwowałam, zabrałam wiolonczelę i poszłam do drugiego pokoju. I właśnie wtedy wymyśliłam ten riff do „Dwóch światów". I wróciłam, jak już miałam napisane zwrotkę i refren – opowiadała Kamila Dauksz na antenie Radia Opole.

Z kolei „treść piosenki to przede wszystkim próba zrozumienia ludzkiego umysłu i zmierzenia się z faktem, że depresja, nerwica, schizofrenia czy stany lękowe mogą dotyczyć każdego z nas, a często są traktowane jako temat tabu". Kamila śpiewa: „Pomieszane światy dwa / Czy ty to ty, czy ja to ja / [...] Czy to chorobowy stan / dwa światy w swojej głowie mam / Tak płynnie przenikają się / Czy jawa to, czy zwykły sen".

Tomasz Boruch czuwał nad aranżacjami, zagrał na gitarze i puzonie. Dariusz Dauksz także udziela się na gitarze, odpowiada również za warstwę tekstową połowy utworów. Druga połowa tekstów spłynęła spod pióra Kamili. – Zarówno z tatą, jak i z Tomkiem miałam kilka podejść twórczych i mimo zażyłych relacji na stopie prywatnej na tej muzycznej często dochodziło do strać. I może o to chodzi, że człowiek próbuje pozbyć się nadmiaru emocji i wylewa je na dźwięki, co jest, uważam, najlepszą formą wyluzowywania się – mówiła Kamila w Radiu Opole.

„Opowieści" to sześć bardzo różnych piosenek. Różnych, żeby zaintrygować, zaskoczyć, zaciekawić kolejnymi – mówi Kamila. I już zapowiada ciąg dalszy „Opowieści". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zupa musiała się przegryźć

Ostatni z wielkich albumów grupy lub – jak twierdzą inni – pierwszy znak spadku formy Stonesów. Dzisiaj „Zupa z koziej głowy" smakuje znacznie lepiej niż przed laty. Prawie pół wieku marynaty dobrze jej zrobiło. W 1973 r. płyta została przyjęta chłodno. Wprawdzie sprzedała się w kilkumilionowym nakładzie, ale zawdzięczała to głównie singlowej „Angie". Balladę Keitha Richardsa krytycy uznali za kiczowatą, za to fani wciąż nie mogą się od niej oderwać.

Pięć lat wcześniej Stonesi zatrudnili w roli producenta Jimmy'ego Millera. Zarejestrowali z nim pięć albumów, w tym trzy arcydzieła. „Goats..." jest ostatnim wspólnym produktem i z pewnością ustępuje pozostałym płytom. Jest tu jednak masa fantastycznego grania.

Wznowienie przynosi trzy niepublikowane nagrania, alternatywne wersje utworów i koncert z Brukseli. Ten ostatni przedstawia Stonesów w doskonałej formie. Skład wzbogacony o sekcję dętą i Prestona wymiata nieziemsko, osiągając apogeum w 13-minutowej „Midnight Rambler". Promocja wydawnictwa opiera się na „odnalezionej" piosence „Scarlet" (dostajemy ją w trzech wersjach) z udziałem Jimmy'ego Page'a z Led Zeppelin. Jest tu jednak znacznie lepszy niepublikowany materiał. Choćby rewelacyjna funkowa „Criss Cross".

Zapomniana płyta Stonesów dla wielbicieli grupy może być prawdziwym odkryciem. ©℗

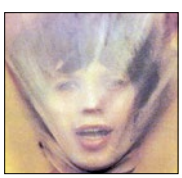

★★★★★☆

THE ROLLING STONES
„GOATS HEAD SOUP"
UNIVERSAL

★★★★★☆

BŁOTO
„KWIATOSTAN"
ASTIGMATIC

Ten jazz pachnie kwieciem i sarmacką wolnością. Kwartet Błoto po analizie gleby na debiucie na dwójce uprawia kwiatostan. Kwiaty polne są jazzowo rozimprowizowane, kwiaty ogrodowe – rytmiczno-kwasowe. Zadymiona tradycja łączy się z hiphopowym pulsem i kosmicznym odlotem.

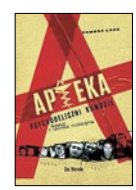

★★★★★☆

TOMASZ LADA
„APTEKA. PSYCHODELICZNI KOWBOJE"
IN ROCK

Historia lidera Apteki opowiedziana przez bohatera i uczestników zdarzeń napisana w formie reportażu uczestniczącego. Bulwersująca, a zarazem wciągająca opowieść o muzyku nieznającym granic, który dziś jest wrogiem numer jeden środowiska muzycznego. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

Już 5 października w „Do Rzeczy” dodatek

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 2fa82032cf

Kadr z serialu „Król"

Zęby bolą

Krzysztof Masłoń

Telewizja ma to do siebie, że im donośniej zapowiada nowy program jako coś absolutnie niebywałego, tym bardziej możemy być pewni, że – rzeczywiście – podobnego szajsu świat dotąd nie widział. Prawidłowość ta dotyczy wszystkich, ale to absolutnie wszystkich telewizji, płatnych mniej, więcej lub w ogóle, misyjnych z nazwy i z przekonania, komercyjnych i o komercyjności marzących skrycie, potentatów i kopciuszków.

Udający telewizję z wyższej półki CANAL+, na ten przykład, od dłuższego już czasu usiłuje ekscytować swoich widzów anonsem serialu „Król" według powieści Szczepana Twardocha. W listopadzie słowo stać się ma ciałem i wreszcie będziemy mogli zachwycać się w 4K tą podróbką „Gangów Nowego Jorku", dając wiarę w to, że przedwojenną Warszawą – jak na żydowskie (bo przecież nie polskie, a skąd!) miasto przystało – rządzili żydowscy bandyci. W Ameryce też próbowano wykreować narrację o gangach Izraelitów, w końcu jednak ograniczono się do upowszechnienia takich postaci jak Meyer Lansky czy Bugsy Siegel, a Coppola do drugiej części „Ojca chrzestnego" wprowadził niejakiego Hymana Rotha, wzorowanego zresztą na Lanskym. Generalnie jednak Kosher Nostra do cosa nostry ma się jak pięść do nosa.

Co ja tu zresztą będę opowiadał, niech państwo włączą wieczorem HBO3 i przypomną sobie „Rodzinę Soprano". Gdzie o Żydach też się mówi, ale stosownie do ich znaczenia i z sensem. Ostatecznie warto też po raz tysięczny obejrzeć którąś z części „Godfathera", przemykającego jeszcze czasem po kanałach.

W Telewizji Polskiej za to króluje ktoś z innej raczej bajki, a mianowicie sandomierski Don Matteo. W jednym tygodniu odcinki serialu o sandomierskim księdzu nadawane są na antenach TVP dokładnie 73 razy.

Przerobienie nazywanej Paryżem Północy stolicy Polski w jeszcze jedną Jerozolimę dokonuje się oto w „Królu" za sprawą gangsterów, co nie dziwi z uwagi na jakże rozpowszechnioną w naszym życiu kulturalnym i artystycznym metodę na rympał.

Bossa warszawskiego podziemia wyposaża się w pewne cechy i atrybuty sławnego „Taty" Tasiemki, przypisując mu diabolizm nieodłącznie związany z grającym tę rolę Arkadiuszem Jakubikiem (film bez Jakubika jest filmem z założenia niewartym uwagi), i przeciwstawia tę złowrogą postać skromniejszemu, za to ukochanemu ponoć przez całą Warszawę głównemu bohaterowi całego tego zamieszania, naturalnie pochodzenia żydowskiego (Michał Żurawski jako Jakub Szapiro).

Żydów mamy tu zresztą na pęczki, włącznie z groteskowo nazwanym Januszem Radziwiłkiem (w tej roli Borys Szyc, co zakrawa na marny żart), który ma za sobą jakąś PPS-owską przeszłość, ale głównie zajmuje się bandytyzmem, przy okazji zwalczając znienawidzonych faszystów, od których – jak powszechnie wiadomo – roiło się na ulicach miasta zarządzanego przez prezydenta Stefana Starzyńskiego.

Dzisiaj żydowskich gangsterów w Warszawie się nie uświadczy. Nie jestem jednak pewien, czy jest to akurat zasługą obecnego włodarza miasta, Rafała Trzaskowskiego, o którym skądinąd chętnie obejrzałbym kolejny serial. Byle nie ze scenariuszem Szczepana Twardocha i może nie wyprodukowany przez CANAL+. Przez telewizję publiczną zwaną – też raczej nie, ponieważ już po pierwszym odcinku „Ludzi i bogów" rozbolały mnie zęby, tak ta – także zapowiadana jako ósmy cud świata – produkcja nieudolnie nawiązuje do „Czasu honoru". Nic dwa razy się nie zdarza, a już cuda prawie nigdy, choć Polska cudami słynęła. Było to jednak w czasach przedtelewizyjnych. Czy też nawet i za telewizji, ale takiej, która w 4K nie nadawała. I jako taka się nie liczy. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

21-23 Października 2020

5 EDYCJA

KONGRES 590

www.kongres590.pl

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYZWANIA STOJĄCE PRZED POLSKIMI LASAMI I LEŚNICTWEM

22 PAŹDZIERNIKA (CZWARTEK)

JASIONKA K/RZESZOWA

W RAMACH ŚCIEŻKI 2. KONGRESU 590 POŚWIĘCONEJ KLIMATOWI

REDAKCJA TYGODNIKA "DO RZECZY" ZAPRASZA NA DEBATĘ:

PARTNEREM DEBATY SĄ

LASY PAŃSTWOWE

Lasy Państwowe

eprasa.pl 268820326

Nasi bracia poganie

Paweł Lisicki

Spór o to, w jaki sposób Kościół powinien się zmierzyć z wyzwaniami nowoczesnej cywilizacji, nie jest niczym nowym. Wielu polskich konserwatywnych publicystów uważa obecnie, że wojna kulturowa została przez katolików przegrana

Nie są oni oryginalni. Być może najważniejszym i najbardziej znanym zwolennikiem tezy o nieuchronnym upadku chrześcijaństwa na Zachodzie był już w latach 50. XX w. ksiądz Joseph Ratzinger, świeżo upieczony profesor teologii.

W lipcu 1958 r. ksiądz profesor Ratzinger bierze udział w spotkaniu dogmatyków i teologów fundamentalnych w Innsbrucku, gdzie poznaje osobiście szwajcarskiego teologa Hansa Künga. Według tego ostatniego „od razu [poczuli do siebie wzajemną] sympatię". Kilka miesięcy później ksiądz profesor Ratzinger, najmłodszy profesor teologii na świecie, publikuje tekst „Nowi poganie i Kościół". Ukazał się on w październiku 1958 r. – dokładnie w tym samym miesiącu, w którym w Castel Gandolfo umarł papież Pius XII. Profesor wychodził z założenia, że proces upadku wiary chrześcijańskiej będzie postępował. W tej nowej sytuacji mutacji powinna ulec chrześcijańska świadomość.

KŁOPOTY Z WYOBRAŹNIĄ

Profesor Ratzinger pisał: „Współczesnemu chrześcijaninowi trudno sobie wyobrazić, że chrześcijaństwo, wprost Kościół katolicki, ma być jedyną drogą zbawienia, przez co zakwestionowano jego absolutność, a także surową powagę misyjności, więcej – wszelkich wewnętrznych wymogów. Nie wierzymy, a może raczej, nie potrafimy sobie wyobrazić, że żyjąca obok nas jednostka ludzka, wspaniały, uczynny i dobry człowiek miałby znaleźć się w »piekle«, ponieważ nie jest praktykującym katolikiem. Wyobrażenie, że wszyscy »dobrzy« ludzie zostaną zbawieni, stało się obecnie dla przeciętnego chrześcijanina tak samo oczywiste, jak niegdyś przekonanie o przeciwieństwie tego stanowiska". Wszystko to śmiałe tezy. Z pewnością gdyby profesor usłyszał o nich, zanim poszedł do seminarium, byłby zaskoczony. Jednak lata studiów zrobiły swoje. Zamiast tradycyjnego, odziedziczonego katolicyzmu pojawił się neomodernizm ze swoim głównym postulatem zniesienia bariery między tym, co przyrodzone, a tym, co nadprzyrodzone, wiarą a niewiarą, Kościołem a ludzkością. Wyznanie wiary Świętego Atanazego, modlitwa, która tak zachwycała kardynała Newmana – „Ta jest wiara katolicka, której jeżeli kto wiernie i mocno nie wyznaje, zbawiony być nie może" – już nie obowiązuje.

Właśnie przeciw takiemu podejściu kierowało się ostrze polemiki Piusa w „Humani generis". Tyle że to w ogóle zdaje się na profesorze nie robić wrażenia. Gdyby sam papież miał odpowiedzieć na słowa profesora, zapewne stwierdziłby, że wiara nie

eprasa.pl 2fa82032cf

Ksiądz Joseph Ratzinger w latach 50. XX w. był znanym zwolennikiem tezy o nieuchronnym upadku chrześcijaństwa

FOT. KNA/SIPA/EAST NEWS

jest tym, co ludzie potrafią sobie w danym momencie wyobrazić, ale przekazanym przez Kościół nieomylnym Słowem. Dodałby zapewne, że „wyobrażenie” i „przekonanie” dowolnej grupy ludzi, nawet wielkiej, ma się nijak do prawdy. I zapewne wezwałby młodego teologa do powtórzenia prawdy, że „Kościół katolicki ma być jedyną drogą zbawienia”, i do odrzucenia, jako zgubnych, błędnych i bezbożnych poglądów, które młody Ratzinger zaczyna głosić w całkowitej zgodzie z „Katolicyzmem” de Lubaca i w całkowitej niezgodzie z naukami Kościoła, kiedy to twierdzi, że zgodnie z wolą Bożą przynależą do siebie, uzupełniają siebie i nawzajem siebie zbawiają Kościół i nie-Kościół, wierzący i poganie. „Przeciwstawienie Kościoła i nie-Kościoła nie oznacza »obok siebie« i nie »przeciwko sobie«, lecz »nawzajem dla siebie«, gdzie każda strona pełni własną funkcję. Niewielu, tworzącym Kościół, powierzona jest w kontynuacji misji Chrystusa reprezentacja wielu, a zbawienie obu dokonuje się jedynie w ich wzajemnym przyporządkowaniu i wspólnym podporządkowaniu zastępczemu działaniu Chrystusa, które je obejmuje. Skoro zaś ludzkość zostaje zbawiona w reprezentacji przez Chrystusa, a także w jej kontynuacji przez dialektykę »niewielu« i »wielu«, to znaczy to również, że każdy człowiek, a przede wszystkim wierzący, ma swój niezbywalny udział w całości procesu zbawienia ludzkości”. Gdyby Pius XII przeczytał te wywody, byłby z pewnością zszokowany. Z przerażeniem musiałby uznać, że wydana przez niego osiem lat wcześniej encyklika pozostała odrzucona. Zauważyłby przecież, że młody Ratzinger powtarza niemal tymi samymi słowami błędy de Lubaca, sprowadzając „do czczej formuły konieczność przynależenia do prawdziwego Kościoła, aby można zbawienie osiągnąć”. A może jest jeszcze gorzej?

W gruncie rzeczy zarówno de Lubac, jak i jego uczeń, młody Ratzinger, w ogóle nie domagają się od niewierzących nawrócenia. Przeciwnie: teolog wykształcony w Monachium wprost pisze, że „każdy człowiek […] ma swój niezbywalny udział w całości procesu zbawienia ludzkości” i że pozostawanie wśród pogan i niewierzących jest efektem woli Bożej, że Bóg chce niewiary i pogaństwa, że w ten sposób w historii niewierzący, odrzucając Boga, zbawiają też Kościół! Nie sądzę, żeby Pius XII był sobie w stanie wyobrazić, że takie słowa mógł napisać katolicki teolog. Albo inaczej. Gdyby się o nich dowiedział,

eprasa.pl 2fa82032cf

byłby przerażony. Wiedziałby, że stało się dokładnie to, co przewidział w 1950 r.: „Co bowiem dzisiaj głoszą niektórzy, z dodatkiem rozmaitych zastrzeżeń i rozróżnień, w sposób bardziej ukryty, to jutro śmielsi przedstawiać będą jawnie i bez umiaru, na szkodę duchowną wielu, osobliwie młodszego duchowieństwa i nie bez uszczerbku kościelnej powagi. Jeżeli zaś w książkach zwykło się jeszcze zachowywać pewną ostrożność, to występuje się śmielej w pismach komunikowanych prywatną drogą oraz na wykładach i zebraniach. A poglądy te szerzą się nie tylko wśród świeckiego i zakonnego duchowieństwa oraz po seminariach i naukowych instytucjach kościelnych, lecz także przenikają do świeckich, szczególnie tych, którzy poświęcają się nauczaniu młodzieży”.

ZNAKI DUCHA

Dokładnie tak było w przypadku młodego bawarskiego teologa. To, co jego nauczyciele głosili z zastrzeżeniami i w sposób ukryty, on zaczął szerzyć śmiało i bez umiaru. Niestety, po śmierci Piusa XII nie było nikogo, kto by się temu potrafił przeciwstawić. Brak oporu nowi teologowie uznawali za uznanie słuszności swoich tez. Głosili to, co nowe, powołując się na powszechną wrażliwość. Brak oporu i potępienia z Rzymu sprawiał, że tym bardziej utwierdzali się w tym, iż to, czego nauczają, nie jest „nowinką”, ale wyrazem powszechnej świadomości. A powszechna świadomość była znakiem Ducha.

Najbardziej szokującym twierdzeniem profesora Ratzingera było przekonanie, iż „widzimy więc, że Bóg może wybierać ludzi w dwojaki sposób: bezpośrednio lub przez ich pozorne odrzucenie. Mówiąc wyraźniej: widać, że Bóg rozdziela ludzkość na »niewielu« i »wielu«, który to podział wciąż na nowo pojawia się w Piśmie Świętym. […] Lecz Bóg nie dzieli ludzkości z tego powodu na niewielu i wielu, żeby jednych odrzucić, a innych uratować, ani też chcąc zbawić wielu łatwym sposobem, a niewielu bardziej skomplikowanym, tylko używa niewielu poniekąd jako punktu archimedesowego, skąd porusza wieloma jako dźwignią, którą przyciąga ich do siebie. Obie grupy mają swoje miejsca w drodze zbawienia różniące się od siebie, lecz nie pozbawiające drogi jej jedności”. Wynika z tego, że podział na wierzących, wybranych przez Boga, i niewierzących jest pozorny. Tak wiara jest dziełem łaski, jak niewiara. To, że w danym nam doświadczeniu widzimy chrześcijan i niechrześcijan, ma się nijak do rzeczywistości. Dialektycznie jedni potrzebują drugich, a wszyscy ostatecznie znajdą się „w ramionach nieskończonej miłości”.

Te rozważania przyszłego kardynała pisane są pod wyraźnym wpływem de Lubaca. W „Katolicyzmie”, który odegrał dla młodego Ratzingera formującą rolę, francuski teolog pisał: „Wszyscy członkowie ludzkiej rodziny – mimo często krańcowych różnic funkcji i posiadanego światła – są w samej swej istocie równi wobec Boga. »Niewierni«, opatrznościowo niezbędni w budowie ciała Chrystusowego, mają również w jakiś właściwy sobie sposób korzystać z wymiany życia, dokonującej się w tym ciele. Chyba można przypuścić, rozszerzając dogmat o Świętych Obcowaniu, że ludzie pozbawieni normalnych warunków zbawienia mogą jednak je osiągnąć dzięki tajemniczej więzi łączącej ich z wiernymi. Innymi słowy, dostąpią zbawienia, ponieważ stanowią składową część ludzkości, która będzie zbawiona”. W „Katolicyzmie” myśli te jednak są jeszcze wyrażone ostrożnie, z wieloma zastrzeżeniami. Jednak można już dostrzec kontury tego, co z całą mocą wypowiedział dwadzieścia lat później profesor Ratzinger: Kościół staje się swego rodzaju reprezentantem ludzkości, przez niego zbawiają się wszyscy ludzie. Być częścią ludzkości, to być zbawionym: Kościół jest jedynie danym w historii, postrzegalnym i danym znakiem tego powszechnego zbawienia. Dialektyka: wierni – niewierni w istocie ma tylko znaczenie czasowe i przygodne, nie unieważnia głębszej jedności ludzkości. Oczywiście z tego punktu widzenia nie ma sensu ani domagać się od niewiernych nawrócenia, ani, to konsekwencja, bronić się przed odejściem z Kościoła wiernych, którzy często okazują się letni, słabi, a ich wiara pełna jest niedoskonałości. Dla zbawienia nie ma znaczenia już akt przynależności do Kościoła – wiara i chrzest.

Wiele można o tych tezach profesora powiedzieć. Po pierwsze, nie sposób zrozumieć, że przedstawił je ktoś, kto uważał siebie za ucznia Świętego Augustyna, właśnie tego doktora, dla którego wiara i wybranie oraz niewiara i odrzucenie były rzeczywistością historyczną i namacalną, a nie grą pozorów. To Augustyn robił wszystko, co w jego mocy, by do owczarni Chrystusowej sprowadzić zbłąkane dusze, widząc w tym jedyny sposób ich ocalenia. Ten sam Święty Augustyn, tak rzekomo czczony przez profesora, kiedy w sporze z donatystami zrozumiał, że ich upór może doprowadzić do odejścia od Kościoła prostych wiernych, uznał, że wobec heretyków można używać przemocy.

ODWRÓCONA RADYKALNA RETORYKA

Po drugie, nie sposób pojąć, jak w tym samym tekście można głosić powrót do pierwotnego radykalizmu chrześcijańskiego i stawiać tezy, które z tym pierwotnym podejściem nie mają nic wspólnego, są bowiem totalną akceptacją wymagań świata. To świat nowożytny całym sobą buntuje się przeciw uzależnieniu zbawienia od wiary. Głosząc radykalny egalitaryzm, świat od 1789 r. domaga się zniesienia podziału na Kościół i nie-Kościół, wiernych i niewiernych. To świat współczesny zakazuje oceniać wartości człowieka pod kątem jego wiary. To świat współczesny w twierdzeniu, że poza Kościołem nie ma zbawienia, widzi przejaw ciasnoty, zaściankowości, niedojrzałości, fundamentalizmu, fanatyzmu. I oto profesor z Monachium przyjmuje to roszczenie świata i, rzecz niesłychana, przedstawia ową radykalną formę uległości duchowi świata jako… pierwotne dążenie chrześcijaństwa. Używa do tego heglowskiej dialektyki, za pomocą której znosi przeciwieństwa między wierzącymi a niewierzącymi, Kościołem i światem, wprzęgając ich w kołowrót przemian, w grę pozorów.

Doniosłość tego tekstu profesora Ratzingera polega na tym, że używając bardzo mocnej retoryki chrześcijańskiej i na pierwszy rzut oka wzywając do odrzucenia pogańskich naleciałości, faktycznie wprowadzał do samego centrum nauki chrześcijańskiej wszystko to, co przyniosły ze sobą rewolucja francuska i nowożytny humanizm. Być radykalnym chrześcijaninem było tym samym, co zaakceptować roszczenie współczesnych Europejczyków do tego, by nikt ich nie osądzał. Przezwyciężenie pogaństwa miało zostać dokonane przez jego… akceptację. Już nawet nie uznanie jako pewnej społecznej rzeczywistości – cała teoria i dialektyka profesora zakłada, że niewiara i pogaństwo są czymś ontologicznie doniosłym! Ewangeliczny radykalizm miał przejawić się w aprobacie bezbożnego świata. Żeby zabieg ten nie rzucał się w oczy, profesor raz po raz podkreśla, że jedynym zbawieniem dla chrześcijan i nowych pogan jest Jezus Chrystus. Jednak jest to najwyraźniej zasłona dymna. Istotą sporu ze światem nie jest powtarzanie, że Chrystus jest jedynym Zbawicielem, ale że fakt ten należy

eprasa.pl 2fa82032cf

przyjąć! Gdyby było inaczej, apostołowie mogliby pozostać w Wieczerniku. Profesor Ratzinger podążył tu również szlakiem wytyczonym przez de Lubaca. To francuski teolog pierwszy zastosował tę metodę retoryczną: nagle przełożył język Kościoła, język wiary nadprzyrodzonej na język świecki. Wszystko to, co Nowy Testament odnosi do nowego człowieka, człowieka odrodzonego z wiary i chrztu, de Lubac po prostu odniósł do człowieka jako takiego, do człowieka naturalnego. Chrześcijański patos został w ten sposób zinstrumentalizowany, został użyty do obrony wartości naturalnego człowieka.

Po trzecie, jeśli odrzucenie ze względu na niewiarę jest „pozorne", to i wybranie musi być „pozorne". Kim zatem jest ten Bóg, który wybiera przez „pozorne odrzucenie"? Jest On chrześcijańskim Logosem, w którym nie ma sprzeczności, w którym światło przegoniło ciemności, czy też gnostyckim duchem, który jest zawsze inny, niż się wydaje, światłocieniem? Czy też arbitralnie działającym satrapą, który „pozornie" wybiera i „pozornie" odrzuca? Tylko dla nas dokonuje się tu wybór, z Bożej perspektywy podział na wybranych i odrzuconych, wiernych i niewiernych jest pozorny. Po co w takim razie cała historia?

Wreszcie, po czwarte, w eseju profesora Ratzingera pojawia się też, typowe dla wszystkich innych radykałów, wskazanie, gdzie szukać faryzeuszy i hipokrytów. „Kto wie, czy pośród nich [w grupie na zawsze odrzuconych faryzeuszy] nie znajduje się także niejeden, który wierzy, że wolno mu się uważać za dobrego katolika, w rzeczywistości jednak jest [odrzuconym] faryzeuszem?". Siła retoryczna tekstu jest wyraźnie skierowana przeciw zadufanym w sobie katolikom. Nagle okazuje się, że „uważanie się za dobrego katolika" może być obciążeniem. Głoszenie wiary w takiej sytuacji wydaje się iście syzyfową pracą. Ba, staje się ono, jeśli domyśleć do końca konsekwencje tez profesora, moralnie podejrzane. Ktoś, kto zostaje chrześcijaninem, łatwiej przecież ulega pysze i bardziej podatny jest na wynoszenie się nad pozostałych. Inna sprawa, że jak wynika z tego, profesor Ratzinger jednak widział jakichś rzeczywiście, a nie „pozornie" odrzuconych. Czyli musiała istnieć miara pozwalająca odróżnić odrzuconych naprawdę i „pozornie".

CIĘŻKIE CZASY NIEWIARY

To tekst całkowicie przełomowy, epokowy wręcz. Seewald ma rację, kiedy poświęca mu cały osobny rozdział biografii i widzi w nim prawdziwy manifest myśli profesora Ratzingera. Wcześniej już zamieścił go na końcu książki „Ostatnie rozmowy", widząc w nim swego rodzaju duchowy testament. Rzeczywiście, to jest propozycja całkiem nowa. Jednak mimo najlepszych chęci trudno uznać ją za katolicką. Powszechny Kościół niewidzialny, niepokrywający się z widzialnym – to teza czysto protestancka. Przekonanie, że Kościół odgrywa rolę „zastępcy" w stosunku do niewierzącej części ludzkości, to rozwinięcie myśli de Lubaca. Profesor z Fryzyngi podkreśla, że jedynym Zbawicielem jest Chrystus, ale owo zbawienie dokonuje się całkowicie poza świadomością i wiarą poszczególnych ludzi, nie zależy już od jednostkowej odpowiedzi na „ofertę chrześcijaństwa", na historycznie określone „słowo" przekazane przez Kościół. Nowi poganie to nie niewierni i bezbożnicy: to bracia „umocowani w inny sposób w tej samej nadziei i groźbie". W istocie Kościół rozumiany jako ogół zbawionych i ludzkość są nie do rozróżnienia. Kościół historyczny to tylko „zastępca", „reprezentant" ogółu ludzkości. Składa się on nie jak niegdyś z pogan, którzy stali się chrześcijanami, ale „jest Kościołem pogan, którzy jeszcze nazywają się chrześcijanami, ale w rzeczywistości stali się poganami". Tak więc nie da się już odróżnić Kościoła od pogaństwa: „Pogaństwo znajduje się obecnie w samym Kościele, i to jest właśnie znakiem rozpoznawczym zarówno współczesnego Kościoła, jak i nowego pogaństwa, że chodzi o pogaństwo w Kościele i o Kościół, w którego sercu żyje pogaństwo".

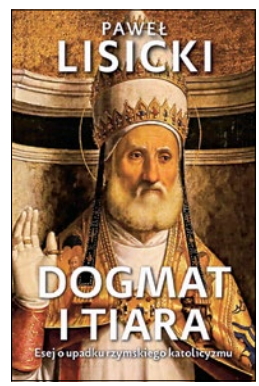

Doprawdy, Kościół musiały czekać ciężkie czasy, jeśli jego nową nadzieją był autor, który nie tylko uważał historyczny upadek chrześcijaństwa za dziejową konieczność, lecz także jeszcze, odwołując się do przesyconej gnozą dialektyki, racjonalizował tę dziejową klęskę. Hipostazował socjologiczne zjawisko letniości wiary Niemców i wprowadzał tę hipostazę w istotę Kościoła. W jego świadomości nie ma granicy między tym, co historycznie doświadczalne, a tym, co dogmatyczne, między nowym pogaństwem a wiarą.

Seewald widzi w tym wielkie pozytywne odkrycie. Trzy miesiące po wyborze na papieża w październiku 1958 r. Jan XXIII ogłasza zwołanie nowego soboru. Nagle okazuje się, że esej profesora Ratzingera może zawierać prawdziwy program dla soboru. Chodzi o radykalną „zmianę świadomości Kościoła w stosunku do »nowych pogan«, czy to w Kościele, czy poza nim" – pisze Seewald. Zapewne. Realizacja postulatów młodego profesora, które były jedynie skrajną wersją myśli de Lubaca, musiała prowadzić do przebudowy nauki Kościoła. Skoro podział na wiernych i niewiernych jest pozorny, skoro nie ma on znaczenia dla zbawienia, skoro najważniejsze jest co innego – poszczególny chrześcijanin ma być przede wszystkim bratem niewierzących bliźnich – to katolicyzm musiał ulec daleko idącej mutacji. Skoro zatarła się granica między tym, co pogańskie, i tym, co chrześcijańskie, trzeba budować szerszy i bardziej uniwersalny Kościół. Ale czy taki zmutowany katolicyzm, który wyrzeka się dogmatu, jest jeszcze katolicyzmem?

Łatwo było przewidzieć, że esej ten wywoła skandal. Jesteśmy wszakże już po śmierci Piusa XII, więc skandal ma dość łagodne konsekwencje. Wprawdzie profesor uchodzi teraz po publikacji za radykalnego lewicowego teologa i niektórzy z jego kolegów próbują protestować, ale jedyną karą, jaka go spotyka, jest to, że następca kardynała Faulhabera, kardynał Joseph Wendel, przenosi go do wyższej szkoły pedagogicznej, by tam uczył katechetów. Sam profesor jest oburzony takim potraktowaniem. Cieszy się, że mimo oskarżeń o herezję kardynał nie domaga się od niego odrzucenia żadnej tezy, skarży się tylko, że jego „charyzmatem" jest badanie teologiczne, a nie nauczanie w „szkółce". Po pewnym czasie z Bonn przychodzi zaproszenie do objęcia katedry teologii. Kardynał Wendel najpierw nie zezwala profesorowi opuścić Monachium, w końcu ulega. Idą całkiem nowe czasy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Są to fragmenty, specjalnie przygotowane dla tygodnika „Do Rzeczy", książki „Dogmat i tiara. Esej o upadku rzymskiego katolicyzmu", Wydawnictwo Fronda 2020. Książka właśnie ukazała się na rynku.

eprasa.pl 2fa82032cf

debata DO RZECZY

Niespełniony kolaborant

Romuald Szeremietiew

Czy można nazywać polityką realną to, co przed wojną odrzucało całe polskie społeczeństwo, czyli postulaty Władysława Studnickiego?

Piotr Zychowicz, autor książki „Germanofil. Władysław Studnicki. Polak, który chciał sojuszu z III Rzeszą", jest wielkim zwolennikiem Studnickiego. Kiedy Wydawnictwo Universitas przypomniało książkę Studnickiego z 1939 r. – „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej" – dodało do niej dwie wypowiedzi: Jana Sadkiewicza pt. „Kasandra polska" i Piotra Zychowicza – „Jak Władysław Studnicki próbował uratować Polskę od klęski". Zychowicz wtedy zapewniał, że Studnicki to „wielki polski prorok", który nie tylko przewidział przyszłość, lecz także starał się „powstrzymać klęskę". Narzekał: nie posłuchano Studnickiego, zwłaszcza nie posłuchał go prowadzący „nieodpowiedzialną politykę" min. Beck oraz ignorujący „proroka" marsz. Śmigły-Rydz.

Studnicki jest niewątpliwie ciekawą postacią – zaczynał aktywność polityczną jako socjalista, przeszedł do narodowców, aby w końcu zostać praktycznie bezpartyjnym germanofilem uważającym, że Polska powinna związać się z Niemcami i z tych pozycji rozwijać ekspansję w kierunku wschodnim. Jednak warte podkreślenia zdaniem Zychowicza jest to, że Studnicki w przededniu drugiej wojny światowej przewidział katastrofę, która spotkała Polskę, klęskę w starciu z Niemcami, atak Rosji, a nawet że na koniec wojny Wielka Brytania odda Polskę Stalinowi. Należało więc go posłuchać – mówi Zychowicz. I dodaje od siebie, że także zawrzeć sojusz z Hitlerem.

Studnicki uważał, że Polska powinna zerwać sojusze z Francją oraz Anglią i zaoferować Niemcom osłonę od strony ZSRS, gdy Hitler uderzy na Francję. Twierdził, że sytuacja Polski jest korzystna, bo „zanosi się na wojnę na zachodzie i Morzu Śródziemnym, na terenach od nas oddalonych". W związku z tym „nakazem naszego współczesnego stanu jest neutralność zbrojna, niepozwalająca obcym państwom (a więc i Niemcom! – przyp. R.Sz.) gospodarzyć na naszym terytorium". Podkreślał: „Obiektywnych podstaw do wojny polsko-niemieckiej nie ma". Jednocześnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Hitler wysuwa jakieś żądania wobec Polski. To posunięcie było w ocenie Studnickiego „fatalnym błędem" Hitlera wpychającym Polaków do obozu wrogów Niemiec. Władze RP uznały bowiem, że Niemcy chcą Polsce zgotować los Czechosłowacji, doprowadzić Polskę, tak jak Czechy, do całkowitej kapitulacji. To przypuszczenie Studnicki całkowicie odrzucał. Przekonywał, że Niemcy o tym nie myślą. W sprawie żądań po prostu „Hitler i jego przyjaciele pragnęli olśnić Niemcy powodzeniem" i dlatego domagają się Gdańska i autostrady przez polskie Pomorze. Dowodził, że sprawa autostrady jest „postulatem drobnym", a Gdańsk „de facto jest niemiecki", więc nie ma o co kruszyć kopii. Można Niemcom ustąpić. Zapewniał: „Nie obiektywne warunki stoją na przeszkodzie zbliżeniu polsko-niemieckiemu, lecz pewne momenty psychologiczne". Zdaniem Studnickiego: „Warunki geograficzne są naturalną podstawą kooperacji polsko-niemieckiej i wobec tej kooperacji w spokojnej atmosferze może być unormowana kwestia Gdańska i autostrady przez Pomorze".

CZEGO STUDNICKI NIE WIEDZIAŁ

Studnicki nie rozumiał, że wojna w Europie będzie unicestwieniem porządku międzynarodowego ustanowionego po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Porządku gwarantującego wielu narodom, w tym Polakom, byt państwowy. Dlatego z punktu widzenia interesów Polski zachowania tego ładu, także jego obrona, miały ogromne znaczenie. Tej okoliczności Studnicki nie brał pod uwagę. Nie dostrzegał, że Niemcy chcą zburzenia ładu wersalskiego (co godziło w interesy Polski) i mają w tym wsparcie faszystowskich Włoch oraz sympatycznych dla Polaków Węgier. Anglia i Francja, czasem Polsce niechętne, były natomiast obrońcami ładu wersalskiego, a więc nie powinno dziwić, że Polska opowiadała się po ich stronie. Nie zmieniało tego, że anglo-francuscy obrońcy słabo owego ładu bronili, a komplikowało sąsiedztwo Polski ze Związkiem Sowieckim, który zamierzał wykorzystać narastający konflikt do rozszerzenia swego panowania na Europę.

FOT. JAN

Politycy w Londynie, budując blok antyniemiecki z Francją i Polską, zamierzali powstrzymać Hitlera na progu wybuchu wojny. Londynowi chodziło o wykazanie Hitlerowi, że nie ma wystarczających sił, aby rozpoczynać wojnę światową. Takich sił rzeczywiście nie miał (założony program rozbudowy sił zbrojnych Niemiec był zrealizowany w 36 proc.)

eprasa.pl 2fa82032cf

i angielski sposób na niedopuszczenie do wybuchu wojny powinien był zadziałać. Podobnie myślał minister Beck, akceptując współpracę z Anglią. Hitler nie uwierzył, że Anglia wypowie Niemcom wojnę. Był przekonany, że wojna z Polską będzie miała ograniczony, lokalny charakter. Myślał irracjonalnie i napadł na Polskę, a Zachód wypowiedział wojnę Niemcom i w następstwie tego III Rzesza wojnę przegrała.

Studnicki nie rozumiał polityki brytyjskiej. Przeceniał siły Niemiec i Włoch. Uważał, że Londyn stara się uczynić z Polski przynętę odciągającą Niemcy od zdobywania kolonii w Afryce.

FRAGMENT NAJNOWSZEJ KSIĄŻKI PIOTRA ZYCHOWICZA

AKT OSKARŻENIA

Władysław Studnicki na przedwojennej fotografii

53

Hitler jako wroga Rzeszy w realizowaniu wielkomocarstwowego programu widział Francję spoglądającą stale w kierunku Rosji, która mimo panującego w niej bolszewizmu wydawała się Francuzom coraz cenniejszym i pożądanym sojusznikiem.

Dla każdego oceniającego zamiary Hitlera musiało być oczywiste, że Niemcy nie mogły ruszyć na Wschód, by zdobywać Lebensraum, jeśli wcześniej nie spacyfikują Francji, która będzie zagrażać Niemcom od Zachodu (Hitler obawiał się wojny na dwa fronty). Wyeliminowanie Francji, będącej mocarstwem, dysponującej wielkim potencjałem militarnym i sojusznikami w Europie Środkowej, nie było jednak sprawą prostą. Hitler liczył się z tym i dlatego usiłował przygotować się do starcia, powiększając potencjał, rozbudowując armię i opanowując stopniowo kolejne kraje, w tym te, które definiowały się jako sojusznicy Francji – Czechosłowację, Rumunię, Polskę. W przypadku Czech cenne dla Hitlera było zarówno zlikwidowanie czeskiej armii, będącej poważną siłą, jak i zdolności wytwórcze czeskiego przemysłu zbrojeniowego, które Hitler wykorzystał w pełni na potrzeby Wehrmachtu. To udało się osiągnąć w następstwie monachijskiej zgody Anglików i Francuzów na oddanie Sudetów Niemcom i w konsekwencji likwidację Czechosłowacji. Rumunia miała niezbędną Niemcom ropę naftową i nie miała większych oporów, by podporządkować się Berlinowi. Problemem była Polska, dysponująca silną armią, która mogła wojskowo utrudnić niemieckie działania przeciwko Francji. Było oczywiste, że planując wojnę z Francją, Hitler musiał wcześniej uzyskać pełną kontrolę nad Czechami, co mu się udało, ale także nad Polakami – nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie za wschodnią granicą Niemiec niezależnego od Berlina państwa polskiego, do tego niebędącego wprost sojusznikiem Niemiec, „neutralnego zbrojnie", jak to postulował Studnicki.

Odwołując się do przykładu czeskiego, można sądzić, że gdyby Polska w 1939 r. przyjęła żądania niemieckie, nie skończyłoby się na Gdańsku ani budowie niemieckiej autostrady do Prus Wschodnich przez polskie Pomorze. Warszawa, ustępując Berlinowi i wraz z tym rezygnując z sojuszu z Zachodem, znalazłaby się całkowicie na łasce i niełasce Hitlera. W przypadku Polski Hitler chciał oczywiście osiągnąć swoje cele pokojowo, bez wojny – jak to słusznie zauważał Studnicki. Jednak niemieckie żądania nie były jakimś „błędem" czy „fanaberią" Hitlera. To była droga do zwasalizowania Polski. Wbrew temu, co uważał Studnicki, Hitler nie potrzebował żadnej polskiej przesłony od strony Sowietów. Zamierzał uderzyć na Wschód, a Polska niepozwalająca mu „gospodarzyć" na jej terytorium byłaby wówczas zawalidrogą. Przekonanie Studnickiego, że w 1939 r. w relacjach z III Rzeszą Polska mogła doprowadzić do sytuacji, w której zachowałaby suwerenność oraz integralność terytorialną, będąc „zbrojnie neutralna", było całkowicie nierealistyczne.

Oceniając z dzisiejszej perspektywy wartość propozycji Studnickiego, widzimy, że prawidłowo przewidywał on przebieg wojny Polski z Niemcami, ale nie dostrzegał uwarunkowań sprawiających, że tej wojny Polska nie mogła uniknąć. W obliczu planów i zamiarów Hitlera, których Studnicki nie rozpoznawał, polscy przywódcy nie mieli żadnych szans, by uzyskać to, co proponował Studnicki w swojej książce. Studnicki de facto nakłaniał Becka do kapitulacji przed Niemcami.

ODRZUCONY PRZEZ WSZYSTKICH

„Germanofil" Zychowicza spoglądał na świat przez pryzmat doświadczeń XIX w. i nie rozumiał, czym jest narodowy socjalizm, jaką rolę może odegrać w polityce III Rzeszy. Nie rozumiał, że Polska, ustępując Hitlerowi, wejdzie na drogę utraty własnego terytorium i likwidacji suwerenności państwowej. Musi dziwić, że powyższych uwarunkowań nie dostrzegają zachwycający się Studnickim współcześni zwolennicy sojuszu z Hitlerem.

Obejrzałem dyskusję nad książką Zychowicza pt. „Czy Polska mogła sprzymierzyć się z III Rzeszą?". Prowadził ją autor książki zachęcający do wypowiadania się zebranych kolegów (Cenckiewicz, Rak, Karbowiak). Usłyszałem: Dlaczego Studnicki nie stworzył rządu kolaboracyjnego? Bo nikt mu tego nie zaproponował! Właśnie! Poglądy Studnickiego nie miały żadnego oddźwięku w polskim społeczeństwie, nie aprobowała ich rządząca Polską „sanacja", ale odrzucali wszyscy bez wyjątku opozycjoniści zwalczający sanację. Wiedzieli o tym Niemcy i dlatego zabiegi Studnickiego w latach okupacji, aby znaleźć jakąś formę współpracy z reżimem hitlerowskim, nie znajdowały zrozumienia w Berlinie. Dziwne, że tego nie rozumieją współcześni wyznawcy Studnickiego z red. Zychowiczem na czele, opowiadający, że polityka powinna być realna. Czy może być realną polityka, która ignoruje poglądy i postawy całego społeczeństwa?

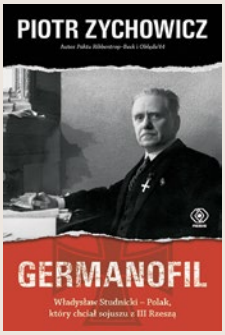

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest byłym ministrem obrony narodowej.

eprasa.pl 2fa82032cf

Lekcja Władysława Studnickiego

FOT. NAC

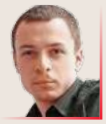

Jan Sadkiewicz

Druga wojna światowa przyniosła nam ogromne straty materialne, które z pewnością mogłyby być mniejsze, gdybyśmy prowadzili rozsądniejszą politykę. Trzeba walczyć z próbami racjonalizacji przedwojennej polityki. Przywrócenie pamięci o myśli politycznej Władysława Studnickiego jest krokiem we właściwym kierunku

Tak jak działań arytmetycznych nie sposób wykonywać bez znajomości liczb, tak i nie sposób mówić o polityce międzynarodowej bez uświadomienia sobie, jaki czynnik rządzi tą sferą ludzkiej aktywności. Czynnikiem tym jest potęga. To o nią rywalizują państwa od zarania dziejów i wbrew okazjonalnym iluzjom „końca historii" nic nie wskazuje na to, by miało się to zmienić. Rachunek potęgi leży (a przynajmniej powinien leżeć) w centrum refleksji o stosunkach międzynarodowych. Bez tego nie sposób zrozumieć, dlaczego wybuchają wojny, w jaki sposób kształtują się sojusze, jakie strategie przyjmują państwa. Troska o siłę państwa to podstawowy obowiązek jego przywódców.

Tylko na wczesnym etapie edukacji politycznej można się w tym dopatrywać czegoś niemoralnego. Napięcie między nakazami etyki a wymogami politycznej skuteczności oczywiście istnieje, ale to nie stosunek do potęgi wyznacza granicę między dobrem a złem. Potęga to nie tylko narzędzie dominacji, lecz także środek ochrony własnej zbiorowości przed przemocą zewnętrzną. Uznanie znaczenia potęgi w polityce to pierwszy krok do zrozumienia także ograniczeń siły, do umiejętności przyznania się do własnej słabości. To lekcja odpowiedzialności, to warunek niezbędny do poprawnego funkcjonowania politycznej wyobraźni.

ZROZUMIENIE ZASAD GRY

O potędze z kolei nie sposób rozprawiać, jeśli się nie rozumie, że jest ona wartością relatywną, że liczy się nie potęga absolutna, ale stosunek sił. Działań polityka nie można rzetelnie ocenić, jeśli się nie zidentyfikuje nie tylko sił, które posiadał, lecz także tych, z którymi musiał się zmagać. Dopiero wtedy można powiedzieć, czy wykorzystał on, czy zmarnował nadarzające się szanse, czy zminimalizował, czy też pogłębił zagrożenia. Rachunek potęgi daje wytyczne postępowania i kryteria oceny. Rozumiał to dobrze Władysław Studnicki.

Studnicki rozumiał przede wszystkim, co to są materialne podstawy potęgi: liczba ludności, wielkość i kształt terytorium, przemysł, dostęp do surowców, technologie. Wiedział, że braku fabryk i sieci kolejowych nie da się nadrobić patriotyzmem, a czołgów i samolotów nie zastąpi wola walki. Pojmował też relatywny charakter potęgi, umiał obliczać siły własne i obce.

Studnicki rozumiał, jaki wpływ na potęgę wywierają uwarunkowania geograficzne. Był świadom ograniczeń potęg morskich, odróżniał możliwości projekcji siły przez mocarstwa odległe i bliskie. Rozumiał też znaczenie lewarów, jakimi w stosunkach między państwami są zależności ekonomiczne.

Studnicki wiedział, że niepodległość jest wartością stopniowalną, innymi słowy: funkcją stosunku sił między nami

eprasa.pl 2fa82032cf

a naszymi sąsiadami. Im ten stosunek lepszy, tym większa nasza niezależność. Był świadom, że Polska w 1918 r. odrodziła się nie dzięki zwycięstwu sprawiedliwości dziejowej, ale dzięki drastycznemu osłabieniu Niemiec i Rosji. Już u progu niepodległości dostrzegał niebezpieczeństwo związane z nieuchronnym powrotem sąsiadów do potęgi.

Studnicki zdawał też sobie sprawę z dynamizmu stosunków międzynarodowych. Rozumiał, że traktaty nie kształtują politycznej rzeczywistości, a jedynie odzwierciedlają istniejący w danym momencie rozkład sił. Wiedział, że świat nie stoi w miejscu: jedne państwa słabną, inne rosną w siłę i ustanawiają swoje porządki do czasu, aż nie wyrosną im nowi konkurenci. Ta rywalizacja nigdy nie ustaje. Studnicki rozumiał, o co chodzi w tej grze, i potrafił zidentyfikować antagonizmy międzynarodowe uwarunkowane kierunkami zmian w układzie sił.

FAŁSZYWA „MAPA" BECKA

Wszystko to sprawiło, że w latach 30. XX w. Studnicki dysponował poprawną „mapą" otoczenia międzynarodowego. Jego memoriały czy prorocza, skonfiskowana wiosną 1939 r. książka „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej" nie były wynikiem jakiegoś przebłysku jasnowidzenia, ale racjonalną prognozą opartą na trafnie zdefiniowanych potencjałach, interesach i dynamice zbliżającego się konfliktu. Studnicki odpowiednio ocenił słabość Polski, siłę Niemiec, wartość sojuszu z Francją i Wielką Brytanią. Trafnie przewidział, że dołączenie przez Warszawę do koalicji antyniemieckiej spowoduje w pierwszej kolejności atak niemiecki na Polskę, że Polska zostanie szybko pokonana, że wojna na Zachodzie będzie przewlekła, a przede wszystkim to, że układ sił popchnie mocarstwa Zachodu do sojuszu z ZSRS, co całą koncepcję opierania na nich nadziei na zachowanie niepodległości czyniło bezsensowną. Dzięki temu Studnicki potrafił wskazać optymalne (co nie znaczy, że niewymagające wyrzeczeń) wyjście. Postulowane przez niego porozumienie z Berlinem dawało Warszawie największą możliwą w tamtych warunkach swobodę manewru: pozwalało uniknąć agresji niemieckiej (która wobec istniejącej dysproporcji sił musiała skończyć się katastrofą) i dawało nadzieję, że w razie wojny Polska będzie walczyć z jednym z sąsiadów w sojuszu z drugim, a nie z obydwoma jednocześnie. Przede wszystkim pozwalało przetrwać.

Trafność prognoz Studnickiego uderza tym bardziej, gdy zestawi się je z przewidywaniami, na których oparł swoją politykę Józef Beck. Minister zakładał, że sojusz polsko-brytyjski powstrzyma Hitlera przed wojną, a nawet jeśli nie powstrzyma, to Polska będzie zdolna stawić Niemcom znaczący opór, ZSRS odegra rolę co najwyżej drugorzędną, a Francja i Wielka Brytania koniec końców zwyciężą. Beck nie rozumiał bowiem znaczenia potęgi i nie potrafił jej mierzyć. Innymi słowy: miał w ręku fałszywą mapę, na której Polska była mocarstwem, ZSRS się praktycznie nie liczył, a Francja i Wielka Brytania były potęgami zdolnymi nie tylko pokonać Niemcy, lecz także decydować o kształcie Europy Środkowo-Wschodniej. Beck pchnął Polskę w przepaść, bo na jego mapie widniała w tym miejscu bezpieczna przystań, a obrońcy ministra do dziś pokazują nam tę fałszywą mapę na dowód, że ta polityka była „racjonalna".

Niektórzy mówią, że to wszystko nieważne, bo obowiązkiem ówczesnych polityków było bronić niepodległości bez względu na stosunek sił. Jest w tym twierdzeniu podwójne nieporozumienie. Po pierwsze, niepodległości nie można traktować jako jakiejś abstrakcyjnej wartości niemającej związku z warunkami, w których żyć musi naród polski, staje się ona wówczas tylko pustym frazesem. W 1939 r. niepodległość Polski była zagrożona nie przez sprawy Gdańska, autostrady eksterytorialnej czy też nawet klauzuli konsultacyjnej, ale dlatego, że stosunek sił był dla nas bardzo niekorzystny. Wojną polsko-niemiecką nie dało się tego stosunku poprawić na naszą korzyść, można go było tylko pogorszyć. Rozumiał to Studnicki, nie rozumiał tego niestety Beck, którego polityka doprowadziła właśnie do największego poniżenia niepodległości.

Po drugie, obowiązkiem polityka nie jest popychanie narodu do ofiar, które i tak nie mogą przynieść planowanego efektu, ale dbanie o to, by następcom przekazać naród i państwo w możliwie jak najlepszej kondycji. Trzeba sobie powiedzieć, że w życiu narodów były, są i będą okresy, w których osiągnięcie pełnej niepodległości z powodu beznadziejnego stosunku sił nie jest możliwe, i że stan taki nie zwalnia bynajmniej polityków z dbania o to, by narodu nie narażać na niepotrzebną utratę sił.

Nie brak też głosów, że Beck poprawnie obliczył potencjały przeciwstawnych koalicji i zapewnił Polsce udział w tej, która musiała wygrać. Zwolennicy takiej tezy nie chcą pamiętać, że nasi rzekomo dający gwarancję ostatecznego zwycięstwa sojusznicy ponieśli w 1940 r. sromotną klęskę, a decydujący wkład w ostateczne pokonanie III Rzeszy wniósł Związek Sowiecki. Tymczasem skutkiem polityki Becka był nie udział ZSRS w koalicji antyniemieckiej, ale sojusz niemiecko-sowiecki i stan, jaki istniał na ziemiach polskich od września 1939 do 22 czerwca 1941 r.

To Studnicki rozumiał, że nie da się sformować koalicji równoważącej połączone potęgi Niemiec i ZSRS, że jedynym sposobem na uniknięcie tego najczarniejszego scenariusza jest sprzymierzyć się z jednym z sąsiadów przeciwko drugiemu.

PYCHA I NIEODPOWIEDZIALNOŚĆ

Druga wojna światowa przyniosła nam ogromne straty materialne, które z pewnością mogłyby być mniejsze, gdybyśmy prowadzili rozsądniejszą politykę. Czasu jednak cofnąć się nie da. Można natomiast i trzeba walczyć z próbami racjonalizacji przedwojennej polityki, które do dziś deformują polską wyobraźnię polityczną i stawiają kryteria oceny działań politycznych na głowie. Kolejne pokolenia przekonywane są, że ryzykowanie wojny z najpotężniejszym mocarstwem w Europie jest polityką „racjonalną", a szukanie z nim ugody – „szaleństwem", że ściągnięcie agresora na siebie jest lepsze niż przyzwolenie, by uderzył na kogoś innego, że walka z jednym z sąsiadów w sojuszu z drugim jest scenariuszem gorszym niż bycie ofiarą koalicji sąsiadów, że ojczyźnie bardziej przysłużyć się można deklamacjami o „niepodległości" niż troską o relatywną potęgę państwa. Wszystko to dodatkowo podlane sosem frazesów o moralnej wyższości, chociaż pycha i nieodpowiedzialność były podstawowymi cnotami polskiej polityki przedwrześniowej.

Długa droga przed nami, by te deformacje wykorzenić. Przywrócenie pamięci o myśli politycznej Władysława Studnickiego jest z pewnością krokiem we właściwym kierunku.

Autor jest doktorantem na Wydziale Historycznym UJ, wicedyrektorem wydawnictwa Universitas.

eprasa.pl 2fa82032cf

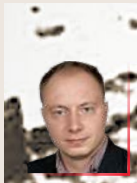

Z Jackiem Komudą, pisarzem i historykiem
rozmawia Maciej Pieczyński

Znaczenie militarne Wizny było ogromne

MACIEJ PIECZYŃSKI: Właśnie ukazała się „Wizna" – trzecia, po „Hubalu" i „Westerplatte, pańska powieść, poświęcona tematyce kampanii wrześniowej. Dlaczego wziął pan na warsztat akurat tę bitwę?

JACEK KOMUDA: Zdecydowałem się pisać o dramatycznych momentach polskiego Września '39. Dramatycznych, ale jednocześnie heroicznych, a przez to podbudowujących morale Polaków.

O obronie Westerplatte czy Wizny, o walkach mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala" wszyscy słyszeli – to wydarzenia, które ukształtowały naszą świadomość narodową. Dlatego warto o nich pisać. Jednak Wizna to temat znany powszechnie, ale powierzchownie. Każdemu obiło się o uszy określenie „polskie Termopile", ale ciągle jest to jeden z najsłabiej opracowanych epizodów wojny wrześniowej.

Z czego to wynika, skoro nawet w PRL temat Wizny nie był przemilczany?

Obroną Wizny dogłębnie zajmował się tak naprawdę tylko jeden historyk, Zygmunt Kosztyła. Napisał kilka artykułów i książek, takich jak chociażby „Wrzesień 1939 roku na Białostocczyźnie" czy „Obrona odcinka Wizna". Niestety, jego publikacje są już przestarzałe. W dodatku nigdy nie ujawnił części źródeł historycznych. Cytuje wiele relacji obrońców, które jednak nie zostały wydane drukiem, co osłabia ich wiarygodność. Jeśli bowiem Kosztyła dotarł do konkretnych osób i spisał ich wspomnienia, to powinien je opublikować lub udostępnić w archiwum, co jest wymogiem współczesnego historyka. Może znajdują się w pozostałych po nim prywatnych zbiorach. A być może zostały ocenzurowane. Kiedy pisałem o Westerplatte, natknąłem się na zbiór relacji ostatnich żyjących świadków obrony. Zostały one pocięte, ponieważ zawierały niewygodne fakty i tym samym burzyły komunistyczny mit heroicznej obrony Składnicy. Podobnie mogło być z Wizną. Pamiętajmy, że walczyli tam żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza. Być może w ich wspomnieniach przewijał się niewygodny dla komunistów temat Kresów Wschodnich, skąd pochodził sam Raginis. Możliwe, że właśnie dlatego Kosztyła nie mógł opublikować całości relacji Seweryna Biegańskiego czy Józefa Oleksego albo kaprala F. Pawlaka. Ponadto niektórzy historycy, moim zdaniem błędnie, deprecjonują znaczenie bitwy.

Doktor Tomasz Wesołowski twierdzi, że Niemców pod Wizną zatrzymała Narew, a nie polscy żołnierze, którzy – jego zdaniem – uciekli z pola walki.

Badacz ten stawia bardzo kontrowersyjne, mało wiarygodne tezy. Jedna z nich, głosząca, że dowódca obrony, kpt. Władysław Raginis, został zabity przez własnych żołnierzy, okazała się nieprawdziwa. Dowiodła tego ekshumacja przeprowadzona staraniami Stowarzyszenia „Wizna". Szczątki kapitana zostały zbadane przez specjalistów medycyny sądowej, którzy orzekli, że zginął on od wybuchu granatu.

Co do reszty – o ciężkich walkach pod Wizną mówią chociażby relacje kpt. Wacława Schmidta czy Tadeusza Tabaczyńskiego. Niech Wesołowski przedstawi własne źródła na poparcie kontrowersyjnych tez.

Pańska powieść ma częściowo formę dokumentu – podzielona jest na rozdziały, w których tytułach zawarte są dokładne daty, godziny, miejsca historycznych wydarzeń...

Powieść jest na tyle oparta na faktach historycznych, na ile to możliwe. Wykorzystałem wszystkie dostępne źródła polskie, niemieckie, a także relacje zebrane przez Instytut Sikorskiego w Londynie. Problem polega na tym, że wiele z nich pokazywało tylko część obrazu sytuacji. Przykładowo: „Obrona odcinka Wizna" Kosztyły podaje ogólny schemat bitwy, ale nie zawiera szczegółów zdobywania stanowisk polskich. Dlatego atak musiałem odtwarzać krok po kroku. Posiłkowałem się m.in. oględzinami schronów bojowych, ale nie spod Wizny, bo te nie przetrwały, tylko z pobliskiego Nowogrodu koło Łomży. Na marginesie – to również miejsce tragicznie zakończonych walk Polaków. Wszyscy obrońcy zginęli, prawdopodobnie rozstrzelani przez Niemców po zdobyciu schronów. Posłużyłem się też relacjami zdobywcy Wizny, Heinza Guderiana, który w swojej książce opisywał, jak zdobywano podobne umocnienia na Zachodzie i w Twierdzy Brzeskiej.

W książce opisuje pan moment, gdy Heinz Guderian wchodzi do zdobytego schronu Raginisa i na widok ciała oficera, który wolał zginąć, niż się poddać,

eprasa.pl 2fa82032cf

Niektórzy historycy błędnie deprecjonują znaczenie bitwy pod Wizną
FOT. DOMENA PUBLICZNA

mimowolnie unosi rękę do salutowania. Heroizm Polaków wywołał na Niemcach ogromne wrażenie?

Tak, ale trzeba pamiętać, że Guderian, niezależnie od podziwu dla wroga, w swoich wspomnieniach straszliwie kłamie na temat Wizny. Pisze niestworzone rzeczy o tym, jakoby spowolnienie marszu jego korpusu było spowodowane koniecznością budowy mostu na Narwi, nie zaś bohaterską obroną Polaków. To bzdura. Czterdziestotysięczny korpus musiał dysponować wystarczającymi środkami, aby w szybkim tempie zbudować przeprawę. To oczywiste, że Niemców zatrzymał ostrzał obrońców Wizny. Guderian często szuka dziwnych wytłumaczeń błędów, które sam popełnił.

Jak to się stało, że kilkusetosobowa załoga kpt. Raginisa przez dwa dni powstrzymywała 40-tysięczny korpus pancerny Guderiana?

Pomogła natura. Wystarczy spojrzeć na przedwojenną mapę. Okolice Wizny to miejsce, w którym Biebrza wpada do Narwi. To tutaj zaczynają się nieprzebyte bagna biebrzańskie. Przed wojną był to obszar podmokły, pełen trzęsawisk, błot, które ominąć można było jedynie drogą, prowadzącą przez środek polskich pozycji, pomiędzy Wizną a Strękową Górą. Na korzyść Niemców działał z kolei ówczesny klimat. Lato 1939 r. było mniej więcej takie jak współcześnie – czyli gorące i suche. Wody Narwi opadły, bagna stały się łatwiejsze do przejścia. Poza tym dysproporcja sił była ogromna. Dowództwo polskie uważało, że Wizna jest pozycją mało znaczącą, a co za tym idzie – że Niemcy nie będą jej atakować. 2 września odcinek ten został osłabiony. Spod Wizny zabrano batalion piechoty mjr. Fobera, którego Raginis był zastępcą. Pozostawiono jedną kompanię ckm ze wsparciem sześciu dział i jednostek saperskich, dodano drugą kompanię rezerwistów. To było za mało, by ten odcinek utrzymać. Jednak pierwszy atak Niemców został przeprowadzony fatalnie. 10. Dywizja Pancerna utknęła na drugim brzegu Narwi. Już na samym początku został ranny dowódca, gen. Ferdinand Schaal, a jego zastępca kompletnie nie potrafił sobie poradzić w ciężkim terenie. Sytuacja zmieniła się na korzyść Niemców, gdy sprawy w swoje ręce wziął sam Guderian. Dowódca korpusu nakazał atakowanie pojedynczo, po kolei każdego schronu. Niestety, ta taktyka okazała się skuteczna.

Jakie znaczenie militarne miała obrona Wizny dla losów całej kampanii wrześniowej?

Ogromne. Wystarczy spojrzeć na mapę i ruchy wojsk, by zrozumieć, jak kształtowała się sytuacja 10 września, gdy Niemcy zdobyli umocnienia bronione przez żołnierzy Raginisa. Na zachód od Wisły rozpoczynał się właśnie pierwszy, jeszcze zwycięski dla Polaków etap bitwy nad Bzurą. Z drugiej strony wojska znajdujące się między Wisłą a Bugiem zaczęły już realizować dyrektywę Naczelnego Wodza i wycofywać się w stronę granicy z Rumunią. Niemcy zamierzali wziąć te oddziały w kleszcze. Dlatego przerzucili przez Prusy Wschodnie korpus Guderiana. Miał on uderzyć przez Wiznę na Białystok i Brześć Litewski, odcinając Polakom drogę odwrotu. W pierwszym wariancie planu „Fall Weiss" Niemcy chcieli otoczyć armię polską na zachód od Wisły. Ponieważ jednak Polacy cofali się szybciej, niż Niemcy zakładali, plany zostały zmienione. Zdobycie Wizny było warunkiem niezbędnym do powodzenia całej ofensywy. Raginis, wstrzymując marsz Guderiana, dał wycofującym się oddziałom dwa dni więcej na uniknięcie okrążenia. Dzięki temu tysiące żołnierzy, zamiast do niewoli, dostało się do Rumunii, a następnie na Zachód, i mogło walczyć dalej.

Raginis przyrzekł, że prędzej zginie, niż się podda. Słowa dotrzymał. Postąpił jak Wołodyjowski. Dlaczego?

Złożył przysięgę, ponieważ chciał podbudować morale żołnierzy. Nastroje w oddziałach KOP były dobre, ale w 8. Kompanii, złożonej z rezerwistów, w tym dużej liczby Białorusinów, którzy nie mieli woli walki i często dezerterowali, fatalne. Raginis na własne oczy widział, jak w pierwszych dniach września rozpada się system dowodzenia, jak oficerowie uciekają… Dlatego musiał udowodnić swoim żołnierzom, że ich nie zostawi, a słowo oficerskie musi być dotrzymane. Poza tym Kosztyła podaje pewien ciekawy szczegół. Guderian, rozwścieczony, że nie może złamać pozycji polskich, zaszantażował Raginisa, że jeśli nie złoży kapitulacji, to wszyscy jego żołnierze wzięci do niewoli zostaną rozstrzelani. Być może również dlatego dowódca, mocno już schorowany, ranny (kierował obroną na leżąco), postanowił popełnić samobójstwo, biorąc na siebie całą odpowiedzialność za upór.

Jakie miejsce zajmuje mit „polskich Termopil" w tradycyjnych sporach o historię pomiędzy romantykami a realistami?

Nie nazwałbym tego mitem. Przede wszystkim historia Wizny pokazuje, że gdyby wojsko polskie nie opuszczało umocnionych linii obronnych, mogłoby z powodzeniem stawiać równorzędny opór Niemcom. Gdyby nie osłabiono załogi, a wzmocniono ją dodatkowo bronią przeciwpancerną, Guderian by nie przeszedł. Podpułkownik Tabaczyński, który dostał rozkaz wycofania się z pobliskiego Osowca, nie powiedział o tym Raginisowi. Wiedział bowiem, że jeśli załoga Wizny, w obliczu beznadziejnej sytuacji, opuści pozycje, to Niemcy błyskawicznie dojdą do Białegostoku, odcinając drogę odwrotu innym oddziałom. Raginis został więc skazany na pewną śmierć. To była tragiczna, ale konieczna decyzja polskiego dowództwa, które musiało poświęcić mniejszy pododdział, by ratować większe jednostki.

Jakim człowiekiem był Raginis?

Spokojnym. To najporządniejszy z moich bohaterów. Zarówno Hubal, jak i Franciszek Dąbrowski (zastępca dowódcy, a następnie faktyczny dowódca obrony Westerplatte) mieli skazy na pancerzach. Obaj łamali rozkazy dowódców. Na Raginisa nie znalazłem żadnych kwitów. To był wychowany w duchu patriotycznym w rodzinie kresowej młody oficer, który postanowił pozostać wierny przysiędze. I takim niech pozostanie w naszej pamięci.

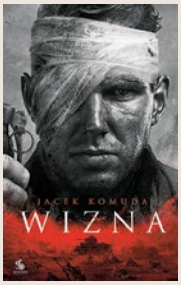

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Krew na habicie

Powstanie Warszawskie było największą tragedią spośród wszystkich tragedii, które spadły na naród polski podczas drugiej wojny światowej. W straszliwej hekatombie, która dokonała się w Warszawie, życie straciło ok. 150 tys. cywilów. Kobiet, dzieci i mężczyzn. Rozstrzelanych, spalonych żywcem, zmiażdżonych pod gruzami kamienic. Kolejne dziesiątki tysięcy Polaków zostały ranne. Setki tysięcy straciły dach nad głową.

To jednak tylko statystki. Koszmar Powstania można w pełni uzmysłowić sobie dopiero wtedy, kiedy poznajemy indywidualne losy ludzkie. Wstrząsająca książka „Boję się śmierci pod gruzami" o. Pawła Mazanki opowiada o dwóch ludzkich dramatach, które dokonały się w sierpniu 1944 r. W obu przypadkach ofiarami były osoby duchowne.

6 sierpnia Niemcy wyprowadzili z klasztoru przy ul. Karolkowej 30 redemptorystów. Zakonnicy zostali rozstrzelani, a ich doczesne szczątki spalone. Z kolei 31 sierpnia Niemcy zbombardowali klasztor ss. Sakramentek przy Nowym Mieście. Straszliwą śmierć poniosły 34 siostry zakonne. Była to największa masakra osób konsekrowanych w całej drugiej wojnie światowej.

Zarówno zakonnicy, jak i siostry odmówili ucieczki. Zakonnice do końca pielęgnowały znajdujących się w klasztorze rannych.

„Gestapowiec podchodził kolejno do każdego z tyłu i strzelał z automatu w głowę – wspominał świadek męczeństwa redemptorystów. – A gdy ciało omdlałe upadało, jedną i drugą serią dopełniał zbrodni. I tak zastrzelił wszystkich. Pozostawił tylko ojca przełożonego. Ten musiał patrzeć na wszystko. Wreszcie gdy się sadysta gestapowiec nasycił widokiem morderstwa i nieszczęśliwego ojca rektora, obszedł trupy wokoło i stanąwszy przed ojcem, strzelił mu w czoło i w serce. I tak dokończył zbrodni".

Książka o. Pawła Mazanki jest nie tylko znakomicie napisana, lecz także niezwykle starannie wydana. Szczególną uwagę zwraca bogaty materiał ikonograficzny. Na początku książki znalazło się grupowe zdjęcie zakonników z ul. Karolkowej zrobione w 1943 r. Autor oznaczył białymi krzyżami ojców zgładzonych w trakcie rzezi Woli… Wstrząsające. ©℗

★★★★★★

O. PAWEŁ MAZANKA CSSR
„BOJĘ SIĘ ŚMIERCI POD GRUZAMI. SAKRAMENTKI I REDEMPTORYŚCI W POWSTANIU WARSZAWSKIM"
WYDAWNICTWO SIÓSTR LORETANEK

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pech Zbyszka Cybulskiego

Chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, to Cybulski był jednym z najbardziej niewykorzystanych polskich aktorów. Po „Popiele i diamencie" (premiera 3 października 1958 r.) zagrał właściwie tylko jedną główną rolę na miarę swojego talentu. Było to w „Do widzenia, do jutra" – debiucie reżyserskim Janusza Morgensterna. Dla Cybulskiego był to zresztą film wyjątkowy, pożegnanie z Trójmiastem i najszczęśliwszym okresem życia.

Po przeprowadzce do Warszawy dostawał niewiele propozycji filmowych. Wprawdzie zagrał główne role w: „Jak być kochaną", „Salcie" czy w „Ich dniu powszednim", ale właściwie tylko „Giuseppe w Warszawie" był filmem na miarę jego talentu.

Największe zdziwienie wywołuje postawa Andrzeja Wajdy, który niemal całkowicie ignorował aktora, chociaż zawdzięczał mu gigantyczny sukces „Popiołu i diamentu". W rolach właściwych dla Zbyszka obsadzał innych, czasami z nie najlepszym skutkiem. Nawet w „Niewinnych czarodziejach" zaproponował mu tylko epizod, a główną rolę powierzył Tadeuszowi Łomnickiemu. W efekcie nakręcił dobry film, ale zapewne powstałby znacznie lepszy, gdyby w postać Bazylego wcielił się Cybulski. Niewykluczone, że byłaby to do dzisiaj jedna ze sztandarowych pozycji polskiej kinematografii.

W efekcie Cybulski najlepsze kreacje stworzył w epizodach, w których dawał z siebie wszystko. Zawsze zresztą twierdził, że dobrze zagrać epizod, to tak, jakby w szachach „dać przeciwnikowi mata w kilku ruchach".

Nie zaspakajało to jednak jego ambicji i rozgoryczony aktor twierdził, że sprzysięgły się przeciwko niemu stołeczne elity. Faktycznie, nie pasował do tego grona – był zbyt prostolinijny i uczciwy, by zostać zaakceptowanym. Popadał w coraz większą depresję i po alkoholu wyżalał się przypadkowym znajomym, co jeszcze bardziej pogłębiało niechęć do niego stołecznych decydentów filmowych. Cybulski miał zresztą na sumieniu konflikt z jednym z nich, Tadeuszem Konwickim. Panowie poznali się na planie „Popiołu i diamentu" i od tego czasu nie przepadali za sobą.

Inna sprawa, że Zbyszek prezentował typ mało zdyscyplinowanego aktora, był bardzo niepunktualny, a do tego wtrącał się do scenariusza. Posiadał też cechę, której twórcy filmów wyjątkowo nie lubią, ponieważ koncentrował na sobie uwagę publiczności i nikt nie zwracał uwagi na innych aktorów. Sytuacja nie zmieniła się do końca jego życia, a trzy miesiące przed tragicznym wypadkiem we Wrocławiu powiedział Beacie Tyszkiewicz (ówczesnej żonie Wajdy), że „Andrzej za nim jeszcze zatęskni". Przeczucia go niestety nie zawiodły... ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 2fa82032cf

Małgorzata Wołczyk

Przyboczna Merkel jako niemiecka minister zmagała się z serią skandali. Dlaczego wszyscy uwierzyli, że będzie rozsądna jako szefowa Komisji Europejskiej?

FOT. LAURIE DIEFFEMBACQ/EP/EU

Różyczka z Brukseli

Wraz Ursulą von der Leyen przyjdzie nam chyba przywyknąć do myśli, że nowoczesne miękkie reżimy ubierają swoich funkcjonariuszy już nie w siermiężne mundury generalskie, lecz dla niepoznaki w dopasowane garsonki w stylu Chanel.

Delikatna postura i elegancja madame Ursuli musi mieć jednak vis attractiva, skoro nawet europosłowie PiS dali się uwieść i zagłosowali za jej kandydaturą. Zapewne zaważyły chadecka etykietka „konserwatystka, matka siedmiorga dzieci" i fakt, że nijak nie przypominała Fransa Timmermansa.

Po ostatnim „orędziu", które wygłosiła szefowa KE, już chyba nikt nie ma wątpliwości, że szykować się trzeba na kolejne batalie, w których Polska będzie chłopcem do bicia, przynajmniej dopóty, dopóki nie stanie się chłopcem niebinarnym vel tęczowym, w każdym razie bardziej w guście przewodniczącej.

OD SZPITALA DO POLITYKI

Przyszła szefowa KE urodziła się w Brukseli (8 października 1958 r.) jako szósta z siedmiorga rodzeństwa i tam spędziła pierwsze 14 lat życia. Politykę ma w genach, bo jej ojciec, Ernst Albrecht, był chadeckim premierem Dolnej Saksonii, gdzie ponoć zarządzał z „protestancką pięścią i rygorem", zanim został zatrudniony w administracji EWG. Ursulę, jedyną córkę państwa Albrecht, nazywano w domu „Röschen", przez wzgląd na delikatność i urodę.

Rodzice posłali Różyczkę na studia do Londynu pod fałszywym nazwiskiem – Rose Ladson – i pod auspicjami Scotland Yardu z obawy przed porwaniem jej przez RAF (Frakcja Czerwonej Armii). Córka porzuciła jednak London School of Economics oraz wynajmowaną u Jacka Rostowskiego (!) stancję i wróciła do Hanoweru, żeby studiować medycynę. Dyplom lekarza ginekologa odebrała w wieku 28 lat, już jako żona profesora medycyny Heiko von der Leyena i matka pierwszego z siedmiorga dzieci. Po uzyskaniu doktoratu w 1991 r. wyjechała na cztery lata do USA, gdzie mąż na zaproszenie Uniwersytetu Stanforda rozpoczął pracę nauczyciela akademickiego. Ukończyła tam naukę z tytułem magistra zdrowia publicznego, a po powrocie do Hanoweru wstąpiła do CDU, partii swojego ojca. Przez pięć lat pracowała w szpitalu, m.in. prowadząc konsultacje z płodności dla kobiet i małżeństw.

W 2003 r. otworzyła sobie drzwi do świata polityki, najpierw na szczeblu lokalnym, potem regionalnym, i została ministrem rodziny Dolnej Saksonii. Jak wyznała w tygodniku „Stern", gdy ją pytano, gdzie była przez ostatnie 15 lat: „Byłam w szpitalu położniczym! Wiecie, jak cudownie pachną nowo narodzone dzieci?!" (widocznie teraz w Brukseli są lepsze zapachy, które pozwalają zapomnieć o braku urodzeń i masowej aborcji…).

Von der Leyen szybko przykuła uwagę berlińskich strategów i została ministrem ds. rodzin i młodzieży w pierwszym rządzie Angeli Merkel w 2005 r. Stała się protegowaną pani kanclerz, bo obie doskonale się dogadywały. Jako minister uruchomiła program pomocy finansowej dla rodziców „Elterngeld", przeforsowała urlopy ojcowskie i rozbudowę placówek opiekuńczych. A jednak okazało się, że było w tym więcej szumu i inwestycji niż realnego antidotum na starzejące się w przyspieszonym tempie społeczeństwo.

Po reelekcji w 2009 r. Angela Merkel poprosiła Ursulę von der Leyen o przejęcie teki ministra pracy, a pani doktor ginekologii nie wahała się zająć nowego stanowiska, aby powalczyć o miejsce kobiet nie tylko w polityce, lecz także

eprasa.pl 2fa82032cf

w radach nadzorczych. Chyba nie był to zbyt wygodny fotel ministerialny, skoro w 2013 r. znów na prośbę pani kanclerz przesiadła się na ten ministra obrony. Podobno sporo cierpiała z powodu powtarzających się awarii i niedoboru sprzętu wojskowego, a przede wszystkim z powodu skandali, których bohaterami okazali się jej doradcy. W dodatku Amerykanie wciąż nagabywali o odpowiedni budżet, zwiększenie niemieckich wydatków na obronność, więc każda wizyta w Stanach kończyła się niesnaskami. W dodatku von der Leyen opowiadała się za większą integracją europejską w dziedzinie obronności.

GASNĄCA GWIAZDA

Zarządzanie obroną okazało się gasić jej gwiazdę, choć wcześniej typowano ją na rezerwową kanclerz. W 2015 r. pojawiła się najpoważniejsza rysa na jej wizerunku – portal VroniPlag po analizie 62 stron jej doktoratu oskarżył ją o plagiat w 43,5 proc. W Niemczech zarzuty o plagiat zmiotły już wcześniej parę osobistości ze sceny politycznej (w tych dwóch ministrów kanclerz Merkel, więc sprawa wydawała się poważna, a kariera wisiała na blond włosku). Szefowa Bundeswehry zaprzeczała oskarżeniom na tyle zamaszyście, a kanclerz broniła ją na tyle zawzięcie, że w sukurs musiała przyjść też alma mater pani minister z rodzinnego Hanoweru. „Niezależna i ekspercka" Komisja Etyki, owszem, znalazła nieprawidłowości, owszem, brakowało cytowań, za to nie brakowało „elementów plagiatu", ale finalnie praca okazała się spełniać „kryteria naukowe", bo – jak zaznaczył przewodniczący komisji – „działania nie były celowe, to błąd, ale nie wykroczenie, polegające na nieprawidłowo stworzonych przypisach do cytowanych wypowiedzi".

Równolegle z zarzutem o plagiat prasa niemiecka dopatrzyła się kłamstw w jej CV i tytułów, których nie mógł jej zaoferować Uniwersytet Stanforda. Sprawa jednak spełzła na niczym, a wpadka goniła wpadkę.

Także w relacjach z Polską. Po raz pierwszy usłyszeliśmy o Niemce, gdy w jakimś talk-show wspomniała, że jedno z jej dzieci studiowało w ostatnich latach w Polsce i odczuło zmianę władzy w 2015 r. Nie wytrzymała więc i dodała w przypływie szczerości, że ważne jest wspieranie w Polsce „zdrowego, demokratycznego oporu" młodego pokolenia przy jednoczesnym podtrzymaniu dialogu z Polską i Węgrami. Nic dziwnego, że polskie władze zareagowały alergicznie na złamanie norm dyplomatycznych, ale niemiecki resort studził sytuację, broniąc się, że słowa zostały wyrwane z kontekstu.

Tymczasem w ojczyźnie reputacja von der Leyen pikowała z dnia na dzień po serii skandali związanych z – jak to określono – „prawicowym ekstremizmem". Po tym, jak w koszarach wojskowych znaleziono nazistowskie pamiątki i odznaczenia z czasów III Rzeszy, a niemieccy żołnierze misji ONZ w Mali wyryli na wieży strażniczej napis: „Gott mit uns", pani minister zarządziła kontrole na wszystkich szczeblach, informując, że nie będzie tolerowała kultu Wehrmachtu w dzisiejszej armii.

Wybuchła też afera, przez którą nazwisko Ursuli ponownie przewinęło się przez wszystkie dzienniki europejskie. Oto oficer Bundeswehry, por. Franco A., zarejestrował się jako syryjski azylant (pobierał nawet zasiłek z tego tytułu), a jednocześnie zbudował komórkę terrorystyczną, której zamiarem było przeprowadzenie ataku na czołowych niemieckich polityków, znanych zresztą z liberalnego stosunku do imigrantów, i to w taki sposób, aby w powszechnym odbiorze wyglądało to na kolejny atak muzułmańskich radykałów. Wyszło przy tym na jaw, że o jego podejrzanych inklinacjach rasistowskich i nacjonalistycznych wiedziano już wcześniej, ale nie podjęto żadnych działań dyscyplinarnych.

Pani minister znów ostro skrytykowała dowództwo wojskowe, oskarżając je o opieszałość, i zarządziła „głębokie i bolesne" śledztwo. I podczas gdy z jednej strony Bundeswehra ostrzeliwała ją krytyką za nadgorliwość i stosowanie odpowiedzialności grupowej, prezydent SPD Martin Schulz atakował z drugiej strony – za brak poczucia odpowiedzialności za skandal. Mimo tak licznych napięć z dowództwem armii i oskarżeń o zupełny brak kontroli nad resortem w 2018 r. została ponownie mianowana szefową obrony w nowym rządzie Merkel. I znów w spodniach i koszuli fotografowana była jako żelazna dama i inspektor wojskowy w Afryce i Afganistanie. Znów odpowiadała na naciski NATO, usiłując wyjaśnić, dlaczego Niemcy wciąż są daleko od celu uzgodnionego w 2014 r., czyli wydatkowania na poziomie 2 proc. PKB zamiast skąpego 1,35 proc. PKB.

Fotel ministra musiał ją jednak uwierać, skoro sama przyznała się do błędów w zleceniu kosztownego audytu zewnętrznego. Błędy to mało powiedziane, bo nieprawidłowości zaprowadzą ją w niedalekiej przyszłości przed oblicze komisji śledczej pod zarzutem nepotyzmu i lukratywnych kontraktów dla zewnętrznych konsultantów bez przeprowadzania przetargów. Śledztwo dziennikarskie „Der Spiegel" odkryło, że głównym beneficjentem była firma McKinsey, która ponoć traktowała ministerstwo jak bankomat.

PRZEŁOMOWE SPOTKANIE

Męczące stawało się bycie twarzą resortu pogrążonego w skandalach, ale przełomem okazało się urocze spotkanie z Macronem. Jak napisał Daniel Goffart (współautor książkowej biografii „Ursula von der Leyen"): „Macron był podobno pod ogromnym wrażeniem kosmopolitycznej Niemki. Prawdopodobnie na tym spotkaniu zdecydował się wprowadzić do gry Ursulę von der Leyen jako alternatywnego niemieckiego kandydata wobec wiodącego kandydata EPL i tym posunięciem zaskoczyć nawet Angelę Merkel".

Zaskoczonych wyborem pierwszej kobiety na stanowisko szefa KE było wielu, a o wygranej przesądziło zaledwie dziewięć głosów. Chociaż nie da się ukryć, że von der Leyen całe życie cierpliwie budowała sieć kontaktów, by jej nazwisko pojawiało się niemal na każdym spotkaniu międzynarodowych liderów polityki i biznesu, sama jest też przecież członkiem zarządu organizatorów Światowego Forum Ekonomicznego.

Hiszpański lewicowo-liberalny dziennik „El Confidencial" w tekście pt. „Kameleon von der Leyen przybywa do Brukseli oczyścić się z grzechów" ujął jej dążenia chyba najtrafniej: „Przez ostatnie dni grała muzykę, którą każda z wielkich rodzin najbardziej chciała usłyszeć. Obiecała socjaldemokratom to, co chcieli usłyszeć; liberałom to, co chcieli otrzymać; Zielonym dała przesłanie walki ze zmianami klimatycznymi, a konserwatystom przesłanie pokoju. I cóż z tego, że jej przemówienia były wewnętrznie sprzeczne?".

Jednak po roku już wiemy, że to nieprawda i nie wszystkim pani Ursula rozdaje po równo. Najwięcej otrzymają ci, którzy chcieli rewolucji ustrojowej w UE, i tęczowy dyktat. Nam zaś pozostanie to, do czego sama nas niechcący namawiała: „zdrowy, demokratyczny opór".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. MELANIE WENGER/EUROPEAN PARLIAMENT

FRANS OD WĘGLA

Wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej okazał się specjalistą od energetyki opartej na węglu, a właściwie nawet całej gospodarki. Frans Timmermans swoje eksperckie przemyślenia zdradził dziennikarzom Polsatu podczas wywiadu. Stwierdził m.in., że „węgiel przeżywa obecnie trudny okres gospodarczy" oraz że „węgiel nie ma przyszłości". Pan Timmermans najbardziej kibicuje Polsce. Zależy mu, żeby porzuciła zły węgiel, na którym opiera 80 proc. swojej gospodarki energetycznej.

OCHRONIARZ PREMIERA ZGUBIŁ PISTOLET

Ochroniarz brytyjskiego szefa MSZ Dominica Raaba wracał z szefem z wizyty w Stanach Zjednoczonych i zostawił na siedzeniu w samolocie pistolet. Naładowany. Znalazła go pani z ekipy sprzątającej samolot na lotnisku Heathrow. To już nie pierwszy brytyjski zapominalski ochroniarz. W lutym inny funkcjonariusz – ochraniający byłego premiera Davida Camerona – zapomniał zabrać pistoletu z samolotowej toalety.

POLICJANCI CHWALĄ HITLERA

W Niemczech odkryto, że 30 policjantów udzielało się na ksenofobicznych forach internetowych. Większość z nich to mundurowi z komendy głównej policji w Essen. W tych miejscach w sieci, gdzie się udzielali, zamieszczano m.in. zdjęcia Hitlera i fotomontaże ukazujące imigrantów podążających do komór gazowych. Wszyscy policjanci zostali zawieszeni w czynnościach służbowych.

BARBADOS JUŻ NIE CHCE KRÓLOWEJ

Chociaż to Polskę ruga się w Europie nawet za rzekome zapędy kolonizacyjne, to Brytyjczycy do dziś krępują niepodległe kraje. W przyszłym roku wyspa Barbados obchodzić będzie 55. rocznicę wyzwolenia się spod jarzma Wielkiej Brytanii. I właśnie jej premier poinformowała, że w związku z tym zamierza pozbawić brytyjską królową Elżbietę II funkcji głowy tego państwa. Królowa do tej pory reprezentowana jest tam przez gubernatora.

DENTYSTA CYRKOWIEC

Stomatolog z Alaski (USA) został skazany na 12 lat więzienia. W sieci wysłał do znajomych nagranie, na którym widać było, jak wyrywa pacjentce ząb, jeżdżąc na desce elektrycznej. Sąd uznał, że narażał zdrowie pacjentów. A przy okazji dowiedziono mu, że fałszował dokumentację medyczną i w ten sposób przywłaszczył sobie ok. 2 mln dol. Po 12 latach odsiadki przez 10 kolejnych lat nie będzie mógł wykonywać zawodu. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump kontra pedagogika wstydu

JACEK PRZYBYLSKI

Amerykanie powinni być uczeni DUMY z naszego Wielkiego Kraju – podkreślił Donald Trump, podpisując w zeszłym tygodniu tzw. rozporządzenie wykonawcze, na mocy którego firmy wykonujące zlecenia na rzecz armii oraz rządu USA nie będą mogły organizować niektórych szkoleń z tzw. różnorodności społecznej. Niemile widziane są koncepcje dzielące Amerykanów, w tym np. nauczanie, że USA są z gruntu „rasistowskie lub seksistowskie" albo że na każdej jednostce ciąży „odpowiedzialność za działania popełnione w przeszłości przez członków tej samej rasy czy płci". Zgodnie z rozporządzeniem firmy za organizację szkoleń, w których z danej rasy czy płci robi się kozła ofiarnego, mogą stracić rządowy kontrakt.

Biały Dom na początku września zapowiedział, że agencje federalne nie będą mogły wydawać pieniędzy podatników na finansowanie „sesji antyamerykańskiej propagandy", mówiących o uprzywilejowaniu białych lub nauczających, że „USA są krajem z natury rasistowskim lub złym".

W sierpniu podczas przedwyborczej konwencji Trump zapowiadał zaś „pełne przywrócenie patriotycznej edukacji w szkołach". Prezydent USA wzywał także swoich fanów, aby nie kupowali opon marki Goodyear, gdy wyszło na jaw, że podczas wewnętrznego szkolenia z tolerancji dla pracowników tej firmy hasło „Make America Great Again" zostało wpisane na listę nieakceptowalnych. Ze slajdu wyświetlanego podczas szkolenia wynikało także, że gumowi cenzorzy nie chcą też słyszeć o takich sloganach jak „Blue Lives Matter" (Życie policjantów ma znaczenie) czy „All Lives Matter" (Każde życie ma znaczenie), dopuszczalne są jedynie „Black Lives Matter" (Życie czarnych ma znaczenie) oraz hasła związane z LGBT. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ JESTEŚMY BEZPIECZNE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie
www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl 2fa82032cf

Śmierć Ruth Bader Ginsburg (druga od prawej w pierwszym rzędzie) istotnie zmieni układ sił w amerykańskim Sądzie Najwyższym FOT. FRED SCHILLING; COLLECTION OF THE SUPREME COURT OF THE UNITED STATES

Jacek Przybylski

Szybki wybór następczyni kontrowersyjnej Ruth Bader Ginsburg może sprawić, że w Sądzie Najwyższym zaczną bardzo wyraźnie dominować konserwatyści. To może odmienić nie tylko wynik listopadowych wyborów, lecz także światopoglądową przyszłość Ameryki

Konserwatyści odzyskają Amerykę?

Zmarła w wieku 87 lat Ruth Bader Ginsburg była legendą amerykańskiego sądownictwa, a jednocześnie ikoną aktywistów proaborcyjnych oraz lewicowo-socjalistycznych, a także jedną z trzech kobiet w dziewięcioosobowym składzie Sądu Najwyższego. Sądu, który nie tylko bada zgodność z konstytucją działań władzy ustawodawczej oraz wykonawczej, lecz także – mając prawo obalać ustawy przegłosowane przez Kongres – odgrywa ogromną rolę w życiu publicznym Ameryki, wywierając niezwykle istotny wpływ m.in. na kwestie ideologiczne oraz światopoglądowe. Z tego powodu Ameryka była świadkiem wielu sporów na linii Biały Dom – Sąd Najwyższy. W roku 2000 orzeczenie Sądu Najwyższego, nakazujące ręczne przeliczenie głosów oddanych na demokratę Ala Gore'a, pomogło zaś wyłonić zwycięzcę kontrowersyjnych wyborów prezydenckich.

Każdy wakat w Sądzie Najwyższym jest więc szansą na zmianę układu sił i przechylenie szali w lewą lub w prawą stronę. Ginsburg – nominowana jeszcze za czasów Billa Clintona – jest opłakiwana przez liberalnych Amerykanów. – Była niezwykłą mistrzynią sprawiedliwości i równości prawnej – wspominał zmarłą Bernie Sanders, znany amerykański socjalista i reprezentant radykalnie lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej. Była tak popularna, że jej zwolennicy jej podobiznę tatuowali sobie na ciałach. Sędzia została też bohaterką kreskówki, komiksów i piosenek.

eprasa.pl 2fa82032cf

To ona w 2013 r. zapisała się na kartach historii, gdy jako pierwszy członek Sądu Najwyższego USA udzieliła „ślubu" parze gejów. Wcześniej wspierała też lobby LGBTQ+ nie tylko w prawie do zawierania tzw. małżeństw, lecz także w staraniach o takie same przywileje podatkowe, jakimi cieszą się małżeństwa heteroseksualne. Jej krytycy – z wielu powodów nazywający R.B.G. antyamerykańską zołzą, wiedźmą, potworem czy hańbą dla Sądu Najwyższego – po jej śmierci mogą być nieco spokojniejsi o przyszłość swego kraju, a zwłaszcza o życie milionów nienarodzonych. Ruth Bader Ginsburg była bowiem skrajną zwolenniczką prawa do nieograniczonej aborcji. Trzeba jednocześnie zaznaczyć, że kontrowersyjna sędzia ma na swym koncie również pozytywne dokonania, w tym skuteczną walkę z dyskryminacją ze względu na płeć nie tylko w kwestiach zawodowych, lecz także np. w sprawach spadkowych.

WYBÓR NA LATA

Sędziów amerykańskiego Sądu Najwyższego wybiera prezydent. Aby cieszyć się tą niezwykle intratną posadą – kadencja jest dożywotnia, ale sędzia może sam zdecydować o przejściu na emeryturę – kandydat wskazany przez Biały Dom musi jeszcze zdobyć większość głosów senatorów. Obecnie Trump nie powinien mieć jednak większego problemu z przeforsowaniem swojego kandydata, ponieważ większość w stuosobowym Senacie ma Partia Republikańska. Nawet jeżeli republikanom nie udało się zdyscyplinować wszystkich i dojdzie do remisu, to i tak decydujący głos będzie należał do konserwatywnego wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a. Donald Trump chce więc „bezwłocznie" przeprowadzić całą procedurę, aby zdążyć przed listopadowymi wyborami prezydenckimi.

Ze względu na dożywotnią kadencję sędziów SN wybór obecnego prezydenta może nie tylko wpłynąć na wynik bieżących przepychanek politycznych, lecz także sprawić, że w Sądzie Najwyższym konserwatyści będą stanowili większość przez kilka lat, a może i dekad. Obecnie na dziewięciu sędziów pięciu uważanych jest za konserwatywnych, a czterech za lewicowych. Jeżeli Trump zdąży wskazać kandydata, a Senat go zatwierdzi, układ sił zmieni się na 6:3 na korzyść obozu konserwatystów. Obecnie prezesem SN jest John Roberts, nominowany za czasów George'a W. Busha. Z nominacji Busha juniora w ławach sądu zasiada jeszcze dwóch sędziów. Dwóch swoich kandydatów zdążył wprowadzić już do Sądu Najwyższego Donald Trump. Lewą stronę Ameryki reprezentuje jeden sędzia wskazany przez Billa Clintona oraz dwie panie nominowane przez Baracka Obamę.

Jeśli Trump zdoła wprowadzić do tego grona kolejnego konserwatywnego sędziego, to realne stałoby się spowolnienie liberalnej rewolucji w takich sprawach jak prawa środowiska LGBT czy dostęp do aborcji na życzenie. Sąd Najwyższy w konserwatywnym składzie mógłby obalić wyrok w sprawie Roe vs. Wade, który w 1973 r. zalegalizował w USA aborcję na życzenie, i zwalczyć szkodliwy lewicowy mit, jakoby nieograniczone prawo do aborcji przyczyniało się do szczęścia kobiet i zwiększało ich szanse na karierę w życiu zawodowym. Zmiana składu sędziowskiego może też wpłynąć na werdykt w głośnej sprawie dotyczącej systemu opieki zdrowotnej czy w kwestiach prawa wyborczego.

Oczywiście, zawsze może się zdarzyć, że sędzia o teoretycznie konserwatywnych poglądach podczas orzekania o kluczowych dla przyszłości Ameryki sprawach przejdzie na złą stronę, w historii USA było tak choćby z Anthonym Kennedym czy Davidem Souterem.

Mimo to lewicowi, a zwłaszcza proaborcyjni aktywiści – wspierani przez niezwykle intratny biznes aborcyjny – wpadli w szał. Przedstawiciele Partii Demokratycznej zażądali od Donalda Trumpa, aby wstrzymał się z wyborem. Jego rywal Joe Biden przekonywał zaś, że to wyborcy powinni najpierw wybrać prezydenta, a dopiero ten następcę Ruth Bader Ginsburg. Demokraci przypominają, że gdy Barack Obama w podobnej sytuacji w 2016 r. nominował do Sądu Najwyższego Merricka Garlanda, większość Partii Republikańskiej zablokowała jego kandydaturę, przekonując, że sędzia powinien zostać wybrany już przez nowego prezydenta.

Atakujący Trumpa zapominają jednak o tym, że Obama próbował przeforsować swojego kandydata, ale po prostu zabrakło mu głosów, aby mu się to udało. – Od 1888 r. żaden Senat nie zatwierdził w roku wyborczym kandydata do Sądu Najwyższego wskazanego przez prezydenta z przeciwnej partii – przekonywał w 2016 r. obecny lider senackiej większości Mitch McConnell. I to spostrzeżenie jest aktualne również dziś.

Przeciwnicy Trumpa nie chcą również pamiętać o tym, że zmarła właśnie Ruth Bader Ginsburg przekonywała w roku 2016, iż to republikanie nie mają racji i urzędujący prezydent Obama powinien skorzystać ze swego przywileju, ponieważ wyborcy zgodnie z konstytucją powierzyli mu władzę na pełne cztery lata, a nie tylko na trzy.

Oczywiście, jak na reprezentantkę lewicy przystało, gdy to samo prawo miało dotyczyć innego prezydenta, zmieniła zdanie. „Moim najbardziej żarliwym życzeniem jest, by nie zastępować mnie do czasu zaprzysiężenia nowego prezydenta" – takie słowa miała podyktować wnuczce na kilka dni przed śmiercią 18 września.

Z POMOCĄ KOBIET

Zdaniem amerykańskich politologów i dziennikarzy wybór dokonany przez prezydenta Trumpa może wpłynąć nie tylko na przyszłe losy światopoglądowych bitew w Ameryce, lecz także na wynik najbliższych wyborów prezydenckich.

Trump swego kandydata miał ogłosić w sobotę, już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy". W zeszłym tygodniu na dziennikarsko-politycznej giełdzie nazwisk były m.in.: 48-letnia Amy Coney Barrett, sędzia sądu apelacyjnego, była profesor prawa na Uniwersytecie Notre Dame, matka siedmiorga dzieci i zagorzała katoliczka, a także córka uciekinierów z Kuby 52-letnia Barbara Lagoa, która odebrała katolickie wykształcenie i nie wstydzi się publicznie mówić o swej osobistej relacji z Panem Bogiem. W zeszłym roku Lagoa przekonywała, że prawnicy powinni brać przykład z XV-wiecznego angielskiego myśliciela, polityka, pisarza oraz chrześcijańskiego męczennika Tomasza Morusa i w żadnym razie nie zgadzać się na usprawiedliwianie upadku wiary lub przekonań moralnych kwestią oddzielania życia zawodowego od prywatnych, duchowych przekonań.

Jeżeli prezydent Donald Trump zdecyduje się na którąś z tych kandydatek, to może uzyskać dodatkowe poparcie wśród głosujących kobiet. Z pewnością przedwyborcza nominacja pomoże jednak zmotywować do pójścia do urn również zwolenników Joe Bidena. Jedno jest pewne – do listopada politycznych emocji Amerykanom nie zabraknie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

Z dr. Mikiem Davidsonem, psychoterapeutą, szefem Fundacji Rzeczy Najważniejszych
rozmawia Piotr Włoczyk

Tęczowe lobby chce nas zniszczyć

FOT. ARCHIWUM MIKE'A DAVIDSONA

PIOTR WŁOCZYK: W lipcu okazało się, że Barclays, jeden z największych brytyjskich banków, zamierza we wrześniu zamknąć konto waszej fundacji. Deklaracja ta była skutkiem presji lobby LGBT, które uważa waszą działalność za krzywdzenie osób homoseksualnych. Jak to się skończyło?

DR MIKE DAVIDSON: Oczywiście zamknęli nam konto bankowe, ale to nie wszystko. PayPal, dostawca usług płatniczych przez Internet, również odciął nas od swojego systemu. Tak samo jak platforma e-mailingowa MailChimp, z której usług korzystaliśmy. Barclays chce być uważany za przyjaciela LGBT, sponsoruje wielką paradę równości w Londynie, ale równocześnie ten bank bez większych wyrzutów sumienia robi interesy tam, gdzie homoseksualizm jest zakazany przez prawo.

W Wielkiej Brytanii nie brakuje banków. To nie będzie dla was pewnie większy problem.

To prawda, ale tu nie o to chodzi. To skandal, że jakikolwiek bank może nas tak potraktować, szczególnie po tylu latach współpracy. Tak właśnie działają jednak aktywiści LGBT. Skoro do tej pory nie udało im się zmusić brytyjskich władz do delegalizacji naszej działalności, to starają się nas zniszczyć po swojemu.

Premier Boris Johnson otwarcie zapowiedział w lipcu, że chce was zdelegalizować: „W naszym kraju nie ma miejsca na tak odrażające praktyki".

Premier Wielkiej Brytanii w kwestii LGBT zajmuje różne stanowiska. Niestety Boris Johnson nie ma dobrych informacji na temat naszej działalności. Słucha lobbystów LGBT, a nasza strona nie jest dopuszczana przez władze do głosu. Brytyjska Partia Konserwatywna chce zapewnić sobie głosy środowiska gejowskiego i robi politykę kosztem mniejszości konserwatywnej. To smutny paradoks.

Spodziewa się pan, że wasza działalność zostanie niedługo zakazana w Wielkiej Brytanii?

To jest ich cel, ale lobbyści LGBT będą mieli z tym problem. Ciężko bowiem zakazać wolnym ludziom poszukiwania pomocy u specjalistów, którzy taką pomoc mogą im okazać. Zarzuca się nam krzywdzenie ludzi, ale druga strona nie przedstawia na to żadnych konkretnych dowodów. Ten rodzaj terapii nikogo nie krzywdzi, za to zakazanie nam działalności z pewnością odbierze wolność tym, którzy szukają pomocy.

Kto szuka u pana pomocy?

Dorośli ludzie, zazwyczaj w wieku od 20 do 50 lat. Część ma żony lub mężów. Około połowy to ludzie wierzący. Wszystkich łączy jedna rzecz – chcą wyjść z homoseksualizmu.

Dlaczego?

Ponieważ generalnie nie są z nim szczęśliwi. Część z powodu konfliktu z wyznawanym systemem wartości, inni po prostu dlatego, że im to nie odpowiada – źle się z tym czują. Niektórzy dokładnie wiedzą, co w ich przeszłości zadecydowało o tym, że weszli na homoseksualną drogę.

Aktywiście gejowscy przekonują jednak, że homoseksualizm nie ma żadnej „przyczyny". Tak już po prostu jest, że niektórzy tacy się rodzą. To ich natura.

To nieprawda. To nie jest ludzka natura. Lobby LGBT od dawna czeka na naukowe potwierdzenie tej tezy. Wciąż szukają „gejowskiego genu", ale nie potrafią go znaleźć. Korzenie homoseksualizmu są różne. W wielu przypadkach tacy mężczyźni czują się outsiderami, czują się wykluczeni z męskiego świata. Bardzo łatwo przychodzi im zawieranie przyjaźni z kobietami, ale trudno im się buduje relacje z mężczyznami. Stają się oni dla nich „tajemniczy", a w okresie dojrzewania pociągający. W pewnym momencie nabiera to cech seksualnych. Ludzie ci wpadają w stan, który można nazwać wiecznym nienasyceniem. Nie da się bowiem wypełnić głodu emocjonalnego seksem.

eprasa.pl 2fa82032cf

Molestowanie w dzieciństwie również może wyzwolić w człowieku takie tendencje. Tak potworne doświadczenia mogą kompletnie zniszczyć dziecięcą psychikę. Jeżeli odbywało się to na zasadzie homoseksualnej, to dziecko może sobie potem wmówić, że to musi być jego prawdziwa natura. Zdarza się, że osoby homoseksualne odkrywają po latach, iż ich zachowania to efekt traumy z dzieciństwa. To pierwszy krok na drodze wiodącej do – w niektórych przypadkach – porzucenia homoseksualizmu.

Jak to było w pańskim przypadku?

Byłem już żonaty i myślałem, że mam to za sobą, ale to jednak nie było takie proste. Te pragnienia zaczęły wracać. Doszło do tego, że wiedziałem, iż muszę iść do specjalisty. Chodziłem na terapię przez 2,5 roku. I udało mi się. Dzięki temu uratowałem małżeństwo. Dlatego reaguję bardzo emocjonalnie, gdy słyszę, że ktoś chciałby zakazać ludziom poszukiwania pomocy w tych sprawach. Po sobie wiem, że można zmienić swoje życie.

Jak pan podejrzewa, z czego to wynikało?

Mam 65 lat. W czasach mojej młodości nie mówiło się o takich sprawach. Nie miałem wystarczająco silnej więzi z ojcem, co przełożyło się potem na moje życie. Miałem trudności z budowaniem relacji z kolegami. Czułem, że nie jestem wystarczająco dobry, i w końcu mężczyźni zaczęli mnie fascynować. Z biegiem czasu pociąg do innych chłopców zaczął mieć podtekst seksualny. Byłem zagubiony, ale miałem nadzieję, że to przejdzie. Tak się jednak nie stało – potrzebowałem profesjonalnej pomocy. Pamiętajmy, że budowanie własnej wartości u dzieci jest bardzo ważne.

To pańskie przesłanie do wszystkich rodziców?

Tak. Rodzice muszą bardzo dbać o relacje ze swoimi dziećmi. Małe dzieci muszą mieć dobre wzorce w postaci ojca lub matki. Jeżeli z jakichś powodów nie ma ojca lub matki, to tę rolę musi wypełniać inny bliski dorosły tej samej płci – dziadek, babcia, wujek lub ciocia.

Jaki jest wasz wskaźnik sukcesu?

Terapia pomaga – w większym lub mniejszym stopniu – chyba wszystkim. Zazwyczaj na koniec słyszę od ludzi, z którymi pracujemy, że lepiej się ze sobą czują. Ale prawda jest taka, że tylko niewielka mniejszość na trwałe rozpoczyna heteroseksualne życie. Porzucenie homoseksualizmu jest naprawdę trudne.

Warto tyle energii poświęcać na przestrzeganie przed legalizacją tzw. małżeństw homoseksualnych?

Zdecydowanie tak. W społeczeństwach, gdzie od lat rodziny są rozbijane, legalizacja „małżeństw" jednopłciowych tylko przyspiesza proces rozkładu tradycyjnych wartości. To zresztą cel skrajnej lewicy, która dąży do tego od ponad 50 lat. Neomarksistowska rewolucja to po prostu fakt. Ci ludzie chcą zmienić społeczeństwa silne wartością tworzących je rodzin w luźny zbiór jednostek, bez oparcia w najbliższych. Takie społeczeństwa tym łatwiej będzie im przemodelować po swojemu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Mike Davidson – jest psychoterapeutą, szefem Fundacji Rzeczy Najważniejszych (Core Issues Trust – CIT), brytyjskiej organizacji, która oferuje pomoc psychologiczną osobom zagubionym w kwestii własnej orientacji seksualnej lub tożsamości płciowej.

REKLAMA

Przeczytaj i przeżyj!

Istota człowieczeństwa to wolność wyboru.

Nowa książka bestsellerowego autora - ks. Arkadiusz Paśnik i Victor Frankl zabierają nas w podróż w głąb ludzkiej natury. „Człowiek" to historie ludzkich głodów, pasji i pragnień. I podjętych wyborów.

Zemsta smakuje najlepiej... przyprawiona miłosierdziem.

Emocjonująca, oparta na faktach relacja biskupa Saada Hanny, w której opowiada o swoim uprowadzeniu przez muzułmańskich ekstremistów.

patronat medialny

patronat medialny

Przeczytaj, zachwyć się życiem i kieruj miłością!

Prawdziwa, wzruszająca, niekiedy... zabawna opowieść o matce chorej na alzheimera. A także o jej neapolitańskiej rodzinie i odwiecznym dylemacie: opieka w domu, czy ośrodek?

Odwaga, piękno i pasja życia – przeczytaj i naśladuj.

Rewelacyjna powieść s. Benedykty Karoliny Baumann OP o bł. s. Julii Rodzińskiej, jednej z 108 męczenników II wojny światowej.

Zapraszamy na www.edycja.pl, do księgarni Edycji Świętego Pawła i do dobrych księgarni stacjonarnych

ŚWIĘTY PAWEŁ

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. ADOBESTOCK

Antypody wolności

Tomasz Cukiernik

Polska zyskałaby więcej, gdyby wzorowała się na nowozelandzkich reformach gospodarczych

Niewiele osób wie o tym, że pięć lat przed polską tzw. transformacją ustrojową w Nowej Zelandii ruszyła głęboka przebudowa tamtejszej gospodarki. W 1984 r. kraj na antypodach po dekadach coraz głębszego etatyzmu, protekcjonizmu i interwencjonizmu państwowego znalazł się w bardzo nieciekawej sytuacji. Omnipotentne państwo szeroko angażowało się w prowadzenie działalności gospodarczej. Władze zajmowały się nie tylko edukacją, służbą zdrowia i sprawami socjalnymi, lecz także zarządzały takimi gałęziami gospodarki, jak poczta i telekomunikacja, transport, kopalnie, sektor naftowy, gazowy, energetyczny, bankowy czy ubezpieczeniowy, budowa domów, produkcja filmów, turystyka, lasy. Było to bardzo nieefektywne i drenowało finanse państwa. Ponadto bardzo mocno uregulowane było rolnictwo, które miało istotny udział w eksporcie kraju. Co więcej, prywatna inicjatywa była tłamszona regulacjami, a na dodatek w latach 70. przeprowadzono nieudany program Think Big, który polegał na wielkich państwowych inwestycjach przemysłowych. Na przykład uruchomiono hutę, która produkowała dwa razy więcej stali, niż potrzebował nowozelandzki przemysł, a możliwości eksportowe były ograniczone.

EFEKTYWNOŚĆ „POLSKIEJ STOCZNI"

„Do połowy lat 80. XX w. Nowa Zelandia była czymś na kształt sennego zaścianka, izolowana wysokim poziomem protekcjonizmu i interwencjonizmu państwowego oraz regulacji nieporównywalnych do żadnej innej rozwiniętej zachodniej gospodarki" – napisał badacz tamtejszej ekonomii Patrick Massey. Co więcej, rosły podatki, wydatki publiczne i biurokracja, a tempo wzrostu gospodarczego było poniżej 1 proc. Wzrastały także inflacja, zadłużenie publiczne i bezrobocie. W tamtym okresie Nowa Zelandia miała najniższy dochód na osobę wśród krajów rozwiniętych, a efektywność mającej coraz większe kłopoty nowozelandzkiej gospodarki przez premiera Davida Lange'a została w 1984 r. przyrównana do efektywności „polskiej stoczni" w czasach komunistycznych. Dlatego też nowozelandzkie reformy z lat 1984–1999 objęły niemal każdą sferę życia gospodarczo-społecznego.

W 1984 r. wiele branż gospodarki znajdowało się pod bezpośrednim zarządem departamentów rządowych i władz samorządowych. Dlatego w pierwszym etapie reform przekształcono je w przedsiębiorstwa państwowe, by w drugim jednostki te sprywatyzować. Już pierwszy etap dał pozytywne efekty, a drugi okazał się wielkim sukcesem. Podczas gdy w Polsce dochody z prywatyzacji przeznaczano na bieżące funkcjonowanie państwa, na dodatek ciągle zwiększając zadłużenie publiczne, na antypodach poza przywróceniem wydajności państwowych dotychczas przedsiębiorstw celem prywatyzacji było także spłacenie zadłużenia publicznego. W przeciwieństwie do Polski, gdzie niejednokrotnie sprzedawano państwowy majątek na niejasnych i nie do końca uczciwych zasadach, w Nowej Zelandii preferowano otwarty i konkurencyjny przetarg, by maksymalizować dochód państwa. Dzięki temu nie występowały pokusy korupcyjne. Na przykład za firmę telekomunikacyjną uzyskano o jedną czwartą więcej, niż pokazywały szacunki analityków sektora prywatnego. Jednak wcześniej – co bardzo istotne – dokonywano deregulacji i demonopolizacji prywatyzowanej gałęzi gospodarki. W Polsce tego nie robiono, czego skutkiem był potem brak wystarczającej konkurencji, tak jak w przypadku banków czy branży telekomunikacyjnej. W Nowej Zelandii zrezygnowano ze sprzedaży udziałów pracownikom czy menedżerom, a także z programów powszechnej prywatyzacji, co miało w Polsce miejsce pod postacią szczególnie nieudanego Programu Powszechnej Prywatyzacji firmowanego przez Janusza Lewandowskiego. Roger Kerr, prezes think tanku New Zealand Business Roundtable, ocenił, że „większość nowozelandzkich prywatyzacji była sukcesem w sensie wartości dodanej do gospodarki, zmniejszenia cen, polepszenia usług dla konsumentów i zwiększenia rentowności przedsiębiorstw". Bardzo niski był także sam koszt przeprowadzonej prywatyzacji, niesięgający nawet 1 proc. wartości sprzedanych aktywów. Dla porównania: ekonomista Ryszard Ślązak wyliczył, że koszty doradztwa prywatyzacyjnego z pierwszej połowy lat 90. przekraczały 10 proc. wpływów finansowych z prywatyzacji w Polsce.

Jednak najważniejszą nowozelandzką reformą była deregulacja i liberalizacja gospodarki. Ograniczono interwencje rządu na rynku. Zlikwidowano większość koncesji, zezwoleń, licencji (także zawodowych) oraz wszelkie dotacje dla firm, do eksportu i w rolnictwie. Usunięto bariery wejścia na rynek, zlikwidowano kontrolę

eprasa.pl 2fa82032cf

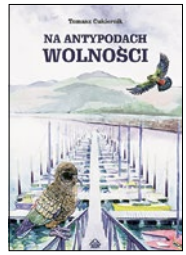

cen, płac, zysków i kursów walut oraz ograniczeń w produkcji i dystrybucji towarów i usług. Zliberalizowano przepisy dotyczące prowadzenia bezpośrednich inwestycji zagranicznych, a także sztywne wcześniej prawo pracy. Ponadto wprowadzono komercyjne zasady do działalności dostarczycieli usług publicznych, takich jak szpitale czy budownictwo publiczne.

Na gruncie polskim szeroką deregulację prowadzenia działalności gospodarczej przyniosła tzw. ustawa Wilczka z 1988 r. Zrezygnowano też z regulacji cen przez państwo, zniesiono reglamentację towarów, zalegalizowano wolny obrót dewizami oraz rozpoczęto restrukturyzację przedsiębiorstw państwowych. Niestety, później stopniowo przywracano różnego rodzaju koncesje i zezwolenia w kolejnych gałęziach gospodarczych, a proces nadmiernego przeregulowania gospodarki znacznie przyspieszył w ramach przystosowania polskiego prawa do unijnego oraz w związku z bieżącym wdrażaniem unijnych dyrektyw i rozporządzeń (np. pakiet mobilności czy polityka energetyczno-klimatyczna). Co więcej, po przystąpieniu Polski do Unii nastąpił dotacyjny szał wraz ze wszystkimi negatywami tego zjawiska.

Tymczasem szczególnie pouczająca jest reforma nowozelandzkiego rolnictwa, które zostało zderegulowane, zniesiono dotacje, a z drugiej strony otwarto je na międzynarodową konkurencję poprzez likwidację ceł. W rezultacie produktywność gospodarstw rolnych rosła w tempie 6 proc. rocznie. Po 20 latach od zmian krowy dawały o jedną trzecią więcej mleka, a produkcja jagniąt wzrosła o 12 proc., mimo że pogłowie owiec spadło o 40 proc. To efekt tego, że wcześniej owce były hodowane głównie w celu otrzymania dotacji. Jak podkreśla David Farrar, nowozelandzki komentator polityczny, rolnictwo znacznie lepiej funkcjonuje bez dotacji i „dzięki brakowi dotacji rolnicy w Nowej Zelandii są znacznie wydajniejsi niż w większości krajów". W Polsce, będącej członkiem Unii Europejskiej, deregulacja rolnictwa, zniesienie dotacji i ceł na produkty rolne nie jest możliwe.

W Nowej Zelandii zmniejszono też i uproszczono podatki. Znacznie obniżono podatki dochodowe, a podatki od sprzedaży w wysokości od 10 do 50 proc. zastąpiono podatkiem GST (miejscowy VAT) z jedną stawką 10 proc. bez ulg i odliczeń (w 1989 r. stawkę zwiększono do 12,5 proc.). W 2001 r. OECD stwierdziła, że Nowa Zelandia ma najbardziej neutralny i efektywny system podatkowy wśród państw należących do tej organizacji. W Polsce podatki były podnoszone np. w ramach tzw. reformy Balcerowicza, a w 1993 r. wprowadzono VAT, ale ze znacznie wyższą stawką podstawową 22 proc. (podniesioną od 2011 r. do 23 proc.), mimo że UE dopuszcza minimalny VAT w wysokości 15 proc. Z kolei w ramach wdrażania unijnego prawa konieczne było radykalne podniesienie akcyzy od paliw i papierosów, wprowadzenie akcyzy od węgla i koksu czy zmuszenie przemysłu do kupowania kosztownych uprawnień do emisji CO_2. Co więcej, zamiast uproszczenia systemu podatkowego na wzór nowozelandzki w naszym kraju doszło do znacznego jego skomplikowania.

LIDER RANKINGÓW

Na antypodach udało się nawet znacznie zredukować biurokrację. W latach 1984–1994 liczbę urzędników państwowych zmniejszono z 88 tys. do 34 tys. Zlikwidowano lub znacznie zmniejszono wiele departamentów rządowych oraz 50 agencji pararządowych. Ministerstwo transportu zredukowało zatrudnienie z 5,6 tys. osób do 53. Kiedy szefem ministerstwa infrastruktury został Maurice McTigue, miało ono w całym kraju 28 tys. pracowników. Gdy odchodził, był ostatnim pracownikiem. Administracja lasów państwowych spadła z 17 tys. do 17 osób. Liczbę jednostek samorządowych zmniejszono z ponad 700 do poniżej 100. W Polsce trend jest przeciwny. Rząd Jerzego Buzka wprowadził samorząd powiatowy i wojewódzki, tym samym radykalnie zwiększając liczbę samorządowców. Co więcej, Bruksela wymusza także rozbudowywanie biurokracji, by wdrażać kolejne regulacje, takie jak RODO czy dotyczące nowego systemu odbioru śmieci, oraz aby urzędnicy zajmowali się rozdawnictwem i absorpcją unijnych funduszy. W rezultacie według GUS w Polsce zatrudnienie w administracji publicznej wzrosło niemal trzykrotnie ze 158,8 tys. osób w 1990 r. do 431,8 tys. osób w 2019 r.

Każdy kraj, by się rozwijać, potrzebuje dostępu do rynków zagranicznych. Dla Polski takim rynkiem stał się Europejski Obszar Gospodarczy, do którego nasz kraj wszedł w 2005 r. Takim rynkiem współpracy międzynarodowej dla nowozelandzkich firm była Wielka Brytania, gdzie eksportowano głównie produkty rolne. Jednak wraz z jej przystąpieniem do EWG w 1973 r. nastąpiło zamknięcie tego rynku. Nowa Zelandia musiała szukać innych partnerów gospodarczych. Zbliżyła się do Australii, z którą ustanowiono wolny przepływ towarów, siły roboczej i kapitałów. Jednocześnie jednostronnie zlikwidowała większość ceł i barier pozataryfowych, w tym kontyngenty, licencje importowe, gwarancje eksportowe czy ceny minimalne. Na ponad 90 proc. importowanych towarów do Nowej Zelandii zniesiono wszelkie restrykcje administracyjne. Następnie zaczęto prowadzić politykę podpisywania dwustronnych umów o wolnym handlu z kolejnymi państwami: Singapurem, Tajlandią, Chinami, Malezją, Hongkongiem, Tajwanem i Koreą Południową. Nowa Zelandia przystąpiła także do ASEAN+6, Partnerstwa Transpacyficznego i PACER Plus. Tymczasem Polska jako członek Unii Europejskiej nie może samodzielnie prowadzić zewnętrznej polityki handlowej i podpisywać dowolnych umów w tym zakresie z krajami trzecimi.

W latach 1988–1995 wydatki publiczne Nowej Zelandii zmniejszono z 52 proc. do 34,8 proc. PKB. Po 1999 r. lewicowe rządy na antypodach nie cofnęły fundamentalnych reform z lat 1984–1999, ale małymi kroczkami starają się rozszerzać państwo opiekuńcze. Powoli podnoszone są podatki (np. w 2010 r. GST zwiększono do 15 proc.), zwiększane wydatki na cele społeczne oraz płaca minimalna, a niektóre sprywatyzowane firmy zostały ponownie znacjonalizowane: linie lotnicze, sieć kolejowa wraz z infrastrukturą oraz sieć połączeń promowych. Utworzono też państwowy KiwiBank. Mimo to wolnorynkowe reformy w Nowej Zelandii były tak głębokie, że kraj ten nadal nie schodzi z czołówek rankingów wolności gospodarczej. W Indeksie Wolności Gospodarczej Heritage Foundation z 2020 r. Nowa Zelandia znalazła się na trzeciej pozycji wśród wszystkich badanych państw świata, tuż za Singapurem i Hongkongiem, podczas gdy Polska uplasowała się dopiero na miejscu 46. Podobnie w ostatnim Rankingu Wolności Gospodarczej Instytutu Frasera Nowa Zelandia była na pozycji trzeciej, a Polska – na 59. Z kolei w najnowszym Rankingu Doing Business Banku Światowego Nowa Zelandia uplasowała się na pierwszym miejscu, a Polska – na 40. Rezultat jest taki, że według danych Banku Światowego w 2019 r. PKB na osobę w Nowej Zelandii wyniósł 42,1 tys. dol., podczas gdy w Polsce – 15,6 tys. dol.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fa82032cf

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czesi zapłacą za nas podatki?

Nie wiem, czy wywiad, którego minister finansów Rzeczypospolitej Polskiej Tadeusz Kościński udzielił niedawno „Super Expressowi", był autoryzowany, czy nie, lecz zakładam, że był, bo takie standardy i przymus prawny obowiązują (niestety) w Polsce. A jeśliby nie był autoryzowany, to też niepodobna założyć, żeby przeprowadzający go dziennikarz zmienił sens słów rozmówcy, zresztą w następnych dniach nie znalazłem na łamach „SE" żadnego sprostowania w tej sprawie.

Wynika więc z tego, że „Super Express" wydrukował dokładnie to, co podczas wywiadu minister finansów RP dziennikarzowi powiedział, w tym zdanie: „Chcemy, żeby konsumpcja rozwijała gospodarkę, więc nie będziemy zabierali pieniędzy z kieszeni podatników". I zdanie to – w skróconej, z oczywistych powodów, wersji – „Nie będziemy zabierali pieniędzy z kieszeni podatników" – trafiło do tytułu wywiadu. I nic dziwnego, że tam trafiło, bo to przecież nie lada sensacja, gdy minister finansów składa taką, absolutnie historyczną deklarację! Deklarację wprost na nice wywracającą całą dotychczasową wiedzę i naukę o sposobach finansowania kasy państwa.

Szkoda tylko, że nie bardzo wiadomo, kto – jeśli nie polscy podatnicy – miałby finansować coraz więcej kosztujące utrzymanie naszego państwa, bo dziennikarz „Super Ekspressu" nie próbował tego wyciągnąć od ministra, a przecież powinien – i to jeszcze jak bardzo powinien. Dlatego teraz musimy się zdać na własną domyślność i przypuszczenia, kogóż to polski minister finansów zamierza obdarować oczywistą przyjemnością składania się na budżet Rzeczypospolitej Polskiej – Czechów, Litwinów, Słowaków, Ukraińców, Niemców, Francuzów? A może – dzięki coraz lepszym stosunkom z USA – o finansowanie rosnących wydatków naszego budżetu zamierza zwrócić się do Amerykanów? Albo poszukać szczęściarzy gdzieś indziej – w Azji lub Afryce? W każdym razie tego eksperymentu – na skalę światową, a jakże – właśnie z powodu jego globalnego charakteru nie da się zbyt długo utrzymać w tajemnicy, więc dowiemy się o tym prędzej niż później.

Aprzy okazji, w związku z ową nowatorską koncepcją finansowo-polityczną, równie szybko, wręcz niezwłocznie – a może już to się stało, a my jeszcze nie zostaliśmy poinformowani – usłyszymy o wstrzymaniu prac nad podniesieniem podatków pobieranych „z kieszeni polskich podatników". I dzięki temu nie dojdzie jednak do zapowiadanego pełnego ozusowania umów-zleceń, nie wejdą w życie podatki cukrowy, handlowy, od deszczu, od „małpek", czyli małych buteleczek z alkoholem, „mocowy" – od prądu ani tym bardziej 15-procentowy podatek od przekazania pieniędzy z OFE na IKE i zapewne jeszcze niejeden inny. Prawda? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Sekta klimatystów

Odkąd skończyłam 14 lat, coraz wyraźniej czułam smutek związany z klimatem. […] coraz częściej myślałam o tym, że na Ziemi jest i będzie coraz gorzej. […] Już po roku mojej działalności [rodzice] są w stanie to zaakceptować. Co prawda wolą, żebym rozmawiała z nimi o czymś innym, bo mówią, że za bardzo się fiksuję, ale potrafią być też ze mnie dumni. […] Jestem przyboczną naszej drużyny harcerskiej. Często słyszę od kolegów, żebym nie robiła propagandy albo nie siała ekoterroryzmu. Oni rozumieją, że trzeba posprzątać nasz las w Zielonce, ale już nie umieją pojąć, że decyzje konkretnych polityków wpływają na pogarszanie się katastrofy klimatycznej" – cytowała w ubiegłym tygodniu „Gazeta Wyborcza" nastoletnią Łucję z Młodzieżowego Strajku Klimatycznego.

Łucja jest jednym z wielu smutnych przypadków skutecznej klimatystycznej indoktrynacji, szczególnie skutecznej, gdy chodzi o młodych ludzi. U niektórych z nich – na razie jeszcze rzadko w Polsce, ale wszystko przed nami – pojawia się depresja z powodu klimatystycznych czarnych wizji. Łucja zresztą wydaje się być o krok od tego właśnie stanu.

Klimatyści działają jak sekta, która pierze mózg i oducza racjonalnego myślenia. W klimatystycznej sekcie nie ma miejsca na samodzielną, racjonalną analizę sytuacji. Jest dogmat: klimat się wali, mamy tylko kilka lat, inaczej czeka nas zagłada. Wszystko opiera się na emocjach, choć paradoksalnie zaangażowane w klimatystyczną sektę dzieci paradują z plakatami: „Zaufajcie nauce".

Gdyby jednak faktycznie o naukę tu chodziło, byłoby w tym wszystkim miejsce na wyliczenia kosztów i strat, na analizę zdolności adaptacyjnych człowieka i kosztów, jakie się z adaptacją do innych warunków wiążą, na myślenie o tym, kto i o ile zbiednieje, gdyby spełnić wyśrubowane postulaty klimatystycznych histeryków. O niczym takim jednak klimatyści nie mówią. To podważałoby ich katastroficzną narrację.

Klimatyści działają jak sekta, która pierze mózg i oducza racjonalnego myślenia

Mamy tu więc wszystkie sekciarskie elementy: jest guru (mała Grecia), jest nadchodząca apokalipsa, są dogmaty, których się nie podważa, jest nawet wyciąganie kasy przez cwanych sekciarzy – bo tak przecież działają różne klimatystyczne organizacje.

Do rodziców pozostaje zatem zaapelować: strzeżcie swoich dzieci przed sektami! Również tymi od klimatu. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

Przyszłość rośnie w lesie

Rozmowa z dr. inż. Andrzejem Koniecznym, dyrektorem generalnym Lasów Państwowych

Pandemia COVID-19 przypomniała wielu osobom o lesie jako zdrowym, bezpiecznym azylu. Czy Lasy jako organizacja podobnie spokojnie przetrwały ten kryzys?

W okresie ograniczeń życia społecznego Polacy na nowo odkryli, jakim dobrodziejstwem są powszechnie dostępne państwowe lasy, gdzie każdy może znaleźć przestrzeń i wytchnienie. Czym innym są Lasy Państwowe rozumiane m.in. jako prowadzący określoną działalność przedsiębiorca, choć bardzo nietypowy. Blisko 90 proc. przychodów LP pochodzi ze sprzedaży drewna – dzięki temu są samodzielne ekonomicznie, nie obciążają podatnika i mogą pokrywać wszystkie koszty, jakie same ponoszą na ochronę lasów przed pożarami i innymi zagrożeniami, usuwanie skutków klęsk żywiołowych w lasach, programy ochrony cennych gatunków roślin i zwierząt, tworzenie infrastruktury dla leśnej turystyki i inne zadania publiczne. Ale to też znaczy, że mocno odczuliśmy, gdy nabywcy drewna ograniczyli zamówienia lub wycofali się z już podpisanych umów. Polskie firmy tartaczne, meblarskie czy papiernicze są w dużym stopniu nastawione na eksport, dlatego wiosenny lockdown unijnych rynków postawił je w trudnej sytuacji. W kwietniu LP pozyskały aż o 46 proc. mniej drewna, a sprzedały go o 30 proc. mniej niż w tym samym miesiącu roku poprzedniego. W odpowiedzi musieliśmy adekwatnie zredukowa

koszty, by praktycznie w całości zrekompensować kilkusetmilionowy spadek przychodów rok do roku po pierwszym półroczu 2020 r. Dzięki tym trudnym decyzjom zachowaliśmy płynność finansową i zdolność do skutecznego działania. Od kilku miesięcy sytuacja na rynku drzewnym wraca do normy, nawet jeśli to „nowa normalność".

Wydaje się jednak, że świat, próbując przeciwdziałać zmianom klimatycznym, zmierza w kierunku trwałego ograniczenia użytkowania lasów.

Można dostrzec taki trend, gdy spojrzymy na tzw. Zielony Ład forsowany przez Komisję Europejską, na negocjacje ws. rozliczeń CO_2 w unijnym sektorze LULUCF, na postulaty różnych grup lobbingowych. Praktyczną konsekwencją ich realizacji byłoby m.in. ograniczenie podaży drewna. Bardziej nawet niż dla Lasów Państwowych jest to problem dla przemysłu drzewnego, który od 30 lat intensywnie się rozwija, inwestuje i stał się jednym z filarów polskiej gospodarki, zwłaszcza eksportu. Dziś to, według GUS, ponad 70 tys. prywatnych przedsiębiorstw zatrudniających ponad 110 tys. osób, a licząc z kooperantami –kilkaset tysięcy osób i produkcja globalna o wartości blisko 150 mld zł rocznie. Warto pamiętać o dwóch kwestiach. Po pierwsze, bardzo ważna jest ochrona lasów stanowiących wzorzec zbiorowisk naturalnych, powstrzymanie trwałych wylesień pod uprawy rolne lub zastępowania lasów stricte produkcyjnymi plantacjami drzew, co jest problemem w Ameryce Południowej, Afryce, Azji. W Europie jest inaczej, od dawna gospodarka leśna prowadzona jest tu w sposób zrównoważony i proekologiczny. W Polsce stale rośnie i powierzchnia lasów, i zasoby drewna w nich, zwiększa się średni wiek drzew, rośnie udział gatunków liściastych, wzrasta ilość martwego drewna pozostawianego w lesie. To nie opinie, lecz twarde dane. Potrafimy zarządzać lasami tak, by zwiększać ich rolę w pochłanianiu CO_2, dostosowywać je do wyzwań klimatycznych, odtwarzać po kataklizmach – nawet tak wielkich jak w 2017 r. w Borach Tucholskich, chronić ich najcenniejsze fragmenty, ale zarazem udostępniać ogromną większość lasów obywatelom i rozsądnie korzystać z drewna dla rozwoju kraju. Po drugie, jesteśmy coraz bardziej świadomi szkodliwych skutków nadmiernej eksploatacji paliw kopalnych, wszechobecności trudnego w recyklingu plastiku. Zdrowym, naturalnym i w pełni odnawialnym surowcem alternatywnym jest drewno i materiały drewnopochodne. Zapotrzebowanie na nie rośnie, a nie maleje.

Drewniane lub papierowe talerzyki i sztućce zastąpią wycofywane plastikowe?

Drewno nadaje się do wielu rzeczy poza tymi, które zwykle przychodzą nam na myśl, czyli stolarką budowlaną, meblami, papierem i opakowaniami. Z drewnianych paneli CLT stawiane są dziś wysokie wieżowce, trwają prace nad „szkłem z drewna", ligninę wykorzystuje się do produkcji baterii do smartfonów, laptopów czy aut EV, z nanocelulozy robi się części do samolotów i leki, w szafach mamy coraz więcej ubrań z modalu i tencelu, czyli włókien celulozy. Każda część i składnik ściętego drzewa wykorzystywane są w maksymalnym stopniu. Co ważne, nie tylko drzewo za życia, ale i drewno z niego w postaci gotowego produktu dalej wiążą CO_2. Dlatego naukowcy i inżynierowie na nowo odkrywają drewno i wynajdują coraz to nowe zastosowania dla niego. Przyszłość dosłownie rośnie w naszych lasach.

Jak rysuje się ona dla samych Lasów Państwowych?

O tym też chcemy debatować z ekspertami i publicznością 22 października podczas Kongresu 590. Jestem przekonany, że formuła, która powołanym do życia w 1924 r. Lasom Państwowym pozwoliła wnieść ogromy wkład w dźwignięcie Polski, jej gospodarki i lasów z popiołów po obu wojnach światowych, nie wyczerpała się. Przeciwnie, właśnie w erze obecnych globalnych wyzwań podmiot tak doświadczony, działający sprawnie i spójnie w skali makro i mikro, w oparciu o własne rezerwy, jest państwu i społeczeństwu bardzo potrzebny.

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z LASAMI PAŃSTWOWYMI

eprasa.pl 2fa82032cf

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI JABRA ELITE 75T WIRELESS CHARGING

Świetna bateria, ergonomiczne wzornictwo, dobre brzmienie oraz możliwość indukcyjnego ładowania, która znacząco ułatwia mobilne życie – to największe zalety najnowszego modelu bezprzewodowych dokanałowych słuchawek duńskiej firmy Jabra, korzystających z technologii Bluetooth 5.0.

Niewielkie słuchawki bardzo dobrze trzymają się uszu (aby móc lepiej dopasować je do preferencji konkretnego użytkownika, model sprzedawany jest z zestawem trzech par silikonowych końcówek o różnych rozmiarach). Słuchawki można na tyle dobrze dopasować do ucha, żeby cieszyć się z pasywnej redukcji hałasu. Można też włączyć funkcję HearThrough, która umożliwia mikrofonom zbieranie dźwięków z otoczenia, co ułatwia użytkownikowi poruszanie się po mieście ze słuchawkami w uszach lub prowadzenie rozmowy bez konieczności zdejmowania słuchawek. W przeciwieństwie do konkurencji z Kalifornii Elite 75t nie oferują niestety aktywnej redukcji szumów.

Pod względem brzmienia wyraźnie pokonują jednak słuchaweczki spod znaku nadgryzionego jabłka, oferując dźwięk wyrazistszy i bogatszy w detale. Zaskakująco dużo jest m.in. basów, co wielu może się podobać. Brzmienie w tym modelu Jabry wydaje się też żywsze niż w airpodsach. Podobnie jak inni producenci Jabra oferuje aplikację, w której za pomocą equalizera można dostosować szczegóły odtwarzania dźwięku do upodobań konkretnego użytkownika.

Dzięki wbudowanym w słuchawki czterem mikrofonom polepszyła się też jakość dźwięku, który słyszą telefoniczni rozmówcy „nosicieli" Elite 75t WCE, choć wciąż nie jest to jakość. Model otrzymał certyfikat IP55, co oznacza, że jest niemal całkowicie pyłoszczelny, powinien też przetrwać rozmowę nawet podczas ulewnego deszczu.

Na pochwałę zasługuje również bardzo dobra bateria, która pozwala na mniej więcej siedem godzin użytkowania na jednym ładowaniu (przy regularnym korzystaniu z etui-powerbanku czas ten wydłuża się do nieco ponad 27 godzin). Plusem jest także sposób zasilania tego modelu w energię (to z tego powodu w nazwie znalazły się dodatkowe trzy literki). Słuchawki ładuje się, wkładając po prostu do pełniącego funkcję powerbanku niewielkiego etui. To fajny bajer, ale nie ma się specjalnie czym chwalić, bo ten sposób stał się standardem w przypadku tego typu gadżetów. Jabra w udany sposób próbuje jednak wyróżnić się z tłumu konkurentów, oferując nie tylko ładowanie kabelkiem USC-C (co niestety wciąż nie zawsze jest standardem), lecz także udostępniając w tym modelu obsługę ładowania indukcyjnego (oczywiście samą ładowarkę zgodną ze standardem Qi trzeba kupić osobno).

Wady? Trochę szkoda, że słuchawki oferują możliwość obsługi jedynie podstawowych kodeków, takich jak SBC oraz AAC (brakuje choćby kodeków aptX od Qualcomma). Z drugiej strony jakość dźwięku w dousznych słuchawkach bezprzewodowych i tak jest daleka od audiofilskiego ideału.

Inżynierowie Jabry mogli jednak lepiej dopracować kwestię przełączania między podłączonymi urządzeniami. Elite 75t – choć odchudzone – są nadal nieco cięższe niż airpodsy Apple'a. Szkoda też, że nie można używać wyłącznie lewej słuchawki (w trybie mono działa tylko prawa).

Mimo tych minusów Jabra Elite 75t WCEA to jedne z najlepszych słuchawek dokanałowych oferowanych obecnie na rynku. Jak w przypadku produktów klasy premium cena jest niestety wysoka i wynosi 899 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

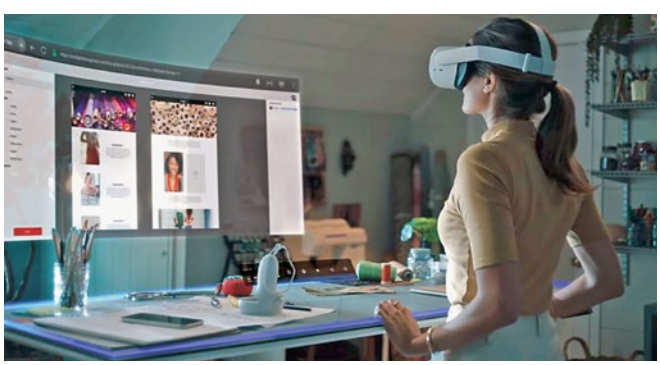

WIRTUALNE BIURO PRZYSZŁOŚCI?

Debiut gogli do wirtualnej rzeczywistości Oculus Quest 2 sprawił, że na rynku jeszcze w tym roku ma się pojawić nowe narzędzie do pracy zdalnej: Infinite Office. Jego twórcami są podwładni Marka Zuckerberga, który zakłada, że w ciągu dekady połowa z 50 tys. pracowników Facebooka będzie mogła pracować zdalnie z dowolnego miejsca świata. Infinite Office pozwala ujrzeć przed oczyma ogromne konfigurowalne „monitory" – wyświetlające przeglądarki, edytory tekstów, komunikatory etc. – na których można pracować niczym Tom Cruise w „Raporcie mniejszości". Do nawigacji czy wprowadzania tekstów mają służyć specjalne klawiatury i trackpady. Infinite Office ma również znacząco ułatwiać współpracę z innymi osobami z firmy zarówno w rzeczywistości wirtualnej (VR), jak i tzw. rzeczywistości mieszanej (MR). Wielogodzinne nudne narady w korporacjach przetrwają więc co najmniej kolejną dekadę.

INTELIGENTNA MASKA NA NOC

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sleep I Mask – tak nazywa się niewielkie urządzenie, które zdaniem jego twórców pozwala redukować stres i cieszyć się głębszym snem. Ważący 27 g gadżet przypominający opaskę na głowę poprzez elektrostymulację mózgu wspiera ponoć produkcję serotoniny i melatoniny. Jednocześnie Sleep I Mask ma zmniejszać ilość kortyzolu we krwi, obniżając poziom stresu. Według producenta urządzenie powinny szczególnie docenić osoby mające kłopoty z zasypianiem po stresującym dniu, cierpiące w wyniku jetlagu czy borykające się z problemami z koncentracją. Cena: 108 dol. (równowartość ok. 400 zł). Producent planuje wysyłkę pod koniec 2020 r. ©℗ ***Jacek Przybylski***

eprasa.pl 2fa82032cf

REKLAMA

Biogen – jesteśmy pionierami neuronauki

Prowadzimy pionierskie badania naukowe, które poszerzają wiedzę na temat układu nerwowego. Dzięki zastosowaniu nowych technologii cyfrowych oraz włączeniu doświadczeń społeczności pacjenckich możemy pogłębić rozumienie oraz chronić cechy i wartości fundamentalne dla człowieka.

www.biogen-poland.pl

Biogen

Biogen-60776

REKLAMA

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. ADOBE STOCK

Potrzebna kropka nad i

Z Bogdanem Gajewskim, prezesem Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Jak w okresie epidemii COVID-19, trudnym dla wszystkich pacjentów, funkcjonują osoby z takimi chorobami rzadkimi jak hemofilia?

BOGDAN GAJEWSKI: Uzyskanie pomocy jest trudniejsze. Szpitale wprowadziły ograniczenia z powodu COVID-19. Dotknęło to wszystkich pacjentów, ale szczególnie tych z chorobami rzadkimi. Zdarzały się sytuacje odsyłania na SOR do innego szpitala chorych na hemofilię z krwawieniami, nawet zagrażającymi życiu. Tymczasem w przypadku poważnego krwawienia u chorego na hemofilię trzeba jak najszybciej zastosować leczenie. Poważnym problemem jest też to, że lekarze czy ratownicy na SOR często nie wiedzą, jak leczyć chorych na hemofilię. Na pierwszy rzut oka pacjent wygląda jak inny chory, ale udzielanie mu pomocy wymaga specjalnego postępowania. W przypadku podejrzenia wystąpienia krwawienia wewnętrznego trzeba mu jak najszybciej wstrzyknąć brakujący czynnik krzepnięcia. Podobnie jak chorego z zawałem serca trzeba natychmiast leczyć.

Wydaje się, że leczenie chorych na hemofilię jest dobrze zorganizowane, jeśli porównać je z leczeniem innych chorób rzadkich: jest Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię, jest też program profilaktyczny dla dzieci.

Stworzenie Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię to ogromny sukces pacjentów, lekarzy i Ministerstwa Zdrowia. Zapewnia on pacjentom bardzo dobry dostęp do leczenia w całej Polsce, dystrybucja leków odbywa się nieodpłatnie przez wszystkie stacje RCKiK (Regionalne Centra Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa). Pozytywne jest również to, że program dysponuje określonym budżetem. Jest jednak wiele wyzwań. Przede wszystkim brakuje specjalistycznych ośrodków dla dorosłych, w których pacjenci mogliby uzyskać kompleksową pomoc. Leczenie hemofilii to nie tylko wstrzykiwanie leków, lecz także zapobieganie powikłaniom choroby i ich leczenie.

Narodowy program rozpoczął się w 2019 r., jednym z celów było utworzenie ośrodków leczenia. Nie udało się ich jeszcze stworzyć?

W wielu miejscach niestety istnieją tylko na papierze. Między innymi w województwach: zachodniopomorskim, opolskim, warmińsko-mazurskim nie ma ani jednego lekarza, który wiedziałby, jak leczyć dorosłych chorych na hemofilię. Rok temu w Szczecinie operację u 27-latka koordynował hematolog, który zajmował się leczeniem dzieci, ponieważ nie było hematologa odpowiedzialnego za leczenie hemofilii u dorosłych. W całej Polsce brakuje takich lekarzy.

Jako stowarzyszenie postulujemy, by w każdym województwie konsultanci wo-

eprasa.pl 2fa82032cf

jewódzcy wytypowali po dwóch lekarzy, którzy zajmowaliby się prowadzeniem leczenia dorosłych chorych na hemofilię.

Stowarzyszenie niedawno alarmowało, że na SOR-ach i izbach przyjęć jest nieprawidłowo udzielana pierwsza pomoc chorym. Skąd ten problem? Lekarze, ratownicy medyczni nie wiedzą, jak leczyć?

Niestety tak się zdarza. Prawdopodobnie z powodu nieprawidłowego udzielania pierwszej pomocy, najczęściej niepodania w porę czynnika krzepnięcia, zmarło ostatnio kilka osób. Krwawienie u chorego na hemofilię może skończyć się zgonem. Czynnik krzepnięcia na SOR trzeba zamówić, zdarza się jednak, że lekarze czy ratownicy medyczni nie wiedzą, jak to zrobić, a potem jak podać lek. Wraz z Departamentem Ratownictwa i Obronności Ministerstwa Zdrowia zaproponowaliśmy stworzenie specjalnego systemu e-learningowego dla ratowników i dyspozytorów medycznych. Mam nadzieję, że uda się wprowadzić takie rozwiązanie.

Chory na hemofilię, który jest prawidłowo leczony, normalnie żyje, pracuje?

Oczywiście, hemofilia jest chorobą, która doskonale poddaje się leczeniu. Chory może żyć podobnie jak osoba zdrowa pod warunkiem stosowania zapobiegawczo brakującego czynnika krzepnięcia. Wielu dorosłych, starszych pacjentów jest co prawda inwalidami narządu ruchu, jednak przyczyną było złe leczenie w przeszłości, gdyż dostęp do czynników krzepnięcia był bardzo ograniczony. Obecnie to się zmieniło. Dzięki systematycznemu leczeniu sytuacja chorych się poprawia. W wielu przypadkach, jeśli dodatkowo mają możliwość rehabilitacji, ich sprawność bardzo się poprawia. Mamy też znakomity dowód, jak dobrą inwestycją było wprowadzenie leczenia profilaktycznego u dzieci: dzięki temu rozwijają się prawidłowo, nie mają zmian stawowych, a jako dorośli mogą normalnie pracować, nie muszą przechodzić na renty.

Bardzo potrzebne są jednak dostawy domowe leków dla dorosłych pacjentów. Wielu z nich ma poważnie uszkodzone stawy, kłopoty z poruszaniem się. Tacy chorzy nie są w stanie poradzić sobie z przywiezieniem leków na miesiąc czy dwa (leki na taki czas zajmują całą szafę, bardzo trudno taką ilość przetransportować do domu). Pacjenci nie mogą też co tydzień chodzić do lekarza i do stacji krwiodawstwa po leki, powinni przecież prowadzić normalne życie, pracować, a nie spędzać czas w kolejkach, „utrudniając" dostęp do leczenia innym chorym. Dlatego najlepszym rozwiązaniem są dostawy leków do domu. Najlepiej, jeśli organizowałyby je RCKiK. To pozwoliłoby na obniżenie kosztów i lepszą organizację samych dostaw (np. pacjenci dostawaliby leki wtedy, kiedy faktycznie by ich potrzebowali).

Hemofilia jest chorobą przewlekłą, pewnym wsparciem dla pacjentów jest coraz szersze stosowanie telemedycyny, która może ułatwić chorym kontakt z lekarzem, a przy okazji ogranicza obciążenie pracowników służby zdrowia.

Wśród chorych na hemofilię jest grupa osób z inhibitorem czynnika krzepnięcia. Co to jest inhibitor i jak ci chorzy są leczeni?

U niektórych chorych układ odpornościowy wytwarza przeciwciała, które powodują, że czynnik krzepnięcia przestaje działać. Takie neutralizujące czynnik krzepnięcia przeciwciało nazywa się inhibitorem. W przypadku krwawienia u chorych z inhibitorem trzeba stosować specjalistyczne leczenie, tzw. leki omijające. Niestety są one bardzo kosztowne i nie dają tak dobrych efektów jak stosowanie czynników krzepnięcia. Tym chorym warto proponować tzw. odczulanie, polegające na podawaniu regularnie bardzo dużych ilości czynnika krzepnięcia, by wyeliminować inhibitor. U wielu pacjentów to się udaje.

W przypadku podejrzenia wystąpienia krwawienia wewnętrznego choremu trzeba jak najszybciej wstrzyknąć czynnik krzepnięcia. Podobnie jak chorego z zawałem serca trzeba natychmiast leczyć

W przypadku chorych, u których nie udało się wyeliminować inhibitora, można zastosować nowe opcje terapeutyczne, które zapewniają dobrą jakość życia. Podaje się je profilaktycznie, co zapobiega krwawieniom. Obecnie w Polsce jest ok. 100 chorych z inhibitorem, te nowe możliwości leczenia otrzymuje ok. 30 z nich. Wprowadzanie nowych leków jest trudne, ponieważ koszty są wysokie, a budżet Narodowego Programu jest stały.

- Hemofilia to rzadka choroba genetyczna, która spowodowana jest niedoborem lub brakiem aktywności jednego z czynników krzepnięcia (VIII lub IX). Objawia się to wydłużonym czasem krzepnięcia krwi i bolesnymi krwawieniami wewnętrznymi (wylewami), najczęściej do stawów i mięśni.
- W przypadku ciężkiej postaci hemofilii krwawienia pojawiają się nawet po niewielkim urazie lub bez uchwytnej przyczyny. Powtarzające się krwawienia niszczą stawy i powodują niepełnosprawność. Najgroźniejsze są krwawienia do układu pokarmowego i mózgu, które mogą skończyć się zgonem, gdy nie są prawidłowo leczone.
- W Polsce na hemofilię i pokrewne skazy krwotoczne choruje ok. 6 tys. osób.

Chcielibyśmy, by wprowadzanie nowych terapii odbywało się w taki sposób, by nie powodować zagrożenia dla finasowania całego programu.

PSCH jest jednym z najprężniej działających stowarzyszeń pacjentów w Polsce. Cały czas piszecie listy do Ministerstwa Zdrowia, prosicie posłów o interpelacje w Sejmie. Leczenie wciąż wymaga zmian?

Leczenie hemofilii bardzo się poprawiło, jeśli chodzi o dostęp do czynnika krzepnięcia. Udało się zrobić bardzo wiele, by wprowadzić standardy leczenia, które są w Europie. Powinniśmy jednak postawić kropkę nad i, a do tego konieczne jest powstanie ośrodków kompleksowego leczenia. Brak lekarzy i ośrodków dla dorosłych utrudnia dobrą opiekę nad pacjentami. Starsi chorzy mają często choroby współistniejące, trzeba niekiedy stosować leczenie operacyjne, a to wymaga koordynacji przez ośrodki leczenia. Wzorem może być organizacja leczenia w Irlandii: tam chorzy są otoczeni kompleksową opieką, mają też dobry, stały dostęp do leków. Skuteczne leczenie się opłaca – unika się dużo bardziej kosztownych krwawień i ich konsekwencji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bogdan Gajewski
– prezes Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię

eprasa.pl 2fa82032cf

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Po Tatrach z Chrościńskim

Piękno gór odkryli w czasach renesansu przyrodnicy i alchemicy. Nie inaczej było z Tatrami, aż do XVI w. chodzili po nich wyłącznie rozbójnicy i górale. Później zaczęli zapuszczać się w nie poszukiwacze skarbów. Wreszcie pojawiły się itinerariusze, pierwsze przewodniki opisujące niebezpieczne ścieżki, mamiące ukrytymi kosztownościami i tajemnicami. W połowie XVII w. powstał niewydany drukiem opis gór Michała Chrościńskiego pt. „Opisanie ciekawe gór Tatrów, na cały świat słynących". Autor był prawdopodobnie poszukiwaczem skarbów i jednym z pierwszych polskich taterników, chodził po górach i Podhalu, znał ścieżki i dróżki, ostrzegał przed niebezpieczeństwami. Istniało zresztą wówczas bractwo poszukiwaczy skarbów, ich główne siedziby znajdowały się w okolicy Kieżmarskich Stawów, dziś po słowackiej, wtedy po węgierskiej stronie gór. Nazwa jest myląca, bo jego członkowie nie szukali wcale legendarnych skarbów, ale rzadkich minerałów, złota, składników alchemicznych mikstur i eliksirów. Chrościński opisuje rzeczy zdumiewające – że już wówczas istniały w górach szlaki oznaczone symbolami zrozumiałymi tylko dla członków bractwa, sam zresztą symbole te tłumaczy.

Wedle autora najlepsze i najbezpieczniejsze wyprawy w Tatry należało czynić dwa tygodnie przed dniem św. Jakuba, czyli od 11 lipca do końca września. Przestrzega przed prześladowaniem przez duchy, a także wspomina „niepogody, jako to deszcze, mgły i wiatry, i inne przeszkody", apeluje jednak, aby nie zwracać na nie uwagi i „nie schodzić z drogi aż do zaznaczonego miejsca".

Jaki ekwipunek poleca wziąć ze sobą na wyprawę? „Masz mieć przygotowane różne świątobliwości, jako to: świecę gromniczną,

FOT. ARCHIWUM AUTORA

RYS. PEGAZ

palmę, węgle do zapalenia światła, dzwonek loretański, wodę święconą [...] i kredę święconą, mirrę, ziółka święcone do kadzenia" – pisze. Po ekwipunku na odstraszenie duchów czas na bardziej racjonalną część wyposażenia. Chrościński każe zatem zabrać sprzęt, który wydaje się całkiem współczesny, a więc: magnes, czyli kompas, szpagat, czyli linkę, wszelako – „nasmarowany wężowym sadłem zmieszanym ze szczupakową żółcią, bo od tych dwóch tłustości duchowie uciekają". Do tego szpilki dwie albo trzy stalowe, dobrze hartowane, i „młotek do tych rzeczy służący". A więc sprzęt, którego i dzisiaj używają taternicy. Dodatkowo przydałaby się perspektywa, czyli luneta do wypatrywania szczytów gór. Tak czy owak itinerariusz Chrościńskiego jest gotowym przewodnikiem zawierającym kompletny opis drogi i miejsc, w których można znaleźć nie tylko złoto, lecz także alchemiczne składniki, które można sprzedać z zyskiem po powrocie z gór. Na przykład lazur zielony chroniący przed truciznami, za który „w Kutnej Górze za funt jeden wiedeński płaci 50 talarów bitych". Autor podaje także znaczenie znaków wykutych w skałach przez poszukiwaczy, wskazujących dalszą drogę lub ostrzegających przed niebezpieczeństwem. „Postąp na kilka kroków z tej młaczki na górę pod wysoką skałę [...], znajdziesz tam znak taki: to jest ręka lewa, łuk i strzała to pokazuje. Prosto na wschód słońca uważaj pilno na drugą stronę, przez dolinę głęboką, uwidzisz górę bardzo wysoką, skalistą, ta się zowie Mały Kołpak, pierwszy od Wielkiego". „Idź kole tej wody, aż przyjdzie ku dwóm potokom z góry bystro spadającym zaraz się z sobą schodzą, tu jest w tym spojeniu tych potoków wysoka skała od północy, jest znak miesiąca nad samą wodą, z drugiej strony znak słońca. Tu się obróć tym samym potokiem, z początku będzie ci trudno...".

Przewodnik ostrzega przed zatrutymi źródłami, wskazuje bezpieczne miejsca do noclegu. „Przyjdziesz pod sam wierzch tych gór, do jednej rędziny pod wysokie skały, zawieszone nad tobą, tak, że ci się będzie wydawało, że na ciebie spadną. Tu nasz nocleg bywał, co i ty znajdziesz tam ogniska, kości, kiedy nas zła chwila zastała, tameśmy swój spoczynek mieli". W niektórych miejscach radzi „okropić się święconą wodą i pisać kredą znaki trzech Króli" – wszystko po to, aby ochronić się przed duchami. Opisuje przypadki, gdzie trzeba zmówić cztery Ewangelie w cztery strony świata, aby rozpędzić mgłę. Radzi, jak wspiąć się do Morskiego Oka, nad którym znajdowano ponoć resztki rozbitych, pradawnych okrętów, nad Jezioro Czarne, wspomina jedno z pierwszych stałych schronisk w Tatrach – szałas nieopodal „zmarzłego Jeziora", czyli dzisiejszego Zmarzłego Stawu, w którym należy przenocować.

„Opisanie ciekawe gór Tatrów" to niesamowity opis dawnego dzikiego i niebezpiecznego piękna szczytów na granicy Polski i Węgier. Dzisiaj dostępny w sieci w XIX-wiecznym wydaniu, powinien być obowiązkową lekturą każdego miłośnika gór. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

Opodatkowanych podwójnie będzie więcej

Spółka komandytowa to kolejna spółka osobowa, która zostanie objęta dobrodziejstwem podatku dochodowego. Projektowana zmiana dotycząca sp.k. pozwala znacznie ograniczyć lub nawet wyeliminować efektywne opodatkowanie wspólników, jednak widać, że Ministerstwo Finansów dąży do tego, aby zasięg CIT był możliwie szeroki. Wcześniej do grona podatników CIT zaliczono spółki komandytowo-akcyjne.

Wydawało się, że odwrotem od tego schematu będzie estoński CIT, nad którym od jakiegoś czasu pracują ministerialni urzędnicy. Pomysł rozbudził nadzieje środowisk biznesowych. Zapowiadał bowiem inne podejście do opodatkowania biznesu. I chociaż detale projektu budziły i w dalszym ciągu budzą obiekcje, to coś drgnęło w dobrą stronę. Potem jednak opinię publiczną poinformowano o planach opodatkowania spółek komandytowych i czar kapitałowych, lecz także większości spółek osobowych. Kto wie, może niebawem przyjdzie kolej także na spółki cywilne? To o tyle dziwne, że od pewnego czasu ze szczebla rządowego płynie przekaz zachęcający osoby prowadzące działalność gospodarczą, aby zakładały spółki. W ten sposób ogranicza się ryzyko osobiste prowadzenia biznesu, to zatem sposób, aby chronić własny majątek w razie niepowodzenia przedsiębiorstwa. Tyle że z tą ochroną majątku może być różnie, skoro podatek trzeba będzie zapłacić podwójnie.

Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

W rezultacie podmiotów efektywnie podwójnie opodatkowanych będzie coraz więcej.

To zła wiadomość, bo podwójne opodatkowanie w zasadzie z definicji jest niesprawiedliwe. Płacić trzeba bowiem dwukrotnie za to samo, raz na poziomie spółki, a drugi raz na poziomie wspólnika. A przecież robiąc zakupy, czulibyśmy się niekomfortowo, gdyby po odejściu od kasy trzeba było podejść do następnej i jeszcze raz uiścić kwotę widniejącą na paragonie.

prysł. A chciałoby się przecież powiedzieć zamiast tego – chwilo trwaj. Niestety, ta chwila nadziei minęła zbyt szybko.

Dodatkowo CIT będą musiały płacić spółki jawne, jeśli ich wspólnikami nie są wyłącznie osoby fizyczne. Pod warunkiem wszakże, że uzyskujący dochód z tych podmiotów wspólnicy nie są znani organom podatkowym.

CIT staje się zatem podatkiem coraz bardziej powszechnym. W zasadzie w ten czy inny sposób dotyczy on już nie tylko spółek

Obecnie dokręcana jest śruba fiskalna, chociaż MF nie chce tego przyznać. Nie chodzi tu jednak o semantykę czy inną formą politycznego marketingu, ale o fakty. A te mówią same za siebie. Przekaz w świat idzie taki, że fiskus szukać będzie pieniędzy tam, gdzie się da. Czy zatem powiedział już ostatnie słowo? Czy może w planach są jeszcze jakieś inne daniny, nad których wprowadzeniem pracuje się w zaciszu gabinetów? Tego nie wiemy, być może czekają nas jeszcze jakieś podatkowe niespodzianki.

W tych okolicznościach pozostaje mieć nadzieję, że estoński CIT i planowana ulga na robotyzację nie powtórzą losu wcześniejszych preferencji podatkowych adresowanych do przedsiębiorców. Były one tak napisane, że mało kto mógł się na nie załapać. Ich efekt dla gospodarki był zatem mizerny, więcej się słyszało o tym, jak trudno z nich skorzystać, niż o tym, komu i jak pomogły. Pozostaje mieć nadzieję, że wyciągnięto z tego wnioski.

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 2fa82032cf

ORMIAŃSKIE SMAKI DIANY VOLOKHOVEJ

Kuchnia ormiańska wymaga trochę wysiłku, ale smaki potraw wynagradzają trud włożony w ich przygotowanie. Odkąd wystąpiłam w programie „MasterChef", staram się promować w Polsce ormiańską kuchnię, a także kulturę i historię. Kulinarne tradycje Kaukazu, a mają one tysiące lat historii, przybliżam na warsztatach i pokazach kulinarnych w całym kraju. Nie mogło być inaczej – także i dziś proponuję ormiańskie smaki.

Lula kebab

Składniki:

- 300 g mięsa wołowego
- 100 g ud kurczaka bez kości
- 50 g łoju wołowego
- 2 cebule
- kolendra
- pietruszka
- koper
- sól, pieprz
- czerwona słodka papryka (przyprawa)
- kozieradka (przyprawa)
- masło klarowane do smażenia

Przygotowanie:

Wszystkie składniki mielimy, przyprawiamy i dobrze mieszamy. Mięsem trzeba trochę popodrzucać, uderzać itp., żeby nabrało powietrza. Wstawiamy do lodówki co najmniej na 30 min. Następnie oblepiamy na patyczkach i formujemy w „paluchy". Możemy je grillować na świeżym powietrzu, ale będą smaczne także smażone na patelni z dodatkiem masła klarowanego. Podajemy z sosem granatowym lub z jogurtem greckim.

Pilaw z ryżu

Składniki:

- 200 g ryżu
- 2 gwiazdki anyżu
- 2 pałeczki cynamonu
- 3 ziarna kardamonu
- 100 g blanszowanych migdałów
- 50 g suszonych moreli
- daktyle i śliwki (opcjonalnie, dla wielbicieli słodkiego)

Przygotowanie:

Ryż podgrzewamy (mieszając) na oleju w garnku z suszonymi owocami i migdałami. Do gorącego ryżu dodajemy dwa razy tyle wody, ile jest ryżu. Wrzucamy przyprawy, zmniejszamy ogień, zakrywamy pokrywką i sprawdzamy dopiero po 20 min. Nie mieszamy, delikatnie sprawdzamy, czy cała woda została wchłonięta przez ryż. Kiedy tak się stanie, dodajemy sól i pierz. ©℗

oprac. raw

Diana Volokhova jest finalistką II edycji programu „MasterChef", restauratorką, obecnie prowadzi cukiernię w Gdyni.

FOT. ARCHIWUM DIANY VOLOKHOVEJ

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Instrukcja obsługi ogórka

Media doniosły właśnie, że europejskie organizacje konsumenckie domagają się wprowadzenia Nutri-Score, zuniformizowanego systemu informacji na opakowaniach produktów spożywczych. Lobbują za tym od dawna organizacje konsumenckie. Argumentują, że właściwe oznaczanie produktów może pomóc konsumentom w dokonywaniu zdrowych i świadomych wyborów. Bo dotychczasowe oznaczenia są słabo widoczne, a czasem wręcz świadomie ukrywane przez producentów. Wszystko to w związku z narastającym w Europie problemem otyłości. Ludzie tyją, bo nie wiedzą, że od ciastek się tyje. Należy ich ostrzec.

Jednym słowem, gdyby projekt Nutri-Score przeszedł, mielibyśmy na każdym opakowaniu żywności oznaczenia takie jak na sprzęcie elektronicznym. Jak wiadomo, pasjonujemy się lekturą opasłych tomów dołączanych do czajnika, robota czy suszarki do włosów. Informujących na przykład, że sprzęt należy włączyć do prądu albo że działającej suszarki nie należy wrzucać do wody.

Zatem mielibyśmy informację o wartości odżywczej w skali od A do E (kolor ciemnozielony i litera A jako najlepsze pod względem wartości odżywczych produktu, kolor czerwony i litera E – najgorsze). Kalorie, białko, węglowodany itp. Takie etykiety są już stosowane we Francji i w Niemczech, ale dobrowolnie, bez unijnej dyrektywy. Na razie.

FOT. ADOBE STOCK

A więc wyobraźmy sobie, że kupujemy dwa ogórki, oczywiście należycie zapakowane w styropian i folię, a do nich parę stron instrukcji, co to takiego ogórek i co nam grozi po jego zjedzeniu. Sprawa zaiste nadaje się tylko do kabaretu. Nie ma już czegoś takiego jak rozsądek. Całą rzeczywistość należy objąć nakazami, dyrektywami, ostrzeżeniami. Stosując – ad absurdum – tę logikę, można przypuścić, że ktoś oskarży producenta ciastek czy czekolady o to, że po zjedzeniu utył, bo na opakowaniu nie było stosownego ostrzeżenia.

Na szczęście rozsądek, jak widać, nie zaginął jeszcze w Europie, ponieważ idiotycznym pomysłom unijnych urzędasów sprzeciwiło się kilka krajów. Zdaniem Włoch, Czech, Grecji, Cypru, Węgier, Łotwy i Rumunii wprowadzenie wspólnej etykiety jest do niczego niepotrzebne, ponieważ producenci już dzisiaj zamieszczają wystarczające informacje o wartościach spożywczych swoich artykułów, zaś decyzja o sposobie oznaczania danych produktów powinna należeć do producentów i nie być narzucana odgórnie. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

Historia bez Cenzury powraca!

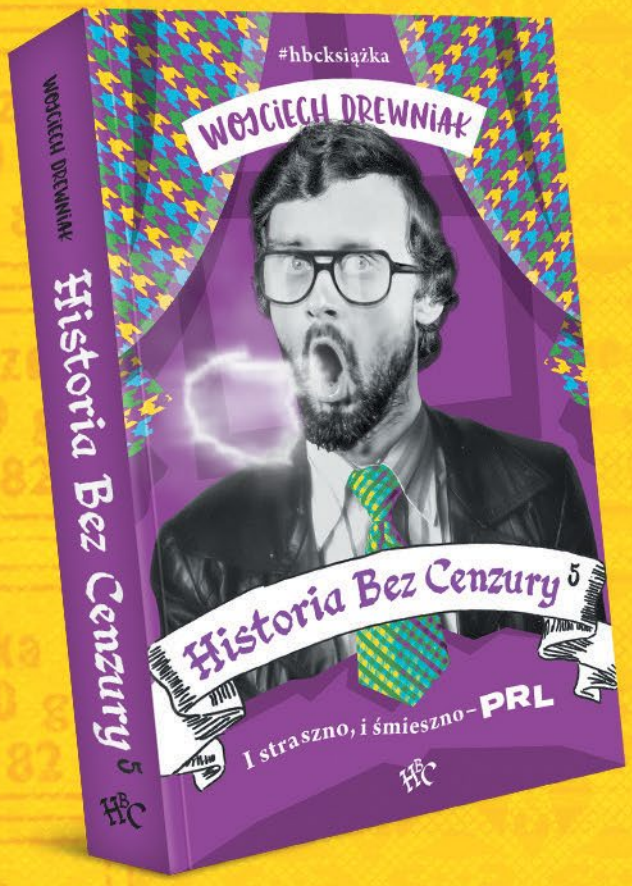

I śmieszno, i straszno, czyli PRL bez cenzury

Komuniści mówili im, co mają robić i myśleć. Na ulicach agenci SB i milicja z pałami. Kolejki po wszystko, a w sklepach pusto. To o co chodzi?! Czemu tak wiele osób wspomina Polskę Ludową z łezką w oku?!

Przeczytaj, to zrozumiesz!

HORYZONT znak

eprasa.pl 2fa82032cf

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Jabłkowy sad

Dobrze jest z pewnymi rzeczami trochę poczekać. Nie robić ich za szybko. Dzięki temu w drugiej połowie życia ma się trochę frajdy. Nie mówię, żeby żyć w abstynencji do czterdziestki i dopiero potem zapoznać się z alkoholem (choć to mogłoby być ciekawe). Ja pierwszy raz w życiu poszedłem na jabłka w wieku lat 50. I było to świetne doświadczenie.

Zacznijmy od tego, że niektórzy bystrzy sadownicy wpadli na świetny pomysł. Pomyśleli sobie: Po co mamy się męczyć ze zbieraniem jabłek i sprzedawaniem ich na giełdach za jakieś nędzne grosze? Lepiej zaprośmy tutaj miastowych, niech sami sobie zrywają, co tam chcą, a my tylko zainkasujemy 4 zł od każdego kilograma.

Czyż to nie genialny koncept? Oczywiście wypatrzyła to moja żona już dwa lata temu. Znalazła na Facebooku profil sadu, który zapraszał do takiej samoobsługi. Nazywa się to „Jedziemy na jabłka", ale zdaje się, że pomysł jest coraz popularniejszy. Ja dopiero w tym roku dołączyłem do jej jabłkowych wypraw i stwierdzam, że to jeden z fajniejszych sposobów na cieszenie się złotą polską jesienią.

Wygląda to tak: w gospodarstwie przy sadzie człowiek dostaje skrzynki, ile tam sobie tylko chce wypełnić. Oraz mapkę upraw, żeby wiedzieć, jakie jabłka zrywa (zresztą tam, gdzie byłem, alejki z poszczególnymi gatunkami były oznaczone tabliczkami podobnymi do tych z nazwami ulic). A potem idzie się w sad.

Można oczywiście zrywać jabłka. My zebraliśmy 15 kg, ale nasi znajomi cztery razy tyle. Można też urządzić sobie piknik. Koce, kosze z jedzonkiem – te klimaty. Pewien mój kolega przywiózł hamak, który rozwiesił między drzewami i chyba zapadł w regeneracyjną drzemkę. Dzieci – kiedy już im się znudzi degustacja jabłek – znikają w gęstwinie i toczą potyczki albo rozgrywają podchody. Zgubić się za bardzo nie mogą (acz matki oczywiście zachowują czujność), więc reszta towarzystwa spokojnie i błogo rozkoszuje się jesiennym słońcem i leniwą pogawędką. Mając w dodatku przyjemne poczucie, że oto zapoznaje potomstwo ze scenerią i z urokami polskiej wsi – tu jabłonie, ale zaraz obok pole. Rozkosznie po prostu.

Wyprawa na jabłka była świetnym przeżyciem, które szczerze polecam. Sezon jeszcze trwa, więc gdy trafi się pogodny weekend, zdecydowanie warto. Jedynym problemem jest potem utylizacja łupu. Na szarlotki to już za bardzo patrzeć nie mogę, na przetwory już zabrakło słoików, a znajomi i rodzina zaczęli nas unikać, bo każdego obdarowujemy jabłkami.

Nasza skrzyneczka leży na balkonie i jej zawartość znika dość powoli. Tym bardziej że ja – mówiąc szczerze – nie lubię jabłek. Ale zbierać je uwielbiam. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Banaś i życie w kosmosie

W połowie września polskie oraz światowe media obiegła sensacyjna informacja. „Możliwe życie na Wenus?", „Naukowcy odkryli ślady życia na odległej planecie", „Ślady życia w atmosferze gorącej planety" – głosiły nagłówki oraz powiadomienia wysyłane na smartfony. Przez chwilę tematem numer jeden stała się niszowa publikacja grupki naukowców, którzy za pomocą dwóch radioteleskopów przyjrzeli się widmu promieniowania górnych warstw wenusjańskiej atmosfery. Nie odkryli w niej jednak – jak mógłby sugerować ton newsów – mikroorganizmów ani latających spodków, ale występujący również na Ziemi związek fosforu i wodoru – fosfinę. Na naszej planecie jest on produktem ubocznym przemiany materii mikrobów beztlenowych żyjących w bagnach, powstaje również w jelitach ludzi i zwierząt. Wyprodukowany syntetycznie służy do oprysków zboża.

Ponieważ na drugiej planecie od Słońca nie potrafiono zlokalizować jego źródła, sformułowano hipotezę mówiącą, że jest nią nieznana forma życia. Temat nie jest nowy, w latach 60. podobną ewentualność zakładał amerykański kosmolog Carl Sagan, natomiast o tym, że na powierzchni Wenus miliardy lat temu mogły istnieć płynne oceany, spekuluje się od dekad. Mamy zatem klasyczną dla współczesnych mediów mieszankę faktów, domysłów oraz podkręcania tytułów, które ostatecznie nie dostarczają nawet w połowie tego, co na wstępie zdają się obiecywać. A teraz zejdźmy na Ziemię, a dokładniej do Krakowa.

To właśnie tutaj przy ulicy Retoryka w zeszłym tygodniu odbyła się narada partyjna „PiS-u i przyjaciół", opisywana przez portale i gazety jako sekretne spotkanie, mające ustalić strategię postępowania wobec Solidarnej Polski oraz przyszłość Zjednoczonej Prawicy. Nagle, w okolicach godz. 22 w piątek, reporter „Gazety Wyborczej" podał równie szokującą co życie na Wenus informację. Do krakowskiego matecznika partii przybył słynny Marian Banaś – szef NIK, znany kamienicznik. Ile teorii powstało naprędce po jednym zdjęciu „Żelaznego Mariana", które udało się z tej okazji zrobić, trudno zliczyć. Żadna z nich, choć miały pozór kontaktu z rzeczywistością, nie była jednak prawdziwa.

A jak było naprawdę? Jak powiedział mi znajomy operator, który spędził ten wieczór, czekając do 2 w nocy na komentarze polityków – było ciemno, chłodno, nic się nie działo. I z tej wszechogarniającej innych dziennikarzy nudy, ulicę obok wyłonił się Banaś. Szukając miejsca do parkowania, wybrał to, które zarezerwowane było dla niepełnosprawnych. Zostawiwszy małżonkę w aucie, speszony podbiegł do bankomatu, wypłacił pieniądze i odjechał. Tyle. Aż żal byłoby tę historię zmarnować, nie dopisując drugiego dna. I tak na koniec wróciliśmy w kosmos. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kapitan Papawaj

Alina Szenwaldowa trzęsła radiowym imperium wiele lat. Była przedwojenną komunistką, żoną bohaterskiego poety żołnierza Lucjana Szenwalda, poległego na froncie w 1944. Jego imieniem nazywano szkoły w Polsce Ludowej" – pisał o swojej byłej szefowej Jarosław Abramow-Newerly w przygotowywanej, publikowanej on-line książce „Ich lwi pazur". Szenwald bohaterem? Zginął na froncie? Czy to możliwe, żeby znany pisarz nie słyszał, że jego „bohater" znalazł się na listach dekomunizacyjnych i wiele szkół oraz ulic pozbyło się niechcianego patrona? A może przykra wiedza o „lwim pazurze" Szenwalda zniszczyłaby mu jego ciepły wizerunek Szenwaldowej, „opiekunki młodych zdolnych", m.in. swego ulubieńca Włodzimierza Odojewskiego, którym – jak pisał – zapewniała „królewskie warunki i zarobki"? Mogli więc sobie pozwolić na kurczaki w ostatniej, prywatnej knajpie Berentowicza w Konstancinie.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Lucjan Szenwald zapowiadał się interesująco. Zadebiutował wierszami w „Skamandrze" jako wszechstronnie uzdolniony gimnazjalista, który tłumaczył też z angielskiego, grał na fortepianie i śpiewał swoje piosenki. Przebojem był śpiewany w kabarecie Czerwona Latarnia „Kapitan Papawaj": „Na dalekich, mglistych wyspach Hawaj, / Na Tahiti i na Isle de Cook, Cook, Cook, / Mieszkał straszny kapitan Papawaj, / Co pił, palił i Murzynów tłukł, tłukł, tłukł". Z zapowiedzi nic jednak nie wyszło, dryfował bowiem coraz bardziej na lewo, związał się z lewicującą grupą poetycką Kwadryga, która była jednak dla niego zbyt mało radykalna, on natomiast, tak jak wielu synków zamożnych żydowskich rodzin, zafascynował się komunizmem. W 1932 r. wstąpił do nielegalnej wtedy Komunistycznej Partii Polski i w piśmie Wandy Wasilewskiej „Oblicze dnia" pisał wiersze-agitki oraz piosenki, których tytuły mówiły same za siebie: „Do uświadomionej robotnicy", „Hymn Ludowego Frontu", „Korporancik" („Czapeczka, laseczka, akselbancik / bydle wlane, korporancik").

W 1939 r. uciekł z towarzyszami do swojej prawdziwej ojczyzny, Związku Sowieckiego, podobnie jak Ważyk, Putrament, Jastrun i inni wstąpił do Sowieckiego Związku Pisarzy Ukrainy oraz Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego i na ochotnika do Armii Czerwonej, skierowano go też do Kujbyszewa, do szkoły oficerów polityczno-wychowawczych, kształcących agenturę sowieckich służb specjalnych. Współorganizował armię Berlinga i wcale nie zginął na froncie, tylko razem z nią i sowieckimi tankami przyjechał w lipcu 1944 r. do PKWN-owskiego Lublina.

Pisał też wiersze, które nawet Ryszard Matuszewski, łagodny zawsze wobec twórców PRL, nazwał „wyjątkowo paskudnymi". Wychwalały Armię Czerwoną, Wyzwolicielkę, Lawinę Chwały – pean ku jej czci napisał wyłącznie dużymi literami. I choć na Syberię, nieludzką ziemię, bydlęcymi wagonami wywożono wtedy transporty Polaków i Rosjan, to w 1943 r. poświęcił jej „Pożegnanie Syberii", opiewający jej piękno, nazywający ją „krajem narcyzów", atakując „łagierników, kundli marnych", którzy razem z Andersem opuścili gościnną ziemię. W swoim wierszu ostatnim, drukowanym w prasie lubelskiej, szkalował przywódców trwającego właśnie Powstania Warszawskiego, „łotrów, co w strumień najczystszej krwi spychają łódź ładowaną złotem". Drażnił też lubliniaków noszoną na piersi wielką czerwoną gwiazdą.

Gdy 22 sierpnia 1944 r. zginął na lubelskiej szosie, nikt nie wierzył w oficjalną wersję samochodowego wypadku, ale w zemstę niedobitego jeszcze lubelskiego podziemia za to, co pisał, zwłaszcza o powstaniu. „Za jego trumną szły dwie wdowy, tej, ostatniej, formalnej nie było" – wspominał Putrament. „Różne dupy Lucka widziałem, ale tej – nigdy" – powiedział podpity Broniewski, gdy przedstawiono go w radiu Szenwaldowej. Ukarała go szlabanem na wiele lat. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

TIKTOK WON

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Pracowałem przy zwierzętach futerkowych. Stryj hodował. Pracowałem też przy kurach, świniach i koniach. Koń jest bardzo kosztowny, więc obchodzimy się z nim delikatnie. Futerkowe to w zasadzie szczury, ale też obchodzimy się z nimi delikatnie, bo futro dużo warte. Pogryzą się nawzajem w zbyt ciasnej klatce i skórka do wywalenia, a ona kosztuje, powiedzmy, 60 euro. Czyli NIE OPŁACA się źle traktować futerkowych, bo drogie.

Nie znam nikogo, kto nosi ostrogi po to, by złośliwie dziurawić konia wartego kilkadziesiąt tysięcy złotych. Zakaz noszenia ostróg jest jak zakaz noszenia gwoździ, bo czasami jakiś wandal porysuje karoserię. Na wandala są osobne paragrafy. Pracowałem w Szwecji w stadninie wyścigowej, gdzie narzędziem treningowym był bat. Nie służył do rozcinania skóry na dwulatku wartym 100 tys. dol., służył do treningu i podnoszenia wartości rumaka.

Pracowałem też w chlewie i przy kurach. Kura jest warta kilka złotych, ale nawet tam przedsiębiorca nie działa na swoją szkodę, bo chce sprzedać, a nie wywalać zdechłe, zamęczone.

***

Ustawa antyfuterkowa zakłada, że zdarzają się sporadyczne ekscesy i dlatego należy zlikwidować całą branżę. Podejście absurdalne, bo… zdarzają się przypadki pedofilii w szkołach, więc zlikwidujmy szkolnictwo? Ustawa antyfuterkowa to zła filozofia. A nawet filozofia zła. To wzór stalinowskiej czystki – zlikwidować wszystkich kułaków, sklepikarzy, prywaciarzy… Nie zrobiłeś nic złego, płaciłeś podatki, dawałeś ludziom pracę, ale twoją branżę likwidujemy siłą, a ty się nie liczysz.

***

Ci goście od ustawy nigdy nie prowadzili biznesu, więc nie mają pojęcia, że przedsiębiorca nie niszczy własnego majątku, bo się zezłościł na nutrię, że go ugryzła w palec. Stryjowi przebiła się kiedyś przez dłoń, pomarańczowy ząb przeszedł na wylot. Odczepił tę nutrię delikatnie i odłożył do klatki, a dopiero potem zaczął wyć o pomoc.

Ci goście od ustawy nie stworzyli nigdy żadnego miejsca pracy (poza własnymi, gdy tworzą sobie kolejne urzędy), a teraz niszczą całą branżę, i to wybitną! Niewiele jest takich branż w PL, które skutecznie eksportują z Polski do krajów wyżej rozwiniętych.

Słowa, że likwidacja tej branży „to kwestia wrażliwości", są głupie i wredne. A co z wrażliwością wobec ludzi, którzy prowadzą te firmy? Mają teraz posłać pracowników na bezrobocie i po prostu zamknąć biznes? Czy może mają się nauczyć nowego zawodu, np. hodowcy kur? To są inne budynki, inne klatki, wszystko inne. To tak, jakby Kaczyńskiemu ktoś proponował, by się przebranżowił na księgowego, bo umie pisać i czytać.

***

Dlaczego PiS to robi i dla kogo? Nie wykazuje się wrażliwością wobec tysiąca dzieci zabijanych z powodu „przesłanki eugenicznej" (sprawa leży, bo PiS ją wciąż zamiata pod różne dywany), więc na wrażliwość się nie nabiorę. Poszedłem za smrodem pieniędzy. Pytanie postawiłem takie: Kto ZAROBI na likwidacji polskiej branży? Odpowiedź: Niemcy, Szwedzi i Chińczycy! Aaa Chińczycy, oni są bardzo lansowani przez PiS – ani słowa o zagrożeniach (pewnie ich nie widzą), za to zachwytów pełno: że nowy jedwabny szlak, że „cieszy nas zainteresowanie Chin Trójmorzem" (normalnych ludzi powinno to bardzo niepokoić, a nie cieszyć).

I nagle zacofany technologicznie Jarosław Kaczyński ogłasza swoją „piątkę dla zwierząt" akurat na szpiegowskim urządzeniu TikTok, lansowanym siłowo przez Chińczyków. Skąd w ogóle wiedział, że istnieje?

***

Trump właśnie zakazał stosowania tego świństwa w USA, bo przy każdym logowaniu i każdej płatności TikTok odsysa dane z indywidualnego urządzenia i przekazuje WSZYSTKO, co zbierze, na serwery Komunistycznej Partii Chin. TikTok stanowi więc zagrożenie bezpieczeństwa narodowego państwa i obywateli. Dlatego Trump kazał go w USA zamknąć, ale ponieważ rozumie, że to branża, która zatrudnia wielu Amerykanów, zezwolił na wykupienie infrastruktury TikToka przez firmy amerykańskie, tak aby dane nie były wysyłane do Chin. Zlikwidował zagrożenia, a jednocześnie nie zlikwidował amerykańskiej branży, lecz ją wzmocnił. Gdyby Chińczycy nie chcieli sprzedać TikToka Amerykanom, nie muszą – zostanie zakazany w USA i tyle, a korzystanie z niego będzie przestępstwem federalnym przeciwko bezpieczeństwu państwa. Chińczycy mogą więc albo sprzedać i coś zarobić, albo zamknąć i nie zarobić nic.

Trump działa zgodnie z zasadą: władza ma zapewniać swoim obywatelom warunki rozwoju, a nie powodować regres.

Delegalizując TikToka, spowodował, że w USA pojawią się nowe miejsca pracy dla Amerykanów, a bezpieczeństwo obywateli wzrośnie. PiS, delegalizując hodowle zwierząt futerkowych, spowoduje, że w Polsce znikną kolejne miejsca pracy, a pojawią się w Chinach. ©℗

eprasa.pl 2fa82032cf

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY HISTORIA DO RZECZY

TYGODNIK „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

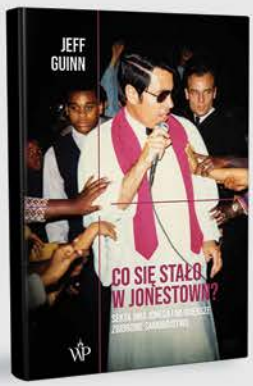

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

JEFF GUINN „CO SIĘ STAŁO W JONESTOWN. SEKTA JIMA JONESA I NAJWIĘKSZE ZBIOROWE SAMOBÓJSTWO"

~~736~~ ZŁ > **281,00** ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 455 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2fa82032cf

eDO App

Rewolucja w potwierdzaniu tożsamości

BEZPIECZEŃSTWO TOŻSAMOŚCI

OGRANICZENIE RYZYKA NADUŻYCIA FINANSOWEGO

REDUKCJA KOSZTÓW

OSZCZĘDNOŚĆ CZASU

Szukasz nowych możliwości technologicznych, usprawniających procesy (np. KYC) w Twojej firmie? Dbasz o bezpieczeństwo swoich klientów? Twój biznes opiera się na weryfikacji tożsamości lub zawieraniu umów, w tym tych podpisywanych na odległość?

Sprawdź jakie korzyści Twojej firmie może przynieść integracja z eDO App (API).
Umów się na prezentację produktu już teraz!

Więcej na **www.edoapp.pl**

eprasa.pl 2fa82032cf

22 **Kto zarobi** na przekopie Mierzei Wiślanej

24 **Zamach** na spółki komandytowe

36 **Ulga na robotyzację** skończy jak inne ulgi inwestycyjne?

Konserwatywny magazyn ekonomiczno-społeczny

Forum Polskiej gospodarki

Nr 4 (4) wrzesień 2020

26 **Wojna o zwierzęta** czy o pieniądze

38 **Ponad 60 kilogramów złota** za odsiecz wiedeńską

30 **Dlaczego unijne** dotacje szkodzą

Felietony:
Gniadek SVD
Palutkiewicz
Hofman

6

Wkład czempionów w rozwój polskiej gospodarki

eprasa.pl 2fa82032cf

Patriotyzm źródłem dobrej energii

By Leonard Szmaglik - http://ecs.gda.pl/, CC BY-SA 3.0 pl, https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=42200965

Patriotyzm to nie tylko miłość do Ojczyzny. To także szacunek do przeszłości i pamięć o Bohaterach.

Podpisane 31 sierpnia 1980 r. porozumienia i powstanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" przyczyniły się do upadku komunizmu w Europie.

Energa
GRUPA ORLEN

eprasa.pl 2fa82082cf

06. WKŁAD CZEMPIONÓW W ROZWÓJ POLSKIEJ GOSPODARKI
Narodowi czempioni przekazali swoim akcjonariuszom wypłaty z zysku za 2019 rok o wartości 24 mld zł. Z czego 2,9 mld zł trafiło do budżetu krajowego.

11. WYZWANIA DLA POLSKIEJ ENERGETYKI NA NAJBLIŻSZE 20 LAT
Jeszcze nigdy sprawy energii i polityki klimatycznej nie były tak silnie obecne w polityce europejskiej jak teraz. To dla Polski wielka szansa – uważa prezes PGNiG Jerzy Kwieciński..

13. RAPORT: TRANSFORMACJA ENERGETYCZNA
Zwrot polskich firm energetycznych w kierunku odnawialnych źródeł energii jest tak gwałtowny, jak jeszcze niedawno silne było przywiązanie do przemysłu węglowego.

20. KTO ZAROBI NA PRZEKOPIE MIERZEI WIŚLANEJ?
Zachowując sceptycyzm wobec niektórych pomysłów polityków, trzeba przyznać, że przekop Mierzei Wiślanej i to, co się z nim wiąże czy wiązać będzie, ma głęboki sens.

24. ZAMACH NA SPÓŁKI KOMANDYTOWE
Rząd chciałby, aby spółki komandytowe stały się podatnikami CIT. I to już od 2021 roku. A to oznacza skokowy wzrost opodatkowania tej formy działalności.

26. WOJNA O ZWIERZĘTA CZY O PIENIĄDZE?
Treść projektu nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt duża część przedsiębiorców i rolników przyjęła z wściekłością i niezrozumieniem.

30. DLACZEGO UNIJNE DOTACJE SZKODZĄ
Analiza szeregu aspektów związanych z wykorzystywaniem unijnych funduszy pokazuje, że niekoniecznie są one tak korzystne, jak się powszechnie uważa.

36. ULGA NA ROBOTYZACJĘ SKOŃCZY JAK INNE ULGI NA INNOWACJE?
Z ulgi na badania i rozwój korzysta znacznie mniej niż pół procenta płatników podatków dochodowych. Z nową ulgą może być podobnie.

38. 62 KILOGRAMY ZŁOTA ZA ODSIECZ WIEDEŃSKĄ
Historia królewskiej łapówki, czyli do odsieczy Wiednia mogło wcale nie dojść. Za taką możliwość jedno z europejskich mocarstw chciało zapłacić 62 kg złota.

Forum Polskiej gospodarki

Wydawca:
Forum Polskiej Gospodarki Sp. z o.o.
ul. Srebrna 16 lok. 18
00-810 Warszawa

Redaktor zarządzający:
Krzysztof Budka

Zespół redakcyjny:
Robert Azembski, Tomasz Cukiernik, Kamil Goral, Marek Kutarba, Jarosław Mańka, Jacek Podgórski (Instytut Gospodarki Rolnej)

Felietoniści:
ks. Jacek Gniadek SVD
Piotr Palutkiewicz (Związek Przedsiębiorców i Pracodawców)
Piotr Hofman (Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa)

Skład i opracowanie graficzne:
Przemysław Banasiewicz

Korekta:
Anna Zakrzewska

Reklama:
reklama@fpg24.pl

Redakcja Forum Polskiej Gospodarki nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

eprasa.pl 2fa82032cf

Przedsiębiorczość to przecież nic wstydliwego

Felietonista „Forum Polskiej Gospodarki" ks. Jacek Gniadek opowiadał niedawno, jak to pochwalił swego czasu siostrę zakonną, kierowniczkę katolickiej księgarni, za ducha przedsiębiorczości. – Zaskoczony usłyszałem od niej w zamian słowa pełne oburzenia: „Proszę mnie tylko nie nazywać bizneswoman. Ja nie robię niczego dla zysku" – wspomniał. I dodał: – Dzisiaj słowo zysk w kręgach katolickich nabrało negatywnego znaczenia. Może dlatego współczesny Kościół przeżywa kryzys...

Niewykluczone, że tak właśnie jest. Zresztą to temat pewnie na kilka rozpraw akademickich i nie miejsce tu, by rzecz tę akurat na gorąco rozstrzygać. Niemniej faktycznie znam kilku pobożnych i religijnych ludzi, którzy prowadzą własny biznes i są traktowani, jakby robili coś niegodziwego albo co najmniej wstydliwego. I trudno im pojąć, dlaczego tak jest. Zresztą sami niestety zaczynają mieć takie podejrzenie i co jakiś czas zastanawiają się, co też z nimi jest nie tak... Znam też kilku pobożnych cwaniaków, którzy od zawsze żyją na koszt państwa (czyli podatników), uzależnili się od tego i wcale się tego nie wstydzą. Co więcej, uważają, że jest to powód do dumy i nie ma w tym nic złego. I nikt w Kościele ich z tego błędu nie wyprowadza.

Przypomniała mi się ta historia, bo bardzo często zdarza się, że tak samo postrzegani są przedsiębiorcy przez urzędników państwowych. Jakby robili coś niegodziwego i wstydliwego. Coś, co można co najwyżej z wyrzutem sumienia tolerować. To taka antyprzedsiębiorcza mentalność, która pociąga za sobą niekończącą się regulacyjną inflację, podatkowe dociskanie śruby, nieustające kontrole i wieczne uprzykrzanie życia przedsiębiorcom w postaci coraz bardziej skomplikowanego i szkodliwego otoczenia prawno-podatkowego. I mało kto postrzega to jako coś złego.

Tymczasem – jakkolwiek górnolotnie by to nie zabrzmiało – ci prześladowani przedsiębiorcy budują siłę ekonomiczną państwa i stanowią, często niedocenianą, elitę gospodarczą narodu. Oni naprawdę nie potrzebują, by ich rozpieszczać, coś im dawać, traktować ich w sposób wyjątkowy, czy tworzyć dla nich jakieś specjalne podatkowe raje. Wystarczy, że nie będzie się im przeszkadzać. Wystarczy stworzyć im odpowiednią przestrzeń do funkcjonowania. Dla większości z nich to będzie już raj.

Dlatego tak ważną sprawą jest przywrócenie etosu polskiego przedsiębiorcy. Stereotyp potencjalnego cwaniaka i oszusta pokutuje od lat PRL-u, skutecznie blokując potencjał polskiej przedsiębiorczości i zniechęcając młodych ludzi do wejścia na ścieżkę prowadzenia uczciwego, samodzielnego biznesu. Dobrze by się stało, gdyby w te działania włączył się również Kościół. O co, swoją drogą, od bardzo dawna apeluje ks. Jacek Gniadek. Warto go w tym wspierać.

Krzysztof Budka

eprasa.pl 2fa82032cf

FPG24.PL

Zawsze w stronę **przedsiębiorcy...**

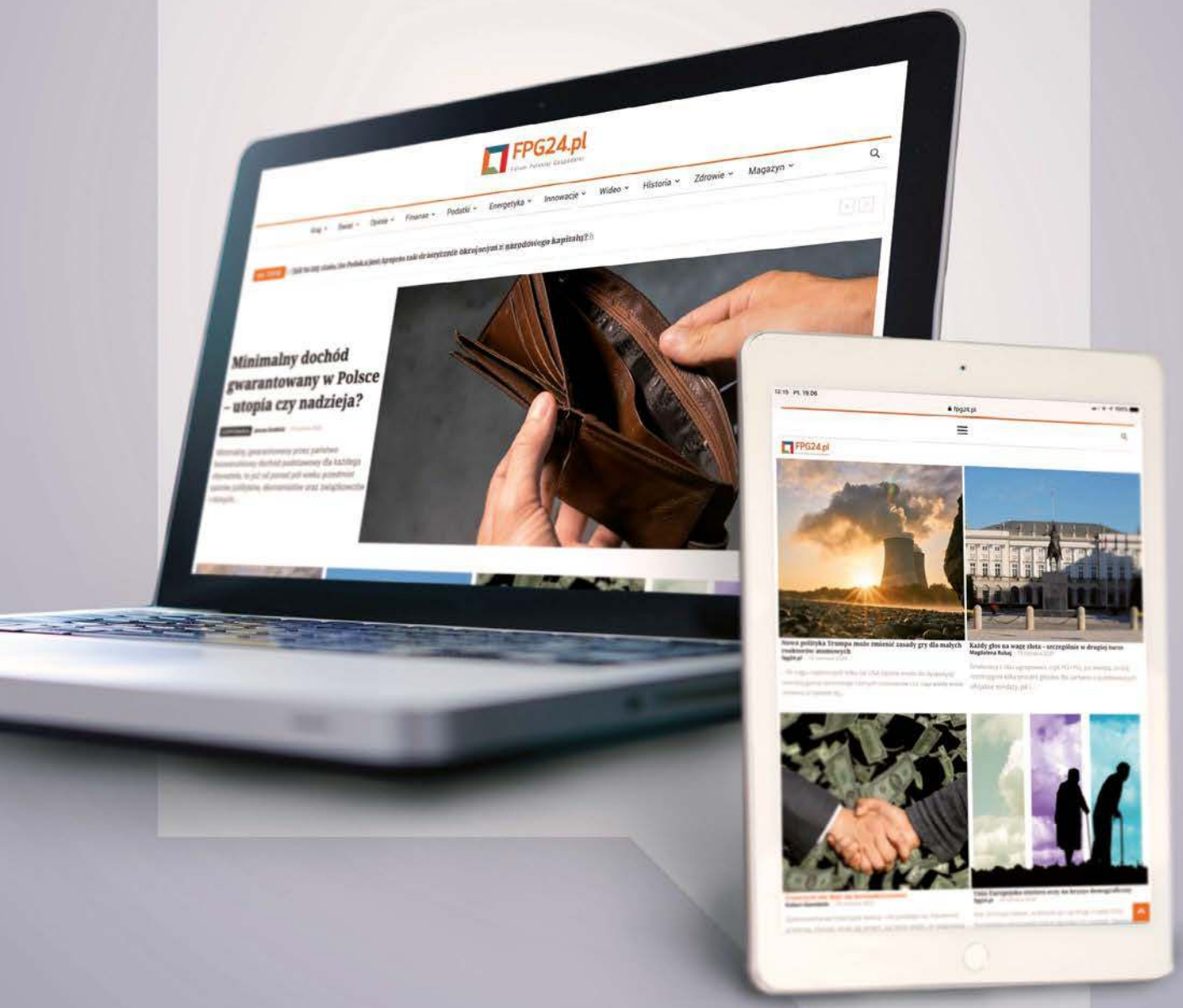

Konserwatywny serwis ekonomiczno-społeczny

eprasa.pl 2fa82032cf

Wkład czempionów w rozwój polskiej gospodarki

Poglądy na temat posiadania przez państwo udziałów w największych przedsiębiorstwach są podzielone. Nie brak głosów mówiących, że obecność państwa w biznesie powinna być mocno ograniczona. Że w tego typu podmiotach jak spółki kapitałowe powinno być go najmniej, a najlepiej w ogóle. Ale nie brak też takich, które wskazują na bardzo ważne zadania, jakie państwowe spółki mają do spełnienia dla rozwoju Polski.

Kamil **Goral**

Mówiąc o spółkach Skarbu Państwa, warto zaznaczyć, że odnosimy się do grupy bardzo zróżnicowanej. Łącznie jest ich bowiem około 700. Wiele z nich to małe przedsiębiorstwa, często w kiepskiej kondycji finansowej, których biznesowe dni są już policzone. O takich podmiotach mówi się firmy zoombie. Gdyby nie szczególne okoliczności, jak choćby właśnie obecność państwa w akcjonariacie, zapewne już dawno przestałyby istnieć. O tej grupie nie wspomina się w mediach, stąd wielu Polakom państwowe firmy kojarzą się wyłącznie z potężnymi korporacjami o wielomiliardowej kapitalizacji. Noszą one dumną nazwę narodowych czempionów i są chlubą polskiej gospodarki.

Prawda jest bowiem taka, że to głównie wielkie państwowe spółki stanowią realną przeciwwagę dla zagranicznych korporacji działających w Polsce. To one decydują także o sile polskiej giełdy. W indeksie WIG20, zrzeszającym największe podmioty notowane na głównym warszawskim rynku, aż 11 to właśnie spółki Skarbu Państwa. Są one także silnie reprezentowane w indeksach sektorowych, takich jak WIG Energetyka, WIG Paliwa czy WIG Banki. Ogólnie SSP mają około połowy udziału w kapitalizacji krajowych firm notowanych na GPW. W znacznej mierze zatem notowania całego rynku zależą od tego, jak są one wyceniane.

fot. PKN ORLEN

Solidne wsparcie budżetu centralnego

O spółkach Skarbu Państwa trzeba mówić także w perspektywie finansów publicznych. I to z dwóch powodów. Po pierwsze, wpłacają one do budżetu centralnego miliardy złotych dywidend. Te pieniądze to istotny zastrzyk wsparcia dla państwowej kiesy. Narodowi czempioni przekazali swoim akcjonariuszom wypłaty z zysku za 2019 rok o wartości 24 mld zł. Z czego 2,9 mld zł trafiło do budżetu krajowego. 75 proc. wartości dywidend wypłaconych przez spółki z indeksu WIG 20 pochodziło właśnie od tych kontrolowanych przez państwo.

> *Narodowi czempioni przekazali swoim akcjonariuszom wypłaty z zysku za 2019 rok o wartości 24 mld złotych. Z czego 2,9 mld zł trafiło do budżetu krajowego.*

Drugi powód, dla którego SSP są ważne dla budżetu, to ich udział we wpływach podatkowych. Z opublikowanych niedawno przez Ministerstwo Finansów danych, dotyczących największych podatników CIT, wynika, że kluczową rolę odgrywają tutaj państwowe spółki. Wśród 10 podmiotów najwięcej kontrybuujących do budżetu z tytułu tej daniny aż 7 to te z wiodącym udziałem państwowego kapitału. Bez mała 1,4 mld zł CIT-u zapłaciła grupa kapitałowa PKO BP, Pekao SA – 746 mln zł, PKN Orlen – 737 mln zł, KGHM – po-

eprasa.pl 2fa82032cf

fot. PAP/Marcin Bednarski

nad 670 mln zł, PGNiG, PZU i PGE – po około 500 mln zł. Listę tę można by jeszcze wydłużyć. Już jednak to, co zostało wymienione, pokazuje, o jakiej skali wsparcia finansów publicznych rozmawiamy. Razem z dywidendami mówimy tu o wielu miliardach złotych, bez których trudno sobie wyobrazić takie programy jak Rodzina 500+ czy wypłata 13. emerytury.

Warto przy tym zauważyć pewną istotną kwestię. Państwowe spółki to potężne korporacje, zatrudniające wybitnych prawników i finansistów. Z łatwością można sobie wyobrazić sytuację, w której unikają płacenia podatków, stosując skomplikowane narzędzia optymalizacyjne. Nie robią tego jednak. Pytanie, czy gdyby państwo nie miało tam decydującego głosu, byłoby tak samo.

Kierunek na innowacje

Ale spółki Skarbu Państwa to nie tylko podatki i dywidendy. To także ważna rola w stawianiu solidnych fundamentów polskiej gospodarki. W tym kontekście wskazać można na swego rodzaju misyjność tych podmiotów. Rzecz jasna działają one, aby osiągnąć zysk, ale powinni robić to tak, aby skorzystali na tym także kooperanci i inni interesariusze, z którymi SSP wchodzą w relacje.

Jak w praktyce może to wyglądać? Państwowe spółki coraz częściej decydują się na powoływanie własnych funduszy corporate venture capital. Ich celem jest inwestowanie w ciekawe biznesowo i innowacyjne firmy, których produkty mogą mieć komercyjne zastosowanie. W efekcie pożytek odnieść może zarówno państwowa spółka, jak i podmiot, który pozyskuje od niej finansowanie.

Rozwój tego typu narzędzi kapitałowego wsparcia powinien być jednym z priorytetów związanych z budowaniem nowoczesnej i innowacyjnej gospodarki. Warto zwrócić uwagę, że zapotrzebowanie państwowych spółek na innowacje rośnie. Wiele z nich w swoich strategiach stawia na rozwijanie kompetencji, w tym

eprasa.pl 2fa82032cf

Państwowe spółki coraz częściej decydują się na powoływanie własnych funduszy corporate venture capital. Ich celem jest inwestowanie w ciekawe biznesowo i innowacyjne firmy, których produkty mogą mieć komercyjne zastosowanie.

właśnie obszarze. Poszukują zatem partnerów biznesowych, z którymi mogłoby podjąć współpracę. W ten sposób w polskiej gospodarce zgłaszany jest popyt, a robią to duże, stabilne i wypłacalne podmioty. To zaś sprzyja budowaniu rynku dla innowacyjnych rozwiązań.

Spółki spieszą z pomocą

W kontekście koronawirusa nie do przecenienia jest rola państwowych spółek w walce z pandemią. Na wsparcie szpitali podmioty te przekazały, jak podał wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin, kwotę 170 mln zł. Środki te trafiały do placówek zdrowotnych od wiosny, kiedy w naszym kraju pojawił się koronawirus. Państwowe przedsiębiorstwa były zaangażowane w dostarczanie sprzętu medycznego do szpitali oraz produkcję środków dezynfekcyjnych w sytuacji, gdy zaczęło ich brakować w sklepach. W marcu i kwietniu, kiedy nie było wiadomo, jak w kolejnych dniach rozwijać się będzie pandemia oraz jak poradzi sobie z tym wyzwaniem służba zdrowia, SSP były na posterunku.

Jest jeszcze inna, bardzo ważna funkcja spółek państwowych, o której dobrze pamiętać przy okazji pandemii. Jak doskonale wiadomo, jej skutkiem była także obawa o utratę pracy. Wielu zatrudnionych nie wiedziało, czy ich stanowiska przetrwają załamanie spowodowane wirusem. Tymczasem SSP są jednym z największych pracodawców.

W niedawno opublikowanym raporcie ekspertów banku Pekao SA czytamy: „Przedsiębiorstwa państwowe oraz notowane na giełdzie koncerny ze znaczącym udziałem własności państwowej należą do największych pracodawców w Polsce. W 2018 roku aż 11 na 15 działających w naszym kraju firm o najwyższym poziomie zatrudnienia było przynajmniej częściowo kontrolowanych przez państwo. Łącznie pracowało w nich ponad 400 tys. osób – 6 proc. wszystkich zatrudnionych w sektorze przedsiębiorstw, a 12 proc. uwzględniając jedynie firmy duże, tzn. zatrudniające 250 i więcej pracowników".

Ciągle atakowane

Jednak nie tylko w związku z takimi wydarzeniami państwowe spółki angażują się w aktywność społeczną. Wiele z nich działa lokalnie, udzielając się społecznie w tych miejscach, w których prowadzą swoją działalność.

Skąd zatem tak zacięte ataki? W dużej mierze to efekt politycznego konfliktu, z jakim mamy do czynienia w Polsce.

eprasa.pl 2fa82032cf

fot. PAP/Radek Pietruszka

Tego typu koncerny wyznaczają swoje cele w perspektywach kilkuletnich, rotacje na kierowniczych szczytach zaburzają możliwość efektywnej realizacji wcześniej ustalonych zamierzeń.

Faktem jest również to, że karuzela kadrowa w tych podmiotach budzić może zastrzeżenia, szczególnie jeśli chodzi o niespodziewane zmiany w zarządach największych firm i związaną z tym niestabilność. Tego typu koncerny wyznaczają swoje cele w perspektywach kilkuletnich, rotacje na kierowniczych szczytach zaburzają możliwość efektywnej realizacji wcześniej ustalonych zamierzeń. Z zasady jest tak, że nowy zarząd to nowa wizja i nowe plany.

Niemniej, jak zaznaczają autorzy przywołanego wcześniej raportu, „większość spośród największych firm państwowych charakteryzowało się przy tym wyższą od średniej dla ogółu dużych przedsiębiorstw wydajnością pracy mierzoną wartością wyniku netto przypadającą na 1 zatrudnionego". Co prawda w dokumencie tym wskazano, że może to być spowodowane sektorami, w jakich działają SPP, należy jednak ten fakt odnotować.

Wbrew obiegowej opinii nie jest też tak, że u nas państwa jest więcej w gospodarce niż gdzie indziej. W tej kategorii wyprzedzają nas zdecydowanie Norwegia i Finlandia, jesteśmy także w tyle za Francją, Włochami czy Szwecją (szczegóły w raporcie Pekao SA). Nie grozi nam zatem nacjonalizacja gospodarki ani nawet jakiś niebezpieczny przechył w kierunku państwowej własności.

eprasa.pl 2fa82032cf

fot. PAP/Sebastian Borowski

Wyzwania dla polskiej energetyki na najbliższe 20 lat

Jeszcze nigdy sprawy energii i polityki klimatycznej nie były tak silnie obecne w polityce europejskiej jak teraz. To dla Polski wielka szansa - przekonywał podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu prezes PGNiG Jerzy Kwieciński.

Prezes Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa był jednym z uczestników panelu „Polityka energetyczna Polski do 2040 r. Wyzwania i szanse". – Transformacja energetyczna i wielkie inwestycje w tym sektorze zdominują w najbliższym czasie politykę europejską. Aż jedna trzecia budżetu unijnego ma przecież realizować cele klimatyczne – tłumaczył Jerzy Kwieciński. Dużą rolę w tym procesie ma odegrać w Polsce PGNiG.

– Wchodzimy w potężny program biometanowy z Orlenem, w technologie wodorowe. Chcemy, żeby te gazy były wykorzystywane w naszych sieciach razem z gazem ziemnym, który jest paliwem przejściowym w transformacji energetycznej. Jako PGNiG mamy największe kompetencje w sektorze wydobycia węglowodorów, ale będziemy wzmacniać je także w sektorze wytwarzania energii, zwłaszcza zielonej. Stąd nasz zielony zwrot w stronę OZE, wodoru i biometanu. Stąd również pomysł łączenia PGNiG z PKN ORLEN. Musimy łączyć i wzmacniać nasze potencjały. To dla nas i dla Polski wielka szansa – tłumaczył prezes Kwieciński.

O plusach łączenia spółek i budowie wielkiego polskiego koncernu multienergetycznego mówił również Paweł Majewski, prezes Grupy LOTOS. – To operacja, bez której trudno mówić o budowie mocnej pozycji polskich koncernów jako liczących się graczy na arenie Europy Środkowo-Wschodniej. Aby wyjść poza granicę kraju, należy inwestować w alternatywne paliwa. Wierzę, że proces łączenia się Lotosu, Energi i PGNiG z Orlen nie tylko nie przeszkodzi w naszych planach rozwoju i badań w obszarze paliw alternatywnych, ale wręcz wzmocni nasze możliwości – powiedział Paweł Majewski.

Gość specjalny dyskusji, minister klimatu Michał Kurtyka, przypomniał o trzech filarach, na których będzie oparta Polityka Energetyczna Polski. – Pierwszym z nich jest sprawiedliwa transformacja, czyli stanowisko i przekonanie do tego stanowiska naszych partnerów z Unii Europejskiej, że Polska potrzebuje więcej solidarności w drodze do osiągnięcia neutralności klimatycznej. Sprawiedliwa transformacja to m.in. środki na nowe miejsca pracy i nowy, zeroemisyjny system elektro-energetyczny, który w ciągu najbliższych 20 lat będziemy chcieli zbudować. Drugi filar to rewolucja paradygmatu energetycznego – od centralnie sterowanego do oddolnego. Oddolna demokratyzacja energetyki możliwa jest dzięki redukcji kosztów związanych z technologią odnawialnych źródeł energii. Wreszcie trzeci filar to wyzwanie dotyczące radykalnego podniesienia jakości powietrza, jakim oddychamy – zaznaczył minister Kurtyka.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z PGNIG SA

eprasa.pl 2fa82032cf

Internet kontra telewizja

W drugim kwartale, w czasie recesji wywołanej epidemią koronawirusa, w internecie sprzedano więcej reklam niż w telewizjach – poinformował Polski Instytut Ekonomiczny. Cała branża, tak jak wiele innych, wpadła w kryzys – wydatki na reklamy w drugim kwartale były aż o 28 proc. mniejsze niż rok wcześniej. Ciekawe jednak, że skala spadku wygląda różnie w różnych miejscach. Wydatki w internecie spadły, ale tylko o 5,5 proc. Za to w telewizjach aż o 35,3 proc.

GPW chce kupić giełdę w Armenii

Zarząd warszawskiego parkietu poinformował o zawarciu porozumienia term sheet z Central Bank of Armenia, dotyczącego negocjacji ws. zakupu 65 proc. udziałów spółki Armenia Securities Exchange (AMX). Spółka podała, że podpisała umowę o zachowaniu poufności z Central Bank of Armenia w zakresie potencjalnej współpracy kapitałowej, w tym m.in. transakcji odkupienia udziałów w AMX. Rozmowy na ten temat prowadzono już w marcu, jednak dopiero teraz o niej oficjalnie poinformowano.

AMX to spółka z siedzibą w Erywaniu, organizująca obrót instrumentami finansowymi oraz prowadząca izbę depozytowo-rozliczeniową w zakresie obrotu instrumentami finansowymi w Armenii.

1,37 miliarda złotych

– zapłacił rekordzista w kategorii CIT. Ministerstwo Finansów ujawniło, kto w zeszłym roku wpłacił najwięcej pieniędzy do budżetu. Pierwsze cztery miejsca zajmują banki:

- grupa kapitałowa PKO BP (1,37 mld zł należnego CIT)
- ING BSK (776 mln zł)
- Santander BP (751 mln zł)
- Bank Pekao (746 mln zł)

Na kolejnych miejscach zaszły zmiany. O ile w 2018 roku drugą pozycję zajmował PKN Orlen, o tyle teraz spadł na pozycję piątą. Zyski lidera polskiej branży naftowej (podstawa opodatkowania) poszły w dół z 4,6 do 3,9 mld zł i w rezultacie podatek należny wyniósł 734 mln zł, czyli o 130 mln zł. Pierwszą dziesiątkę największych płatników uzupełniają jeszcze: KGHM, Jeronimo Martins Polska (Biedronka), podatkowa grupa kapitałowa PZU, PGE i PGNiG. Na dziesięciu kluczowych podatników, którzy wnieśli łącznie 17,9 proc. podatku CIT, siedem to firmy kontrolowane przez państwo.

Polsko-australijski alians

Polska spółka Mabion SA poinformowała o zawartym z australijską firmą biotechnologiczną Vaxine Pty Ltd. porozumieniu, określającym warunki dalszych umów o współpracy na rzecz rozwoju, produkcji i wprowadzenia na rynek w UE szczepionki przeciwko SARS-Cov-2 opracowanej przez Vaxine. Szczepionka jest obecnie w I fazie badań klinicznych. Po sfinalizowaniu umowy o współpracy Mabion stanie się partnerem Vaxine, kierującym w przyszłości rozwojem klinicznym, produkcją i komercjalizacją szczepionki na rynku polskim i europejskim.

eprasa.pl 2fa82032cf

Raport

fot. pixabay.com

TRANSFORMACJA ENERGETYCZNA

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

PARTNER

LOTOS

Energa
GRUPA ORLEN

eprasa.pl 2fa82032cf

PKN ORLEN jako pierwsza firma paliwowa w Europie Środkowej deklaruje dojście do neutralności klimatycznej w 2050 roku.

Cztery filary strategii

W ramach dochodzenia do tego celu do 2030 roku koncern o 20 proc. zredukuje emisje CO_2 z obecnych aktywów rafineryjnych i petrochemicznych oraz o 33 proc. CO_2/MWh z produkcji energii elektrycznej.

Ogłoszona przez PKN ORLEN strategia dążenia do neutralności emisyjnej oparta jest na czterech filarach:

- efektywności energetycznej produkcji,
- zeroemisyjnej energetyce,
- paliwach przyszłości,
- zielonym finansowaniu.

Zaprezentowana przez koncern strategia neutralności emisyjnej to przełomowy dokument, definiujący podejście do biznesu w kolejnych dekadach. Globalna transformacja energetyczna jest olbrzymią szansą rozwojową dla Europy Środkowej. Jako największa firma w regionie PKN ORLEN chce jeszcze mocniej angażować się w ten proces i ma ku temu silne podstawy. W ostatnich latach spółka nie tylko intensywnie rozwija nowe obszary biznesowe, ale jest też liderem konsolidacji polskiego sektora energetyczno-paliwowego. Realizacja planowanych przez PKN ORLEN przejęć pozwoli w pełni wykorzystać nowe możliwości, jakie niosą ze sobą globalne trendy w energetyce i konsekwentnie budować wartość koncernu w długiej perspektywie.

PKN ORLEN zamierza objąć pozycję lidera transformacji energetycznej w Europie Środkowej. Do 2030 r. koncern zamierza zainwestować ponad 25 mld zł w projekty, które umożliwią redukcję oddziaływania na środowisko i otwarcie na nowe modele biznesowe. Strategia neutralności emisyjnej została oparta na filarach biznesowych, w których koncern już posiada szerokie doświadczenie i silną pozycję rynkową.

Inwestycje te obejmują zarówno działania w poprawę efektywności emisyjności obecnych segmentów biznesowych, jak również rozwój nowych obszarów. W ciągu 10 lat koncern zrealizuje ponad 60 projektów zwiększających efektywność energetyczną obecnie istniejących aktywów produkcyjnych. W nowych projektach rafineryjnych i petrochemicznych wykorzystywane będą najlepsze i najbardziej efektywne emisyjnie technologie. PKN ORLEN wzmocni także pozycję regionalnego lidera w obszarze biopaliw, realizując pięć znaczących inwestycji w tym zakresie. Pozwolą one w perspektywie 2030 roku na zwiększenie produkcji o ok. 500 tys. ton biopaliw rocznie.

W ramach budowy nowych obszarów biznesowych koncern będzie koncentrował się na rozwoju nisko- i zeroemisyjnych źródeł wytwarzania, w tym przede wszystkim mocy wiatrowych oraz fotowoltaiki. Grupa ORLEN będzie rozwijała również technologie wodorowe oraz rozbudowywała sieć dystrybucji paliw alternatywnych. Inwestycje realizowane w ramach strategii neutralności emisyjnej będą współfinasowane m.in. poprzez obligacje zrównoważonego rozwoju i zielone obligacje emitowane przez PKN ORLEN na europejskim rynku kapitałowym.

Dzięki dotychczasowym inwestycjom w efektywność energetyczną rafinerii w Płocku, czeskim Litvinovie i litewskich Możejkach, obecnie darmowymi uprawnieniami objętych jest ponad 80 proc. emisji

eprasa.pl 2fa82032cf

CO2 w tym segmencie działalności. Koncern posiada 1 GW nowoczesnych gazowych mocy wytwórczych oraz ponad 50 instalacji OZE o łącznej zainstalowanej mocy 450 MW. PKN ORLEN już dziś jest znaczącym producentem biopaliw w regionie, prowadząc prace między innymi nad rozwojem technologii pozyskiwania ich z surowców celulozowych, olejów roślinnych, a także produkcji biogazu. Koncern jest również w fazie przygotowawczej do realizacji hubu wodorowego we Włocławku o mocy 600 kg/h, dzięki któremu zajmie wiodącą pozycję na polskim rynku paliw wodorowych wykorzystywanych w transporcie.

Morska energetyka wiatrowa

Przygotowując się do budowy morskiej farmy wiatrowej, koncern konsekwentnie, zgodnie z harmonogramem, realizuje badania, pomiary, procesy administracyjne i biznesowe. PKN ORLEN posiada już warunki przyłączenia do sieci, zakończył wstępne badania geotechniczne dna morskiego, a także kontynuuje pomiary wietrzności.

W lipcu do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Gdańsku została dostarczona dokumentacja z wnioskiem o wydanie decyzji środowiskowej dla obszaru farmy. Badania niezbędne do przygotowania raportu środowiskowego trwały 17 miesięcy i obejmowały swoim zasięgiem obszar ok. 323 km2. W ramach zakończonego postępowania PKN ORLEN wybrał doświadczonego doradcę technicznego, który przygotuje wstępny projekt morskiej farmy wiatrowej, projekt budowlany oraz dodatkowe analizy pozwalające precyzyjnie zaplanować i przeprowadzić proces budowy morskiej farmy wiatrowej.

Wybrany przez płocki koncern projektant to brytyjska firma ODE (Offshore Design Engineering Ltd.), która ma ponad 20-letnie doświadczenie w branży offshore. Firma projektuje morskie farmy wiatrowe dla największych koncernów i inwestorów na świecie. Realizowane przez nią projekty obejmują zaprojektowanie m.in. niemal 8 GW mocy na wodach Wielkiej Brytanii, 3,2 GW na terenie mórz Europy Północnej oraz w innych częściach świata, gdzie powstaje kolejne 2,6 GW mocy wytwórczych zaprojektowanych przez ODE. Istotny wpływ na wybór projektanta miało wymagane przez PKN ORLEN uwzględnienie w ramach przyszłej współpracy tzw. local content.

Zgodnie z założeniami postępowania przetargowego firma uwzględniła w ofercie współpracę z polskimi kooperantami. Realizowany w ten sposób transfer know-how to istotny element budowy potencjału polskiej branży offshore.

Podpisana z wykonawcą umowa obejmuje przede wszystkim przygotowanie szczegółowych projektów

fot. pixabay.com

technicznych głównych urządzeń morskiej elektrowni wiatrowej. Opracowana dokumentacja będzie zawierała m.in. analizy rozmieszczenia turbin oraz założenia dotyczące przewidywanej produktywności farmy. Pomoże także doprecyzować harmonogram i kosztorys inwestycji. Wyniki pracy projektanta będą stanowić również wsparcie dla realizacji innych obszarów projektu jak pozyskanie finansowania i ubezpieczenia inwestycji. Z kolei opracowany projekt budowlany będzie podstawą do złożenia wniosku o pozwolenie na budowę morskiej farmy wiatrowej.

Prace nad rozwojem morskiej energetyki wiatrowej PKN ORLEN prowadzi poprzez spółkę Baltic Power, która posiada koncesję na budowę farm wiatrowych o maksymalnej łącznej mocy do 1,2 GW. Jej obszar, o łącznej powierzchni ok. 131 km2, zlokalizowany jest ok. 23 km na północ od linii brzegowej Morza Bałtyckiego, na wysokości Choczewa i Łeby.

fot. Jacek Sasin

eprasa.pl 2fa82032cf

fot. pixabay.com

Hub wodorowy

PKN ORLEN rozpoczął również proces wyboru wykonawcy hubu wodorowego we Włocławku, który docelowo będzie mógł wytwarzać do 600 kg doczyszczonego wodoru na godzinę. Inwestycja, obejmująca instalację produkcyjną, infrastrukturę logistyczną oraz dystrybucyjną, jest istotnym elementem wspierającym realizację strategii neutralności emisyjnej Koncernu w obszarze paliw alternatywnych.

Wodór to paliwo przyszłości, które będzie znajdować szerokie zastosowanie nie tylko w transporcie, ale również w energetyce. Już teraz koncern intensyfikuje prace nad rozwojem technologii wodorowych, tak by od 2022 roku zajmować silną pozycję konkurencyjną w tym segmencie. W pełnym wykorzystaniu szans rynkowych związanych z popularyzacją paliw alternatywnych wesprze PKN ORLEN także ogłoszone niedawno przystąpienie koncernu do Europejskiego Sojuszu na rzecz Czystego Wodoru.

Hub wodorowy powstanie na terenie należącego do Grupy ORLEN zakładu ANWIL we Włocławku. Na pierwszym etapie moce produkcyjne instalacji będą wynosiły ok. 170 kg na godzinę, jednak jej konstrukcja

KOMENTARZ

PKN ORLEN idzie w kierunku sprzyjania transformacji energetycznej Polski wpisanej w wyzwania polityki „Zielonego Ładu". Chociaż Polska formalnie nie zadeklarowała jeszcze dojścia do neutralności klimatycznej, to działania i rządu, i samego koncernu zmierzają właśnie w tym kierunku. Trzeba przy tym docenić fakt, że PKN ORLEN jest pierwszym koncernem paliwowym w Europie Środkowo-Wschodniej, który zadeklarował działania mające na celu osiągnięcie już znaczącej neutralności klimatycznej do 2030 roku – redukcję CO_2 z aktywów rafineryjnych i petrochemicznych o 20 proc., a w sektorze wytwarzania energii - o 33 proc. Jest to nie tylko świetna deklaracja w kategoriach PR, ale i pokazująca swego rodzaju „miękką siłę" Polski, która bywa ukazywana jako kraj „brudnej", węglowej energetyki.

Koncern udowodnił więc, że z jednej strony dysponuje wiedzą i siłą ekonomiczną, pozwalającą mu rozwijać nowe kierunki działań, z drugiej zaś strony uzasadnia w praktyce sens poczwórnej fuzji, jaka dokonuje się na rynku paliwowym. Fuzja ta stanowi realizację najpoważniejszego projektu gospodarczego po 1989 roku, który wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne Polski. Istotne jest także to, że koncern będzie dostarczał energię odpowiednio „czystą", co jest ważne dla naszych firm eksportowych, by były konkurencyjne, mogąc wykazać się na innych rynkach certyfikatem czystej energii przy wytwarzaniu produktów.

PKN ORLEN słusznie bierze też pod uwagę fakt, że za ok. 10 lat połowa aut na polskich drogach będzie napędzana w inny sposób niż paliwem z nafty. Musi podążać i jak widać chce podążać za zmianami zachodzącymi na rynku motoryzacyjnym.

dr Dawid Piekarz,
wiceprezes Instytutu Staszica,
ekspert w zakresie bezpieczeństwa ekonomicznego i energetycznego

eprasa.pl 2fa82032cf

KOMENTARZ

PKN ORLEN nie ma wyjścia, musi iść w tym kierunku, w którym idzie cała Europa. Bo czy nam się nowe trendy globalne podobają, czy nie, Polska musi się w nie wpisać – oczywiście możliwie mądrze.
Globalne koncerny paliwowe najpóźniej za dwadzieścia kilka lat nie będą już koncernami paliwowymi takimi, jakie dziś znamy – zmierzamy bowiem w kierunku elektro- i wodoromobilności, które należy rozwijać równolegle.
W osiąganiu neutralności klimatycznej, emisyjnej oraz budowaniu alternatywnych źródeł energii nie ma nic złego ani dla PKN ORLEN i innych firm paliwowych, ani dla krajowej gospodarki. Ważne, by idąc w tę stronę, spełniać określone kryteria, uwzględniając nasz narodowy interes. Takim istotnym kryterium jest rachunek ekonomiczny oraz wykorzystanie w możliwie szerokim zakresie polskiej myśli technicznej. PKN ORLEN właśnie to robi, a sprzyja temu wchłanianie innych firm. Koncern zwiększa potencjał i skalę działania, co przekłada się na jego możliwości finansowe do dalszej ekspansji. Na naszych oczach powstaje więc poważny gracz multienergetyczny – nie tylko w Polsce, ale w całym regionie. Nowym wyzwaniom mogą sprostać bowiem tylko duże podmioty o zdywersyfikowanym profilu działalności oraz o zdywersyfikowanych źródłach przychodów, dysponujące własnymi centrami kompetencyjnymi oraz budujące tzw. inteligentne specjalizacje oraz odporne na różne zawirowania zewnętrzne.

dr Marian Szołucha,
ekonomista, Akademia Finansów
i Biznesu Vistula

modułowa pozwoli na elastyczne zwiększanie produkcji wraz ze wzrostem popytu.

Wodór, który już teraz wytwarzany jest we Włocławku w procesie elektrolizy, będzie doczyszczany do jakości paliwa transportowego metodą adsorpcji zmiennociśnieniowej (PSA). Wykorzystywany proces elektrolizy daje możliwość docelowej produkcji tzw. zielonego, bezemisyjnego wodoru. Jest to możliwe dzięki zasileniu elektrolizera energią elektryczną pochodzącą z odnawialnych źródeł, już obecnie rozwijanych i wdrażanych przez Grupę ORLEN.

Paliwo, na pierwszym etapie dystrybucji, będzie przeznaczone przede wszystkim dla transportu publicznego i towarowego. Koncern podpisał już kilka porozumień z samorządami (w tym z Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolią, Krakowskim Holdingiem Komunalnym i Miejskim Przedsiębiorstwem Komunikacyjnym w Krakowie oraz Miastem Płock), będącymi potencjalnymi odbiorcami wodoru. Zakończenie inwestycji planowane jest w pierwszym półroczu 2022.

Oprócz hubu wodorowego we Włocławku i podobnej inwestycji planowanej w Płocku, Koncern rozwija również technologie wodorowe w biorafinerii ORLEN Południe w Trzebini. Rozpoczęcie produkcji wodoru w jakości paliwa transportowego planowane jest tam już w 2021 roku.

Materiał przygotowany we współpracy z PKN ORLEN

fot. PKN ORLEN

prasa.pl 2fa82032cf

Grupa LOTOS pokazuje, jak powinny przekształcać się polskie firmy z sektora rafineryjnego, by sprostać wyzwaniom dotyczącym zielonej energii i jednocześnie być współtwórcą rozwoju gospodarki i gwarantem bezpieczeństwa energetycznego kraju.

W obliczu nowej polityki klimatycznej UE przed gigantycznym wyzwaniem stanął przemysł rafineryjny. Już wkrótce radykalnie zmaleje popyt na paliwa płynne. To wynik redukcji emisji CO_2, zwiększenia efektywności energetycznej, wzrostu znaczenia paliw alternatywnych i odnawialnych źródeł energii.

Alternatywne paliwa

Grupa LOTOS prowadzi projekty z zakresu wodoru i elektromobilności, CNG czy LNG. W II kwartale 2020 roku zakończono studium wykonalności projektu budowy terminala LNG małej skali w Gdańsku. Inwestycja umożliwi wykorzystanie LNG jako paliwa w transporcie morskim i lądowym. Natomiast głównym kierunkiem prac jest wodór, określany mianem paliwa przyszłości. Dlatego też LOTOS szuka nowych szans biznesowych w tym obszarze. Przykładem jest podpisany w listopadzie 2019 roku list intencyjny w zakresie współpracy intensyfikującej prace nad rozwojem technologii wykorzystania wodoru w transporcie samochodowym z Toyota Motor Poland.

W działania te wpisuje się również projekt badawczo-rozwojowy, dotyczący elektrolizerów i ich integracji w rynku energii, uruchomiony z Polskimi Sieciami Elektroenergetycznymi.

Opublikowana w lipcu Strategia wodorowa UE nakreśla kierunek, w którym będzie rozwijał się rynek wodorowy, oraz etapy tego rozwoju. – Patrząc z perspektywy najbliższych lat, które naszym zdaniem będą kluczowe dla zbudowania fundamentów rozwoju rynku wodorowego, główne wyzwania stojące przed nami to określenie mechanizmów wsparcia dla podmiotów, które zdecydują się na inwestycje w technologie produkcji i wykorzystania wodoru. Od strony rynku detalicznego ważne jest uregulowanie formalne kwestii rozwoju infrastruktury tankowania wodoru. Brak przepisów wykonawczych i szczegółowych wymogów technicznych dla tego typu urządzeń utrudnia planowanie budowy stacji ładowania wodoru. Podobnie jak w przypadku elektromobilności, bardzo istotna jest stymulacja popytu na wodór i budowa mechanizmów korzyści, które zachęcą przyszłych użytkowników do zainteresowania się pojazdami z ogniwami paliwowymi – mówi Paweł Jan Majewski, prezes Zarządu Grupy LOTOS.

Projekt PURE H_2

Ważnym elementem zielonej strategii grupy jest pilotażowy projekt PURE H_2, w ramach którego LOTOS chce zbudować instalację do oczyszczania i dystrybucji wodoru oraz zainstalować dwie stacje ładowania pojazdów wodorowych (w Gdańsku i Warszawie). Projekt pozwoli na zebranie praktycznych doświadczeń, które zostaną wykorzystane do rozwoju kolejnych punktów ładowania pojazdów wodorem.

Nie jest to jednak jedyny kierunek, w którym LOTOS zamierza rozwijać się w obszarze produkcji i wykorzystania tzw. paliwa przyszłości. – Nasze prognozy pokazują, że zapotrzebowanie na wodór w pierwszej kolejności będzie pochodziło z rynku transportu miejskiego. Z tego względu nawiązaliśmy relacje i podpisaliśmy listy intencyjne o współpracy z samorządami takich miast jak Gdańsk, Gdynia, Tczew, które chcą budować flotę autobusów zasilanych ogniwami paliwowymi. Spodziewamy się, że rozwój wodorowego transportu miejskiego pomoże wygenerować „masę krytyczną" zapotrzebowania na wodór, która pozwoli na rozwój infrastruktury tankowania dla kolejnych rynków, takich jak pojazdy ciężarowe i osobowe – tłumaczy prezes Paweł Majewski.

Pomorska Dolina Wodorowa

Ze względu na swoje położenie geograficzne i kompetencje Grupa LOTOS zaangażowała się również w prace nad stworzeniem Pomorskiej Doliny Wodorowej, której celem jest wprowadzenie wodoru do komunikacji autobusowej, transportu kolejowego oraz transportu morskiego (żegluga pasażerska typu „short sea" – połączenie Trójmiasto–Hel). Inicjatywa ta ma wygenerować lokalny rynek wodoru o klasie czystości 5.0 o wielkości docelowej 2 tys. ton (do 2030 roku).

– Współpracujemy też z polskimi instytucjami naukowymi nad projektami, które mają podnieść efektywność wytwarzania czystego wodoru. Liczymy na to, że projekty te pozwolą nam znaleźć się w gronie liderów polskiego rynku wodorowego – dodaje prezes Paweł Majewski.

Materiał przygotowany we współpracy z **Grupą LOTOS**

fot. Grupa LOTOS

Powstał największy bank w Hiszpanii

CaixaBank oraz Bankia mają umowę o fuzji. Tym samym po połączeniu powstał największy bank Hiszpanii – blisko ośmiokrotnie większy niż numer jeden w Polsce, czyli PKO BP. Wyższość konkurencji musi uznać Banco Santander. Według szacunków hiszpańskiego dziennika „El Mundo" w efekcie fuzji powstaje bank zarządzający majątkiem o łącznej wartości 664 mld euro, zatrudniający w sumie ponad 51,5 tys. pracowników i dysponujący 6727 oddziałami. Dla porównania, Banco Santander ma aktywa mniejsze o około 30 mld euro.

Nowy fundusz dla innowacyjnych firm

NCBR Investment Fund (NIF) to nowy, koinwestycyjny fundusz venture capital należący do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Ma zostać wyposażony, w perspektywie najbliższych sześciu lat, w 700 mln zł. Specjalizacją tego kontrolowanego przez państwo funduszu będą inwestycje w mikro, małe i średnie przedsiębiorstwa, będące w fazie wzrostu lub ekspansji, ale komercjalizujące wyniki prac badawczo-rozwojowych. Firmy mogą liczyć na bardzo poważne wsparcie. NIF samodzielnie może zainwestować w dobry projekt realizowany przez firmę od 3 do 64 mln zł, ale już wspólnie z Funduszem Partnerskim kwota ta rośnie nawet do 128 mln zł.

ALLEGRO IDZIE NA GIEŁDĘ

Spółka Allegro poinformowała, że w czwartym kwartale tego roku jej akcje pojawią się na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. „Financial Times", powołując się na anonimowe źródła, pisze, że Allegro liczy na wycenę rynkową na poziomie pomiędzy 10 a 12 mld euro, czyli pomiędzy 44 a 53 mld zł, a w ofercie może znaleźć się od 20 do 25 proc. wszystkich akcji spółki.

Polepsza się płynność firm

W drugim, a szczególnie w trzecim kwartale bieżącego roku zaczęło ubywać nierzetelnych dłużników zalegających firmom z płatnościami ponad 60 dni. Z badania Skanera MŚP, przeprowadzonego na zlecenie Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor, wynika, że poprawiła się ściągalność należności, przede wszystkim w sektorze handlu i usług. Gorzej pod tym względem działo się w branży transportowej, budownictwie oraz w przemyśle. Odsetek firm sygnalizujących, że ich kontrahenci w ostatnich sześciu miesiącach opóźnili płatność o ponad 60 dni, spadł do 32,9 proc. w porównaniu do blisko 50 proc. w trzecim kwartale ubiegłego roku.

eprasa.pl 2fa82032cf

Kto zarobi na przekopie Mierzei Wiślanej?

Zachowując sceptycyzm wobec niektórych pomysłów polityków, trzeba przyznać, że przekop Mierzei Wiślanej i to, co się z nim wiąże czy wiązać będzie, ma głęboki sens. Sens przede wszystkim biznesowy. Ale nie bez znaczenia jest także dobrze zdefiniowany aspekt zabezpieczenia się przed efektami zmiennych nastrojów naszego wschodniego sąsiada.

Robert **Azembski**

Obecnie, aby dotrzeć drogą wodną do Elbląga, trzeba przepłynąć przez tzw. Cieśninę Piławską. Ta zaś nie należy do Polski. Tylko od łaskawości Rosjan zawsze zależało i zależy, czy polska jednostka zostanie przepuszczona przez ich wody. Przecież to absurd! Bywało nawet tak, że Rosjanie wyłapywali w cieśninie łodzie i jachty, które przekroczyły ich wodną granicę, i ściągali je do Kaliningradu. Stamtąd właściciel musiał

eprasa.pl 2fa82032cf

je potem odbierać na własny koszt. Sprawy były wyciszane, by nie tworzyć incydentów dyplomatycznych. Sparaliżowało to ruch turystyczny.

Szkodliwe plotki

Nowy kanał ma mieć 22,8 km i 5 m głębokości, w tym przejście przez Zalew Wiślany – 10,176 km, a rzekę Elbląg – 10,381 km. Do samego portu w Elblągu będą mogły wpływać jednostki o zanurzeniu do 4 m. Swobodnie mogą żeglować statki o długości 100 m i szerokości 20 m. Będzie to możliwe, bo inwestycja obejmie też przebudowę toru wodnego na rzece Elbląg i budowę mostu obrotowego w Nowakowie. Natomiast klasycznym fake newsem jest to, że kanał będzie można przepływać tylko łodziami i kajakami o zanurzeniu do 2,5 m. Plotki tego typu mają tylko ośmieszyć i zdezawuować przedsięwzięcie.

Bez wątpienia znacznie skrócona zostanie trasa żeglugowa pomiędzy Elblągiem do Gdyni (nawet do 39 mil morskich) i Gdańska (do 32 mil morskich). A skrócona droga to mniej samochodów w transporcie lądowym. Inwestycja sprzyja więc środowisku naturalnemu.

Co równie ważne, będzie ona miała tylko dobre skutki ekonomiczne i biznesowe dla gmin położonych na trasie oraz dla dziesiątek polskich firm zaangażowanych najpierw w samą budowę, a potem w utrzymanie nowego kanału we właściwym standardzie.

Samorządy chcą przekopu

Na początku września Urząd Morski w Gdyni zwiększył wartość kontraktu na budowę drogi wodnej łączącej Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską. Prace przy przekopie Mierzei Wiślanej wyceniono początkowo na 880 mln zł. Teraz szacuje się, że inwestycja pochłonie w sumie w ciągu dwóch lat ok. 1,9 mld zł.

Dużo? Dużo, jeśli słuchamy jedynie sceptyków, głoszących, że ta kwota zwróci się dopiero w ciągu kilkuset lat. Tego rodzaju budowa to nie inwestycja w fundusz, który ma przynieść określoną, roczną stopę zwrotu. Przy tak fantastycznej estymacji nie wzięto pod uwagę niewątpliwych korzyści, jakie udrożniony kanał przyniesie gminom położonym wzdłuż trasy żeglugowej. Pominięto całkowicie zwiększone wpływy z turystyki jachtowej, zyski z hotelarstwa i gastronomii. Także zyski samego Elbląga z ruchu pasażerskiego.

Nie oszukujmy się, Mierzeja Wiślana jest wyjątkowo słabo zurbanizowana. Wszystkie miejscowości położone w jej polskiej części, za wyjątkiem Gdańska, były niegdyś wioskami rybackimi. Dziś bez cienia przesady można mówić o niedostatecznie wykorzystanych walorach turystycznych. Wykonanie przekopu pozwoli rozwinąć też projekty rozpoczęte przez miasta północnej Polski w czasach, gdy istniał jeszcze ruch wodny do Kaliningradu. Skorzystają: Krynica Morska, Tolkmicko, Braniewo, Frombork, Sztutowo i miejscowości przyległe. Udana inwestycja zainicjuje rozbudowę infrastruktury turystycznej, a także remonty nabrzeża (jak w przypadku Tolkmicka) oraz modernizację i rozbudowę portu we Fromborku.

Nic więc dziwnego, że większość samorządów nad

Skrócona zostanie trasa żeglugowa z Elbląga do Gdyni i Gdańska

fot. PAP/Adam Warżawa

eprasa.pl 2fa82032cf

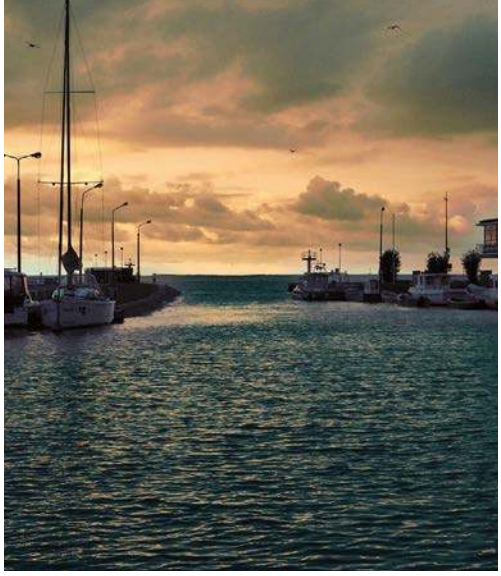

Zalewem Wiślanym popiera przekop, widząc w nim szansę na rozwój gospodarczy całego regionu. Inwestycja umożliwi też dotarcie do portu statków różnych bander – nie tylko polskich, ale i z innych krajów UE.

Zamówienia dla firm

Z całą pewnością przekop przyniesie kontrakty dla dziesiątek polskich firm podwykonawczych oraz zatrudnienie dla setek, jeśli nie tysięcy pracowników. To bezapelacyjna korzyść ekonomiczna. Tego rodzaju inwestycje, animowane, a nawet wprost - finansowane przez centralne władze, nikogo nie dziwią w rozwiniętych krajach. Gdy piszemy ten artykuł, już dziewięć firm złożyło oferty w przetargu na drugą część budowy drogi wodnej z Zatoki Gdańskiej do Zalewu Wiślanego. Urząd Morski w Gdyni przeznaczy na tę inwestycję co najmniej 687,5 mln zł. Oferty firm opiewają na kwoty od 492,9 mln do 968,8 mln zł.

Przekop Mierzei Wiślanej staje się faktem. Trwają już prace przy inwestycji „Budowa drogi wodnej łączącej Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską". W rejonie samej zatoki wykonywany jest port osłonowy. Zakończenie inwestycji planowane jest już na wrzesień tego roku.

– Obecnie trwają prace na morskim odcinku falochronu zachodniego – potwierdza Bartosz Zabłocki, kierownik robót hydrotechnicznych z konsorcjum NDI/Besix. – Budujemy grodzie, czyli rząd dwóch ścianek. W najbliższym czasie planujemy rozpocząć główne roboty czerpalne, pozwalające nam na przyjęcie statków ze Skandynawii z kamieniem hydrotechnicznym, który zostanie wykorzystany do budowy narzutów na falochronie wschodnim i zachodnim – dodaje.

Lokalni podwykonawcy

Dostawy potrzebnego do budowy kamienia będą realizowane nie tylko ze Skandynawii, ale także z polskich kopalń na południu kraju. Wykonawcy to też w zdecydowanej większości polskie firmy wywodzące się z regionu. Na terenie budowy zainstalowano już węzeł betoniarski, by zmniejszyć – w miarę możliwości – transport po lokalnych drogach. W północnej i południowej części powstającego kanału trwają roboty ziemne. W miejscu nowej śluzy budowana jest szczelna przesłona w technologii jet-groutingu.

Zaczęła się też budowa dwóch mostów obrotowych umożliwiających zachowanie płynności ruchu samochodowego – niezależnie od przepływających kanałem jednostek. Prace widać szczególnie przy moście południowym, który ma zostać oddany do użytku w połowie przyszłego roku, jeszcze przed rozpoczęciem sezonu turystycznego. Powstaje także budynek bosmanatu – trwają prace murarskie na kondygnacji parteru oraz roboty żelbetowe na stropach. Są już wykopy, nasypy, humusowanie skarp, stabilizacja.

Na Zalewie Wiślanym będzie też zlokalizowana sztuczna wyspa – widać już zarys jej budowy w centralnej części zalewu na wysokości Przebrna, w odległości około 2,5 km od brzegu Mierzei Wiślanej. Ma ona być jednym z elementów inwestycji kanału żeglugowego przez mierzeję i docelowo siedliskiem dla ptaków znajdującym się pod opieką profesjonalnych ekologów.

Polityczna przepychanka

Przekop Mierzei nie tylko nie podoba się niektórym organizacjom „ekologicznym", ale i części opozycji. Okoniem stanęła europosłanka KO Róża Thun. Zorganizowała nawet w tej sprawie spotkanie z unijnym komisarzem ds. środowiska Virginijusem Sinkevičiusem. Usiłowała go przekonać, że inwestycja jest szkodliwa dla natury, wygeneruje tylko koszty, a i tak nie zwiększy bezpieczeństwa Polski. Europosłanka powinna jednak wiedzieć, że tego rodzaju inwestycje są wewnętrzna sprawą każdego z państw członkowskich, więc organów UE nie powinno się do nich mieszać.

Warto też przypomnieć, że w głosowaniu 24 lutego 2017 roku nad specustawą umożliwiającą budowę kanału przez Mierzeję Wiślaną 401 posłów było za, a przeciw jedynie 9. 18 wstrzymało się od głosu. Był więc właściwy czas i miejsce na polityczną kontestację inwestycji.

eprasa.pl 2fa82032cf

Jacek **Gniadek SVD**

Filantropia bez duszy

Dzieła solidarności chrześcijan to nie tylko filantropia – mówił papież Franciszek pod koniec sierpnia. Zadaniem Kościoła jest nie tylko dostarczenie usług potrzebującym, ale dostrzeżenie Jezusa w obliczu ubogich. Ten cel można osiągnąć, kiedy korzysta się z prywatnych darowizn na cele charytatywne. Państwowe fundusze uzależniają i upodabniają Kościół do zwyczajnej organizacji pozarządowej.

W USA ponad 40 proc. budżetu kościelnych organizacji charytatywnych pochodzi z rządowych pieniędzy. Kościół utracił tam swoją niezależność i aby otrzymać kolejne fundusze, popiera rządowe programy socjalne. Tym samym przyczynia się do rozwoju państwa opiekuńczego, przed którym ostrzegał Jan Paweł II.

Rząd płaci i wymaga. W Stanach Zjednoczonych Małe Siostry Ubogich były zmuszone do płacenia swoim pracownikom ubezpieczenia zdrowotnego uwzględniającego finansowanie aborcji, sterylizacji i antykoncepcji. Dopiero w tym roku, po dziewięciu latach walki prawnej, siostry zostały zwolnione z płacenia tego ubezpieczenia. Nie wiadomo, jak długo to potrwa, ponieważ demokratyczny kandydat na prezydenta Joe Biden ogłosił, że jeśli wygra wybory, natychmiast przywróci prawa z czasów prezydenta Baracka Obamy, który zreformował tamtejszy system zdrowotny, wprowadzając tzw. Obamacare.

Katolickie organizacje muszą respektować zasady tego, kto płaci. Do katolickiego hospicjum prowadzonego przez Caritas i finansowanego z funduszu rządowego nie można przyjąć cierpiącego nielegalnego imigranta. Nie można po prostu dostawić materaca i podać mu leku. Prawdziwej pomocy potrzebują najczęściej imigranci o nieuregulowanym statusie. Św. Jan Paweł II zwykł nazywać rzecz po imieniu i często podkreślał, że człowiek nie może być nielegalny i Kościół musi być miejscem, gdzie każdy potrzebujący pomocy powinien zostać przyjęty.

Dzisiaj zakony żeńskie przeżywają kryzys powołań. W USA liczba sióstr zakonnych spadła o 75 proc. od czasów Soboru Watykańskiego II. W najbliższej dekadzie zniknie około 300 żeńskich instytutów życia konsekrowanego. Wszystko zaczęło się od tego, że siostry zaczęły studiować pracę socjalną na państwowych uczelniach. Kończyły studia i trafiały do państwowych ośrodków pomocy społecznej. Nie zdawały sobie nawet sprawy, że tym samym popierają ideę państwa opiekuńczego. To samo dzieje się w Polsce. Kościół nie zauważył, że pod jego szyldem siostry zakonne stają się państwowymi urzędnikami.

Życie na budżecie państwa zabija ducha przedsiębiorczości. W przypadku Kościoła zniechęca także do organizowania składek od prywatnych darczyńców. Kościół uzależnił się od państwa i zapomniał o prywatnych przedsiębiorcach. Coraz więcej pieniędzy na cele charytatywne pochodzi z podatków. Gdyby nie było państwa opiekuńczego, Kościół zmuszony byłby do szukania alternatywnych źródeł finasowania swojej działalności. Musiałby wtedy popierać prywatną przedsiębiorczość, czego dziś niestety nie robi. Zresztą nie chodzi tylko o pieniądze. Ważne jest źródło ich pochodzenia. Państwowej filantropii brakuje duszy. Jest to nie tylko problem Kościoła. Wszyscy na tym tracimy.

eprasa.pl 2fa82032cf

Zamach na spółki komandytowe

Rząd chciałby, aby spółki komandytowe stały się podatnikami CIT. I to już od 2021 roku. A to oznacza skokowy wzrost opodatkowania tej formy działalności. W praktyce podatek płaciłaby bowiem i spółka, i współwłaściciele. Dziś podatek płacą tylko ci ostatni.

Marek **Kutarba**

Na początku września rząd upublicznił założenia do poważnych zmian w podatkach dochodowych. Mają one dotyczyć podatku dochodowego od osób fizycznych (PIT), podatku dochodowego od osób prawnych (CIT) i ryczałtu ewidencjonowanego. Z zapowiedzi zawartych w założeniach wynika, że część podatników czeka prawdziwa rewolucja. Rząd chciałby bowiem, aby już od 2021 roku wszystkie spółki komandytowe stały się podatnikami CIT. To oznacza radykalne zmiany w opodatkowaniu blisko 40 tys. spółek. Oznacza to też, niestety, znacznie wyższe podatki dla ich właścicieli.

Gotowego projektu jeszcze nie ma, ale rząd zapowiedział, że... się pośpieszy. Pośpiech jest w tym przypadku jak najbardziej wskazany, bo aby zmienić podatnikom zasady opodatkowania na mniej korzystne, konieczne jest, w przypadku podatków dochodowych, opublikowanie takich zmian najpóźniej do końca listopada. Wszystko wskazuje zatem na to, że czeka nas kolejny ekspres legislacyjny, a to nie wróży dobrze jakości uchwalonych przepisów.

eprasa.pl 2fa82032cf

Podatek razy dwa

Zmiana zasad opodatkowania spółek komandytowych uzasadniana jest tym, że dziś ta forma prowadzenia biznesu wykorzystywana jest do optymalizacji opodatkowania. I istotnie tak jest. W ostatnich latach większość spółek komandytowych powstała dlatego, że ta forma prowadzenia firmy jest podatkowo bardziej korzystna niż np. spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Dziś spółki komandytowe nie mają podmiotowości podatkowej. Spółka nie jest zatem – odmiennie od spółki zo.o. – podatnikiem. Zamiast spółki podatek płacą wspólnicy (PIT). Każdy od swojego udziału w dochodzie spółki. Gdyby jednak, jak zapowiada rząd, podatnikiem stałaby się spółka, podatek byłby płacony dwukrotnie, tak jak już dziś ma to miejsce m.in. w przypadku spółek z o.o.

Po zmianie podatek od dochodu uzyskanego w roku podatkowym najpierw zapłaciłaby spółka komandytowa (CIT). Później, po wypłacie z opodatkowanego już dochodu zysku dla wspólników (ich udziału w dochodzie spółki), podatek dochodowy od tych wypłat musieliby zapłacić także wspólnicy (PIT). Co to oznacza dla podatników, najlepiej prześledzić na poniższym, prostym przykładzie.

Wyobraźmy sobie spółkę komandytową, w której prawo do udziału w zyskach mają trzy osoby. Spółka uzyskała dochód w wysokości 300 tys. zł. Każdy ze wspólników ma zatem prawo do wynoszącego 100 tys. udziału w zysku spółki. Dziś spółka nie płaci podatku. Każda z tych osób zapłaci za to PIT. Jeśli wybrały one opodatkowanie podatkiem liniowym (19 proc.), każdy z nich musi oddać fiskusowi 19 tys. zł podatku. W sumie fiskusowi musieliby zatem oddać 57 tys. zł.

Gdy spółka stanie się podatnikiem CIT, wszystko się zmieni. Po pierwsze, już po ustaleniu dochodu na poziomie 300 tys. zł spółka musiałaby zapłacić CIT. Zakładając, że nie spełnia ona kryteriów małego przedsiębiorcy, podatek wyniósłby 19 proc. (mali podatnicy stosują niższą, wynoszącą 9 proc. stawkę), czyli 57 tys. zł. Teraz każdy ze współwłaścicieli miałby nieco niższy udział w dochodzie spółki wynoszący nie 100 tys. zł, a tylko 81 tys. zł. Zysk został już bowiem pomniejszony o zapłacony przez spółkę CIT. To oznacza, że każdy ze współwłaścicieli zapłaci po 15 390 zł. W takim przypadku suma zapłaconych od 300 tys. zł podatków (po stronie spółki i współwłaścicieli) wyniesie 103 170 zł, czyli o 46 170 zł więcej, niż ma to miejsce obecnie.

I w tym należy upatrywać źródeł pomysłu Ministerstwa Finansów, które w obliczu rosnącego deficytu (w tym roku ma on wynieść ponad 109 mld zł, a w przyszłym ponad 82 mld zł) rozpaczliwie szuka pomysłu na ściągnięcie dodatkowych dochodów w taki sposób, aby nie uciekać się do prostego podnoszenia podatków, które większości podatników kojarzy się wyłącznie z podnoszeniem stawek podatkowych.

Estoński CIT poza zasięgiem

Oczywiście z uwagi na to, że nie znamy jeszcze projektu nowelizacji, a jedynie założenia do zmian, nie wiadomo dziś jeszcze, czy faktycznie tak będzie wyglądało opodatkowanie spółek komandytowych. W opisany sposób spółki podlegające CIT opodatkowane są obecnie. Ale rząd może przyjąć także rozwiązania pozwalające na uwzględnienie w jakiś sposób faktu, że spółka zapłaciła już CIT przy obliczaniu podatku wspólników. Biorąc jednak pod uwagę, że opodatkowanie spółek komandytowych CIT-em ma zapobiegać optymalizowaniu w ten sposób rozliczeń podatkowych, bardziej prawdopodobny wydaje się wariant, że będą one płaciły podatek na takich samych zasadach jak spółki z o.o. To zaś będzie oznaczało znaczny wzrost obciążeń podatkowych dla tej formy prowadzenia biznesu.

Co prawda fiskus przewiduje też korzystne zmiany dla podatników, chociaż nie aż tak bardzo korzystne, jak stara się o tym przekonywać. Dotyczy to w szczególności tzw. estońskiego CIT-u, który teoretycznie mógłby być dostępny także dla opodatkowanych CIT-em spółek komandytowych. Ma on jednak kilka istotnych wad w stosunku do obecnego schematu opodatkowania tych spółek. Przede wszystkim wymaga zatrzymania zysków w spółce i przeznaczenia ich na inwestycje.

Warto także pamiętać, że w obecnej wersji możliwość płacenia CIT-u dopiero w momencie wypłaty zysków miałyby mieć od 1 stycznia 2021 roku spółki kapitałowe, których wspólnikami są wyłącznie osoby fizyczne, a których obroty nie przekraczają 50 mln zł. A spółka komandytowa spółką kapitałową nie jest. Należy do grupy tzw. spółek osobowych. I to, że stanie się podatnikiem CIT, tego akurat nie zmieni.

eprasa.pl 2fa82032cf

Wojna o zwierzęta
czy o pieniądze?

Treść projektu nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt duża część przedsiębiorców i rolników przyjęła z wściekłością i niezrozumieniem. Planowane zmiany mogą być dla nich bowiem fatalne w skutkach. Wszystko za sprawą trzech zapisów - likwidacji hodowli zwierząt futerkowych, ograniczenia produkcji mięsa na potrzeby wspólnot religijnych i rozszerzenia uprawnień organizacji ekologicznych.

Jacek **Podgórski**

Już w poprzedniej kadencji Sejmu pojawiło się kilka bliźniaczych projektów, które jednym cięciem likwidowały ubój rytualny oraz hodowle zwierząt futerkowych. Wtedy ustawy składały Platforma Obywatelska, Nowoczesna i grupa posłów Prawa i Sprawiedliwości. Różniły się one nieznacznie, ustalając różny czas vacatio legis. Rekordzistka, czyli ustawa, w której przedstawicielem wnioskodawców był ówczesny poseł Krzysztof Czabański, dawała rolnikom kilka miesięcy na „zwinięcie" swojej działalności.

Faktycznie jednak większych różnic trudno było się doszukiwać, a to dlatego, że dokument powstawał podczas prac Parlamentarnego Zespołu Przyjaciół Zwierząt, w którego skład wchodzili obrońcy praw (sic!) zwierząt oraz część lewicowo usposobionych polityków. Efektem debat okazały się projekty, które negatywnie oceniło zarówno Biuro Legislacyjne Sejmu RP, jak i Biuro Analiz Sejmowych. 11 września złożono jednak projekt, który niemal nie odbiega od wcześniejszych i ma być procedowany już w najbliższym czasie. Co istotne, *vacatio legis* ustawy określono na zaledwie jeden rok.

Hodowla zwierząt futerkowych zagrożona

Kolejny raz osią projektu okazała się głośna sprawa hodowli zwierząt futerkowych, którą wnioskodawcy chcieliby zdelegalizować. Trudno doszukiwać się logicznych argumentów ekonomicznych delegalizacji branży działającej

eprasa.pl 2fa82032cf

w oparciu o i tak restrykcyjne przepisy prawa, dodatkowo rozszerzone przez samych hodowców, którzy dobrowolnie poddali się systemowi międzynarodowej certyfikacji gospodarstw. Dodatkowym problemem jest tu pandemia koronawirusa, która sparaliżowała światowe rolnictwo i odcisnęła swoje wyraźne piętno na kondycji finansowej gospodarstw – także w Polsce. Dziś dramat rolników zyskać ma barwy ustawy autorstwa obozu rządzącego.

Hodowla zwierząt futerkowych w Polsce to – jak utrzymują organizacje branżowe – kilka tysięcy miejsc pracy bezpośrednio na fermach i kilkanaście tysięcy osób ściśle kooperujących z fermami. Polska zajmuje drugie miejsce w Europie i trzecie na świecie pod względem skali produkcji i pierwsze, kiedy za kryterium przyjmiemy jej jakość. To właśnie ten komponent jest tu kluczowy – im wyższy standard hodowli, tym wyższy zysk gospodarstwa.

Jako dział specjalny produkcji rolnej fermy futrzarskie podlegają ścisłej kontroli Inspekcji Weterynaryjnej. O ile gospodarstwa zajmujące się hodowlą zwierząt na mięso, mleko czy jaja kontrolowane są w odsetku nie przekraczającym 3 proc. w skali roku, o tyle hodowle zwierząt futerkowych muszą mierzyć się z kontrolami obejmującymi 97 proc. gospodarstw rocznie. Branża, co ważne, w niemal 100 proc. oparta jest na polskim kapitale, a od roku 2010 nie powstała w Polsce żadna ferma futrzarska, w której przeważający nie byłby polski kapitał. Same gospodarstwa powstają zaś zazwyczaj na terenach byłych PGR-ów, czyli na obszarach o wysokim bezrobociu strukturalnym.

Hodowla zwierząt futerkowych jest najbardziej ekologiczną formą zagospodarowania ubocznych produktów pochodzenia zwierzęcego.

Eksport artykułów futrzarskich z Polski to niemal 100 proc. produkcji, a według ostatnich danych z roku 2018 przekroczył on 1,5 mld zł. Nie jest to jednak jedyna korzyść, jaką Polska odnosi dzięki fermom zwierząt futerkowych.

Aspekt utylizacyjny

Jedną z najważniejszych zalet hodowli jest funkcja, jaką pełnią one w procesie utylizacji produktów pochodzenia zwierzęcego (UPPZ). Jest to niezwykle korzystnie wpływające na środowisko wykorzystanie zwierząt mięsożernych, jakimi są np. norki amerykańskie. Hodowla zwierząt futerkowych jest najbardziej ekologiczną formą zagospodarowania ubocznych produktów pochodzenia zwierzęcego. Badania przeprowadzone na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie w Katedrze Hodowli Zwierząt Futerkowych wykazały, że sprawność utylizacyjna ferm wynosi od 77 do 95 proc. Znaczy to, że zwierzęta utylizują kilkakrotnie więcej odpadów mięsnych niż same ważą.

Warto przyjrzeć się w tym kontekście kwestii umiejscowienia hodowli zwierząt na futra w łańcuchu produkcji rolnej. Istotnym czynnikiem jest wspomniana wartość utylizacyjna norek amerykańskich (ponad 98 proc. rodzimej produkcji okrywy włosowej zapewnia ten właśnie gatunek), które żywią się ubocznymi produktami pochodzenia zwierzęcego kat. II i III, czyli – mówiąc obrazowo – tym, co nie nadaje się do spożycia przez człowieka, a co stanowi pozostałość po produkcji drobiu czy przetwórstwie rybnym.

Jak informowała dwa lata temu ówczesna wiceminister rolnictwa Ewa Lech, zwierzęta futerkowe utylizują w formie paszy ponad 700 tys. ton ubocznych produktów pochodzenia zwierzęcego, co przekłada się na zysk dla producentów drobiu i ryb w wysokości około 1 mld zł rocznie.

Dziś strumień pieniędzy płynie od hodowców zwierząt na futra do drobiarzy i przedstawicieli branży rybnej, którzy sprzedają fermom futrzarskim swoje pozostałości poprodukcyjne. Gdyby hodowle norek amerykańskich zniknęły z rolniczej mapy Polski, odpady musiałyby zostać zutylizowane w sposób konwencjonalny, czyli po prostu spalone. Spalone zresztą ze szkodą dla środowiska naturalnego.

Trafi się monopolista?

Obecnie około 95 proc. rynku utylizacyjnego należy do firm o obcym kapitale: Remondis International GMBH (Niemcy, kapitał zakładowy w Pol-

eprasa.pl 2fa82032cf

sce: 66 319 000 zł), Sonac Brunen GMBH (Niemcy, kapitał zakładowy: 8 200 000 zł), Sanrec GMBH (Niemcy, kapitał zakładowy w Polsce: 12 200 000 zł), Darling Igredients Holding B.V. (Holandia, kapitał zakładowy w Polsce: 1 580 000 zł), APC Europe S.L. (Hiszpania, kapitał zakładowy w Polsce: 20 000 000 zł), Saria International GMBH (Niemcy, kapitał zakładowy w Polsce: 34 282 000 zł).

Większość z wymienionych firm funkcjonuje jako spółki-córki Rethmann (kapitał niemiecki). Szczególną rolę odgrywa firma Saria International GMBH. W państwach, w których likwidowane są hodowle zwierząt na futra, w niedługim czasie obserwowana jest ekspansja firm utylizacyjnych, co doprowadza do częściowej monopolizacji tych rynków. Tak stało się w Holandii, gdzie w 2012 roku Saria powiększyła swoje wpływy, zdobywając większościowy pakiet akcji firmy Teeuwissen, znacząco wzmacniając swoją pozycję na rynku utylizacyjnym w tym kraju. W 2012 roku rząd Holandii wprowadził zakaz hodowli zwierząt na futra. Zaraz po wejściu w życie nowego prawa Saria połączyła się z Van Hessen, istotnie zwiększając swoje udziały w rynku i stając się największym zakładem utylizacyjnym w kraju. Saria działa także w Austrii, w Niemczech (zakaz hodowli zwierząt futerkowych wprowadzono tam w 2017 roku) oraz w Czechach (zakaz hodowli zwierząt futerkowych wprowadzono tam w 2017 roku). Wejście Sarii na te rynki zbiegło się w czasie z wprowadzeniem w tych krajach zakazu hodowli zwierząt futerkowych, czyli największego konkurenta spalarni odpadów pozwierzęcych. Od kilku lat Saria obecna jest także na polskim rynku.

Eksport artykułów futrzarskich z Polski przekroczył **1,5 mld zł**

Mało tego – wyraźnie widoczne są działania firm utylizacyjnych, które próbują (poprzez NGO i think-thanki) wpływać na proces prawodawstwa w Polsce w sposób, który jest korzystny dla prowadzonych przez nie interesów. Takie działania noszą znamiona wojny hybrydowej i gospodarczej. W filmie opublikowanym w 2014 roku liderka Stowarzyszenia Otwarte Klatki, Dobrosława Gogłoza przyznała, że jej organizacja obrała sobie za cel zniszczenie polskiego przemysłu futrzarskiego, a cały proces ma się dokonać we współpracy ze spółką Saria, której nazwa wprost pada w nagraniu pt. „Przychodzi utylizator do ekologa".

W październiku 2017 roku Saria złożyła do UOKiK wniosek o przejęcie wyłącznej kontroli nad spółkami zajmującymi się przetwarzaniem ubocznych produktów pochodzenia zwierzęcego: Struga S.A., Kemos Sp. z o.o., Eko-Stok Sp. z.o.o. UOKiK pozytywnie rozpatrzył wspomniany wniosek. Eliminacja polskiej branży futerkowej doprowadzi do monopolizacji rynku utylizacyjnego w Polsce.

Monopolizacja może skutkować dyktowaniem cen żywności na całym rynku oraz windowaniem ich poprzez narzucanie wysokich stawek za utylizację. Saria może posiadać dziś około 50-proc. udział na polskim rynku utylizacyjnym, a udział obcego kapitału może wynieść tu nawet 95 proc. Doprowadzić to może do zmniejszenia konkurencyjności, a nawet do bankructwa szeregu rodzimych hodowli drobiu, bydła mięsnego oraz mlecznego, trzody chlewnej czy przemysłu przetwórstwa rybnego.

Likwidacja hodowli zwierząt futerkowych doprowadzić może do monopolizacji polskiego rynku odpadów poubojowych i do groźnego uzależnienia cen żywności w Polsce od decyzji jednego podmiotu gospodarczego. Sytuacja ta jest więc wyraźnie niebezpieczna z punktu widzenia interesu gospodarczego państwa.

Innym zagrożeniem, które niesie nowelizacja ustawy o ochronie zwierząt, jest likwidacja komercyjnej produkcji mięsa w systemach halal i koszer, a zatem tego, które przeznaczone jest na potrzeby wspólnot religijnych. To zresztą kolejny atak wymierzony w tę branżę. Atak, który w 2014 roku decyzją Trybu-

eprasa.pl 2fa82032cf

nału Konstytucyjnego uznany został za niezgodny z ustawą zasadniczą.

Krajowa Rada Drobiarska – Izba Gospodarcza szacuje, że w ramach uboju rytualnego pozyskuje się 1/5 mięsa drobiowego w Polsce. Mięso halal i koszer stanowi także aż 40 proc. eksportu mięsa drobiowego z Polski (Polska jest największym eksporterem drobiu w UE). Straty w eksporcie mogą wynieść tu około 6 mld zł w skali roku. Także eksport wołowiny ucierpi na zakazie produkcji mięsa pozyskiwanego na potrzeby wspólnot religijnych i przeznaczonego na eksport. Ponowne wprowadzenie do polskiego prawa zakazu uderzy przede wszystkim w małe gospodarstwa rolne hodujące bydło, gdyż to od nich pochodzi eksportowany żywiec. W przypadku sektora bydła mięsnego eksport halal i koszer wyceniany jest dziś na około 1,5 mld zł. Sam tylko ubój rytualny – w przypadku likwidacji możliwości eksportu w obu branżach – spowodowałby wyrwę w handlu międzynarodowym na poziomie 7,5 mld zł – to 1/3 wartości rocznej programu Rodzina 500+.

Wszechwładza ekologów

Ustawa rozszerzyć ma także uprawnienia organizacji ekologicznych, które – gdy tylko zapis o ochronie zwierząt widnieć będzie w ich statucie – już w miesiąc po podpisaniu ustawy przez prezydenta będą mogły wejść na teren dowolnego gospodarstwa, podwórka, mieszkania czy domu i – wedle własnego uznania – odebrać w asyście policji zwierzęta właścicielowi. Jedynym warunkiem jest uznanie przez aktywistów – nie mających przecież żadnego merytorycznego przeszkolenia – że zwierzęta utrzymywane są w niewłaściwych warunkach.

Krajowa Rada Drobiarska – Izba Gospodarcza szacuje, że w ramach uboju rytualnego pozyskuje się 1/5 mięsa drobiowego w Polsce.

W tej sprawie głos często zabierały związki kynologiczne, które niejednokrotnie okradane były – wówczas jeszcze bezprawnie – przez aktywistów z rasowych zwierząt o znacznej wartości. Skala absurdów była tu ogromna. Jak twierdzą eksperci, niejednokrotnie dochodziło bowiem do zaborów zwierząt w sytuacji, gdy ich naturalną budowę ciała uznawano za przejaw znęcania się nad zwierzętami – jak choćby w przypadku chartów.

Zarówno Biuro Legislacyjne jak i Biuro Analiz Sejmowych przed dwoma laty uznało zapisy delegalizujące hodowlę zwierząt futerkowych i możliwość prowadzenia uboju rytualnego za zapisy niezgodne z ustawą zasadniczą. Zdaniem prawników miały one naruszać zasadę swobody prowadzenia działalności gospodarczej oraz uderzać w wolność związków wyznaniowych.

Co ważne – niestabilność prawa może stawiać pod znakiem zapytania atrakcyjność naszego kraju jako kierunku lokowania nowych inwestycji. Jaką pewność będą mieć bowiem firmy, że lata ich starań nie zostaną zniweczone przez jedną ustawę? Na niekorzyść Polski działa także fakt nadmiernej aktywności pseudoekologów, którzy sprawili, że w naszym kraju – od czasu wejścia do Unii Europejskiej – zablokowano powstanie największej liczby inwestycji rolnych w całej Wspólnocie.

Wszystkie liczące się dziś związki, zrzeszenia, stowarzyszenia, spółdzielnie, federacje czy izby rolnicze mówią jednym głosem i frontalnie krytykują planowane zmiany w prawie, które zachwiać mogą stabilnością rodzimego sektora rolnego w sposób dokładnie zaplanowany przez zielonych lewicowych aktywistów.

eprasa.pl 2fa82032cf

Dlaczego unijne dotacje szkodzą

Tablice unijne stoją niemal na każdym rogu ulicy. Nieraz po kilka obok siebie. Przekaz jest jasny: „Polacy - dobroczynna Unia Europejska bezinteresownie wydaje na was miliardy". Niestety, to tylko jedna strona medalu. Ta, którą widać. Jest jeszcze druga - nieco ukryta, o której mówi się znacznie rzadziej. Analiza szeregu aspektów związanych z wykorzystywaniem unijnych funduszy pokazuje, że niekoniecznie są one tak korzystne, jak się powszechnie uważa.

Tomasz **Cukiernik**

eprasa.pl 2fa82032cf

Przede wszystkim to, co powstaje z unijnych funduszy, tylko CZĘŚCIOWO jest finansowane przez Unię Europejską. Z ministerialnego serwisu mapadotacji.gov.pl wynika, że nie licząc dotacji i dopłat do rolnictwa, do 3 sierpnia br. przy współfinansowaniu funduszy unijnych zrealizowano 260 871 projektów o łącznej wartości 1088,6 mld zł, z czego dofinansowanie z UE wyniosło 642,5 mld zł (59 proc.). Oznacza to, że 41 proc. wartości projektów unijnych było finansowane z polskich źródeł. Współfinansowanie projektów UE (i EFTA) z budżetu państwa w latach 2004–2020 wyniosło 122,9 mld zł. Ale pamiętajmy jeszcze o polskiej składce do UE, która w latach 2004–2020 sięgnęła 239,4 mld zł, co oznacza, że ok. 1/3 tzw. środków unijnych to pieniądze polskie.

Pamiętajmy o polskiej składce do UE, która w latach 2004–2020 sięgnęła 239,4 mld zł, co oznacza, że ok. 1/3 tzw. środków unijnych to pieniądze polskie.

Żebracza mentalność

Ale istnienie unijnych dotacji generuje jeszcze cały szereg innych kosztów. Fundusze unijne to pieniądze zabrane pod przymusem podatkowym, które poprzez wielostopniową sieć biurokratyczną przekazywane są beneficjentom. Urzędnicy też muszą z czegoś żyć, a zbieranie i rozdawanie pieniędzy kosztuje, więc suma rozdanych dotacji zawsze będzie niższa niż kwota zebrana w podatkach.

Z drugiej strony powstał cały przemysł zajmujący się pisaniem wniosków o unijne fundusze. Samorządy, firmy i inne podmioty albo same zatrudniają ekspertów, by starać się o dotacje, albo zlecają to firmom zewnętrznym.

– Wydatek na profesjonalnie zrobiony wniosek o dotację inwestycyjną to od kilku do kilkunastu procent wartości tej dotacji. Taki wniosek to mnóstwo papierkowej roboty. Czasem to są miesiące pracy – mówi ekonomistka Beata Pachnik-Łodzińska, właścicielka biura podatkowego Tax Expert Consulting w Zielonej Górze.

Sam proces ubiegania się o dotacje może być drogą przez mękę, bo w znacznie większym stopniu niż wartość merytoryczna projektu liczy się właściwe przygotowanie formalne wniosku. Przedsiębiorcy żalą się, że obowiązują skomplikowane wymogi i żeby zdobyć potrzebne dokumenty, trzeba ciągle kombinować, a potem jest weryfikacja i sprawdzanie faktur, w których zawsze coś jest źle. W rezultacie bardzo długo czeka się na pieniądze.

Pojawia się żebracza mentalność. Przedsiębiorcy zaczynają myśleć nie jak rozkręcić firmę, zdobyć nowego klienta, tylko jak uzyskać dotację i jak ją potem rozliczyć. Trudno oszacować stratę polegająca na tym, czego firmy NIE ZROBIŁY, bo zamiast biznesem, zajmowały się dotacyjną papirologią. Nie rozwinęły i siebie, i niedoszłego kontrahenta, u którego NIE KUPIŁY maszyny czy produktu.

– Koszt rozproszenia uwagi. Jeżeli ktoś nie wykonuje czynności produktywnych, to traci zdolność do wykonywania czynności produktywnych, a zaczyna wykonywać czynności nieproduktywne. Mało tego, uczy się tego. Nabywa takiej umiejętności polegającej na kłamstwie, oszustwie, zniekształcaniu faktów, nazywaniu rzeczy innymi słowami. To jest niepowetowana strata. Tego nie da się wyliczyć w pie-

eprasa.pl 2fa82032cf

niądzach – mówi Marek Bernaciak, przedsiębiorca z Koła.

Co więcej, jeśli firma nie poradzi sobie z warunkami, do których się zobowiązała w umowie dotacyjnej, może zostać bankrutem z długami i z koniecznością zwrotu dotacji. A koszty ponoszą także niedoszli beneficjenci, których wnioski odpadły w konkursie (także przez nepotyzm i korupcję). Oznacza to, że pieniądze, czas i wysiłki skierowane na pozyskanie dotacji zostały bezpowrotnie stracone. Są takie konkursy, w których łączny koszt przygotowania wniosków jest wyższy niż pula do rozdysponowania.

(Nie)potrzebne projekty

Kolejne straty wynikają z tego, że wiele „inwestycji", szczególnie samorządowych, współfinansowanych przez UE, niekoniecznie jest niezbędnych. Generują one potem koszty związane z utrzymywaniem obiektów, takich jak domy kultury, muzea, opery czy stadiony. Np. budowa Muzeum Śląskiego kosztowała 261,3 mln zł, w tym unijna dotacja wyniosła 178,2 mln zł, ale jego roczne utrzymanie to kilkadziesiąt milionów złotych. Na Mazowszu gminy nie miały pieniędzy, by sfinansować utrzymanie wybudowanych z dotacji świetlic, więc stały puste. Na dodatek z reguły w tego typu obiektach obowiązuje 5-letni okres, w czasie którego nie można pobierać opłat za oferowane tam usługi. W całej Polsce z pomocą unijnych dotacji powstawały też strefy gospodarcze, do których jednak latami nie udawało się ściągnąć żadnego inwestora albo nieliczni zajmowali ułamek dostępnych terenów.

Niejednokrotnie realizowane przez gminy projekty dotacyjne mijają się z potrzebami mieszkańców. W Czeladzi (woj. śląskie) brakuje miejsc parkingowych, ale dotacje były na ścieżki rowerowe, więc na nich teraz mieszkańcy... parkują swoje auta. W wielu miastach, aby dostać dotację na remont dróg, wprowadza się buspasy utrudniające ruch i tym samym powodujące większe zużycie paliwa. Z dotacji unijnych w podkarpackiej gminie Gorzyce przez pola wybudowano asfaltową drogę... donikąd. Za pieniądze unijne buduje się za duże biblioteki czy infokioski, z których nikt nie korzysta. Kilkanaście razy drożej niż cena rynkowa kosztują finansowane przez UE portale dla miłośników sportów wodnych czy kotów, znikające po 5-letnim okresie trwałości projektu.

Niejednokrotnie efekty dotacji unijnych są nietrwałe i przeciwne do założonych. Np. z kontroli NIK wynika, że ogromne wsparcie unijne dla bezrobotnych na rozpoczęcie działalności gospodarczej nie przełożyło się na zwiększenie liczby trwałych miejsc pracy w województwie lubelskim, a doszło do szeregu nadużyć. Wielu beneficjentów wykorzystało dotacje otwierając firmę, ale bez zamiaru zajmowania się biznesem przez dłuższy czas. Niektórzy korzystali z funduszy tylko po to, by wesprzeć finansowo działalność członków rodziny.

– Bierze się 24 tys. zł, kupuje jakieś rzeczy, np. komputery czy inny sprzęt. Po roku zamyka się działalność. Jeśli te pieniądze pobudziły kogoś do aktywności, co się rzadko zdarza, jest to w porywach co najwyżej 20 proc. – ocenia księgowa ze Śląska.

Mimo 60 instrumentów finansowego wsparcia publicznego, przeznaczonych

Ścieżki rowerowe powstają **zamiast parkingów**

eprasa.pl 2fa82032cf

na rozwój innowacji oraz badań i rozwoju w przedsiębiorstwach, i miliardów euro na ten cel doszło do pogorszenia sytuacji w tej dziedzinie. Otóż według GUS w latach 2008–2017 w przypadku przedsiębiorstw przemysłowych liczba przedsiębiorstw innowacyjnych zmniejszyła się z 21,4 do 18,5 proc. ogółu przedsiębiorstw. Z kolei w przypadku przedsiębiorstw usługowych liczba przedsiębiorstw innowacyjnych zmniejszyła się z 16,1 do 10,4 proc.

Podobne wnioski wypływają z raportu NIK z 2018 roku, w którym Izba stwierdza, że „udzielana pomoc publiczna nie wpływa w zauważalny sposób na podwyższenie innowacyjności polskiej gospodarki" i „w efekcie Polska wciąż – mimo pokaźnych nakładów finansowych i specjalnych programów wsparcia – jest na dalekich pozycjach w europejskich rankingach innowacyjności". Mimo czy z powodu?

Zatruty pieniądz

Wynika to z faktu, że jak dawno temu zauważył prof. Milton Friedman, wydawanie pieniędzy przez urzędników to najmniej racjonalny sposób ich wykorzystania, bo cudze pieniądze przeznaczane są na cudze potrzeby. Dlatego powinno się OGRANICZAĆ zadania i budżety władz publicznych. Fundusze unijne idą w dokładnie przeciwnym kierunku. Co więcej, samorządy, realizując coraz więcej europrojektów, bezmyślnie zadłużają się. Od czasu wejścia do UE długi polskich samorządów zwiększyły się aż o 400 proc., co przede wszystkim jest skutkiem konieczności wysupłania wkładu własnego, a potem utrzymywania różnych projektów. Pierwsza przez dotacje zbankrutowała zachodniopomorska gmina Ostrowice. Która będzie kolejna?

To urzędnik decyduje najpierw o programach i celach, na jakie zostaną przeznaczone fundusze unijne, a potem inny biurokrata – o konkretnym ich rozdysponowaniu. W ten sposób utrwala się fałszywy stereotyp, że urzędnik wie lepiej.

– Unijne dotacje to jest zatruty pieniądz. Kiedy wpłacamy te pieniądze w ramach składki, są one czyste. Możemy je wydać na cokolwiek, jak chcemy. I nie są obciążone żadnymi służebnościami czy wadami prawnymi. To, co dostajemy z powrotem w postaci dotacji, to jest tak naprawdę tylko bon towarowy, który możemy wydać zgodnie z rozporządzeniami i zaleceniami tego, kto nam go daje. Nawet wtedy, kiedy zupełnie nie potrzebujemy kupować tych rzeczy albo bardziej potrzebujemy innych, to musimy wydać w taki sposób, jak zostało to przewidziane – tłumaczy poseł Konfederacji Dobromir Sośnierz.

W efekcie unijne euro nie idzie na to, co jest potrzebne, tylko na to, co urzędnikom wydaje się, że jest potrzebne. Na przykład UE nie chce współfinansować energetyki węglowej ani gazowej. Chętnie natomiast płaci na energetykę wiatrową czy słoneczną. Odrzucane są wnioski składane przez polskie gminy, które przyjęły rezolucje dotyczące „stref wolnych od LGBTI" lub „praw rodzinnych". Jednym słowem, żeby dostać dotację, trzeba się słuchać i być grzecznym. To oczywiście nic nowego, ale należy sobie z tego zdawać sprawę.

Ponadto z punktu widzenia Brukseli głównym celem dotacji nie jest pomoc firmom czy gminom, tylko realizacja unijnych polityk. Biorąc dotację, samorządy przestają być niezależne także w innym wymiarze. – Jest taki zespół zależności związany z takim dziadowaniem, związany z pieniędzmi, które pochodzą ze źródeł pozabudżetowych. To spowodowało, że wójtowie, burmistrzowie, radni stoją jak głupi przed carem. Bo dużo zależy od wojewody, dużo zależy od sejmiku: ile dostaną subwencji, środków pomocowych – zauważa Stefan Oleszczuk, były burmistrz Kamienia Pomorskiego, były starosta kamieński.

Unijne dotacje to także zaproszenie do korupcji. Rządowy Program Przeciwdziałania Korupcji na lata 2014–2019 wśród obszarów życia społecznego w Polsce najbardziej zagrożonych korupcją wymienia właśnie ob-

eprasa.pl 2fa82032cf

szar wdrażania programów unijnych. CBA co chwilę podaje informacje o kolejnej aferze związanej z wyłudzaniem unijnych srebrników. W tym celu najczęściej fałszowane są dokumenty. W takich sytuacjach należy winić nie tyle „przedsiębiorczych" beneficjentów, że biorą pieniądze, by je wydać z punktu widzenia programu dotacyjnego w sposób nieracjonalny i marnotrawny, ile bardziej system, który je w ogóle rozdaje.

To, czego nie widać

Niezwykle niepożądane jest też to, że dotacje unijne to rodzaj interwencjonizmu państwowego, który powoduje deformację relacji na rynku. To z kolei oznacza nieoptymalne wykorzystanie zasobów, których przecież mamy ograniczoną ilość. W branży szkoleń czy usług internetowych doszło do zdemolowania rynku. Firma szkoleniowa bez dotacji nie jest w stanie konkurować z firmą, która załatwiła sobie dotacje. Z kolei „darmowy" Internet z UE uderza w prywatne firmy, którym kurczy się rynek.

Co więcej, z powodu czekania na kwestie formalne i wypłatę dotacji firmy zmuszone są do przesuwania inwestycji w czasie. Jest to szczególnie zabójcze w branży IT, w której wszystko bardzo szybko się zmienia. Innym niebezpieczeństwem jest konieczność drobiazgowego trzymania się przyjętych wstępnie założeń, co może powodować, że po latach w trakcie realizacji projekt staje się bezużyteczny.

W analizie FOR pt. „Fundusze UE nie zastąpią potrzebnych reform w Polsce" czytamy, iż zbiorczy przegląd badań ekonometrycznych prowadzi do wniosku, że oddziaływanie polityki spójności na tempo wzrostu PKB nie różni się istotnie od zera. Tymczasem dochodzimy do najważniejszego punktu – do tego, co francuski ekonomista Frédéric Bastiat określił jako „to, czego nie widać". Na co wydano by pieniądze, które w formie podatków zostały zabrane z realnej gospodarki po to, by można było rozdawać dotacje? Jedno jest pewne: wiele prywatnych inwestycji w ogóle NIE POWSTAŁO.

> *W branży szkoleń czy usług internetowych doszło do zdemolowania rynku.*

– Dotacje to kierowanie pieniędzy od ludzi, którzy wiedzieli, jak je wypracować, do tych, którzy nie wiedzieli, jak je wypracować. Od tych, którzy lepiej nimi zarządzali, do tych, którzy zazwyczaj zarządzają nimi gorzej – mówi poseł Sośnierz.

W rezultacie kosztem efektywnego sektora prywatnego dochodzi do rozszerzenia niewydajnego sektora publicznego. Według danych GUS inwestycje sektora prywatnego zmniejszyły się z 13,4 proc. w 2004 roku do 9,7 proc. PKB w 2018 roku. W tych latach inwestycje sektora publicznego zwiększyły się z 4,9 proc. do 6,5 proc. PKB. Nie jest to korzystny trend. Co więcej, mimo tego rzęsistego deszczu euro, w ciągu ostatnich 25 lat w relacji do PKB wydatki inwestycyjne w Polsce bynajmniej nie były najwyższe w czasie członkostwa w UE, a w latach 1998–2000, kiedy to wyniosły ok. 24 proc. Z kolei najsłabszy był rok 2017 z 17,5 proc.

eprasa.pl 2fa82032cf

Piotr **Palutkiewicz**

Na jedną dobrą, pięć złych

Zaczęła się legislacyjna jesień. Drżyjcie przedsiębiorcy! Dlaczego ktoś ma się bać? – zapytasz Drogi Czytelniku – wszak rząd pracuje nad całym pakietem nowych rozwiązań dla polskich firm i gospodarki. Wśród nich znajduje się szereg korzystnych, jak ulga podatkowa dla powracających do kraju, ułatwienia dla inwestorów, prawo do zdobycia statusu inwestora strategicznego, szereg ulg na badania, rozwój czy wejście na rynek kapitałowy. Na horyzoncie są też korzyści związane z tzw. estońskim CIT-em czy rozszerzenie możliwości stosowania ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych. Brzmi dobrze? Owszem.

Ale najlepsze rozwiązania nie przykryją niestety tych, które wpłyną negatywnie na sytuację polskich firm, konkretnych branż czy całej gospodarki. A koszyk złych rozwiązań wprowadzonych lub zapowiadanych jest naprawdę bogaty: ovatowienie usług finansowych, ryzyko podwyżek akcyzy, podatek od usług cyfrowych, tzw. podatek cukrowy oraz podatek od deszczu, utrzymywanie ograniczenia handlu w niedziele, ograniczenie rynku pożyczek pozabankowych, wzrost akcyzy na używane samochody, wprowadzenie CIT-u dla spółek komandytowych, pełne oskładkowanie umów zleceń czy ostatecznie zakaz działania branży hodowli zwierząt futerkowych oraz uboju rytualnego. A wszystkie te rozwiązania są wprowadzane lub planowane do wprowadzenia jak najszybciej, bez zachowania właściwego vacatio legis, często procedowane jako projekty poselskie, bez zachowania właściwego trybu konsultacji i oceny regulacji, implementowane wbrew protestom dotykanych podmiotów. To jeszcze nie koniec. Powyższy katalog (pisany z pamięci!) nie zawiera dodatkowych regulacji wprowadzanych, jak i zapowiadanych, które wynikają z prawa unijnego.

Cóż więc z tego, że rząd deklaruje, iż chce ułatwiać życie firmom i obywatelom, pragnie upraszczać prawo, nie zwiększać podatków czy tworzyć przepisy sprzyjające rozwojowi przedsiębiorczości i inwestycjom? Na każdą dobrą ustawę pisanych jest pięć złych. A te złe przysłaniają nawet najlepsze rozwiązania prorynkowe. Spójrzmy na dane obiektywne: rankingi swobody prowadzenia działalności gospodarczej są tutaj bezwzględne. Polska notuje od kilku lat konsekwentne spadki. Według Doing Business nasz kraj jest na 40. pozycji, w Paying Taxes – 77. Polska jest krajem o największej zmienności prawa w Unii Europejskiej – to z raportu Grant Thorthon.

Dla inwestorów wyznacznikiem nie są punktowe rozwiązania, które mają ich zachęcić do rozwoju biznesu nad Wisłą. Oni patrzą na całokształt. Nie mają czasu analizować szczegółowych, zawiłych przepisów dotyczących uproszczeń czy ulg. Patrzą na rankingi, czytają nagłówki w prasie, analizują bezpieczeństwo inwestycji. Polska nie robi klimatu pod przedsiębiorców... Firmy wolałyby już nie mieć tej jednej dobrej ustawy, byleby nie wprowadzano tych pięciu złych. Często bardzo złych.

Ja tak tylko zauważam. Żeby po wyborach znów nie było, że przedsiębiorcy nie docenili polityki rządu i znów na Dobrą Zmianę nie zagłosowali. Tym bardziej że o żadnym z tych niekorzystnych rozwiązań w kampanii wyborczej nie mówiono.

eprasa.pl 2fa82032cf

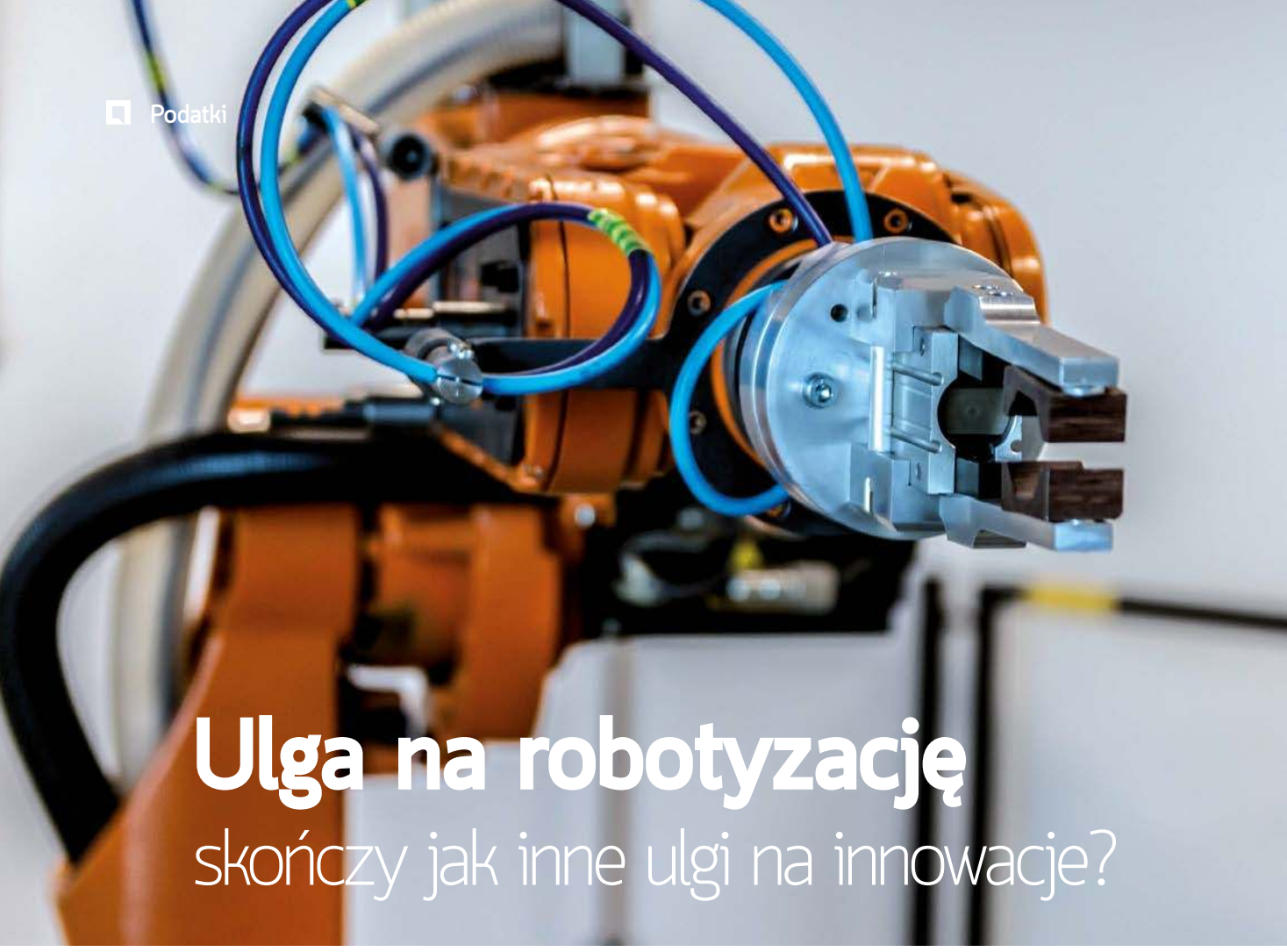

Ulga na robotyzację
skończy jak inne ulgi na innowacje?

Rząd planuje wprowadzenie w 2021 roku nowej ulgi na robotyzację. Ma ona być oparta na konstrukcji ulgi na badania i rozwój. Kłopot w tym, że z tej ostatniej korzysta znacznie mniej niż pół procenta podatników podatków dochodowych. Z nową ulgą może być niestety podobnie.

Marek **Kutarba**

Chcemy zwiększenia poziomu robotyzacji polskiej gospodarki. Przyczyni się to do jej modernizacji i polepszenia jakości i elastyczności produkcji oraz komfortu pracy. Zwiększenie produkcji przemysłowej przy pomocy robotów podnosi wydajność i zyskowność, a tym samym konkurencyjność firm. W dłuższej perspektywie ułatwia ekspansję eksportową – przekonywała wicepremier, minister rozwoju Jadwiga Emilewicz, w której resorcie powstał pomysł na nowe odliczenie.

Charakter czasowy

Sama ulga ma polegać na daniu możliwości odliczenia dodatkowych 50 proc. tzw. kosztów kwalifikowanych związanych z inwestycjami w robotyzację. Zgodnie z informacjami upublicznionymi przez resort finansów odliczenie od podstawy opodatkowania 50 proc. kosztów kwalifikowanych związanych z inwestycjami w robotyzację dotyczyć ma: zakupu lub leasingowania nowych robotów i kobotów, zakupu oprogramowania, zakupu osprzętu (np. torów jezdnych, obrotników, sterowników, czujników ruchu, efektorów końcowych), zakupu urządzeń bezpieczeństwa i higieny pracy (BHP) i zakupu szkoleń dla pracowników, którzy będą obsługiwali nowy sprzęt.

eprasa.pl 2fa82032cf

Nowe odliczenie miałoby obowiązywać już od 2021 roku, a wydatki można będzie odliczać do końca 2025 roku, czyli przez pięć lat. Ulga ma zatem charakter czasowy. Będzie za to powszechnie dostępna zarówno dla podatników podatku dochodowego od osób prawnych (CIT), jak i podatku dochodowego od osób fizycznych (PIT), i to niezależenie od wielkości firmy (podatnika) oraz branży, w której prowadzi ona działalność.

Samo rozliczanie ulgi sprowadzać się ma do tego, że wydatki poniesione na robotyzację przedsiębiorcy będą mogli odliczyć w ciągu roku podatkowego, a w momencie składania rocznego zeznania podatkowego dokonają dodatkowego odpisu (50 proc. kosztów kwalifikowanych), tak jak ma to dziś miejsce przy uldze na prace badawczo-rozwojowe (ulga B+R).

Prawie jak ulga B+R

Jak podkreśla Ministerstwo Finansów, konstrukcja ulgi (sposób dokonania dodatkowego odliczenia, stworzenie katalogu konkretnych wydatków, na które będzie obowiązywać ulga na robotyzację), została przygotowana na podstawie doświadczeń ulgi na badania i rozwój.

Z danych resortu wynika, że z ulgi B+R korzysta coraz więcej firm. Jak chwali się ministerstwo, w 2019 roku aż o 34 proc. (w porównaniu z 2018 rokiem) wzrosła liczba podmiotów, które wykorzystały ulgę na prace badawczo-rozwojowe. Z ulgi tej skorzystało w ubiegłym roku 1277 podatników CIT oraz 1192 podatników PIT (czyli – jak podaje resort finansów – o 54 proc. podatników PIT więcej niż rok wcześniej). Powstaje jednak pytanie, czy to istotnie tak oszałamiający wynik, a ulga okazała się sukcesem? Można w to wątpić.

Ministerstwo Finansów szacuje, że dzięki uldze liczba robotów zwiększy się w Polsce 2,5-krotnie.

Według danych Ministerstwa Finansów w 2018 roku (danych za 2019 rok jeszcze nie opublikowano) zeznanie roczne złożyło 507 006 podatników CIT. Gdyby w 2019 roku ich liczba była zbliżona, oznaczałoby to, że z ulgi B+R skorzystało, uwaga... 0,25 proc. wszystkich podatników CIT, którzy złożyli zeznanie. W przypadku PIT liczba podatników rozliczających się z działalności gospodarczej (według skali i według stawki liniowej) wyniosła 3 418 651 osób (dane za 2018 rok, brak danych za rok 2019). Czyli w tym przypadku z ulgi na B+R skorzystało około 0,03 proc. podatników.

Jak widać, zarówno w przypadku podatników CIT, jak i PIT, z ulgi na badania i rozwój korzysta grubo poniżej pół procenta podatników. Trudno zatem uznać, że zainteresowanie tym odliczeniem jest jakieś zaskakująco duże, mimo że istotnie z roku na rok korzystających jest więcej. Kłopot jednak w tym, że w liczbach bezwzględnych niewiele więcej. Ładnie wyglądają tylko wzrosty procentowe.

Imponująco wcale nie wyglądają też nakłady ponoszone w ramach ulgi. Według danych, które podaje Ministerstwo Finansów, od podstawy opodatkowania podatnicy CIT odliczyli w związku z tym niecałe 2,2 mld zł (a podatnicy PIT ledwie 275 mln zł). Dla porównania powiedzmy, że łączne przychody podatników CIT w 2018 roku wyniosły 5 813,5 mld zł, a ich dochód 437,6 mld zł. Nawet zatem w proporcji do wypracowanych dochodów, nakłady poniesione przez podatników i odliczone w ramach ulgi B+R nie są imponujące.

Niewielki koszt

Co więcej, w 2019 roku można było skorzystać po raz pierwszy z ulgi IP Box, przeznaczonej dla przedsiębiorców, którzy komercjalizują prawa własności intelektualnej (IP) pozyskane z własnej działalności badawczo-rozwojowej. Jak podało Ministerstwo Finansów, w 2019 roku korzystających z tego odliczenia podatników było 1650. A zatem znowu – z ulgi skorzystało grubo poniżej jednego procenta podatników.

Bardzo prawdopodobne, że podobną popularnością będzie cieszyła się także nowa ulga robotyzacyjna. Ministerstwo Finansów szacuje, że dzięki uldze liczba robotów zwiększy się w Polsce 2,5-krotnie. Na koniec 2018 roku było ich w Polsce około 13,6 tys., oznaczałoby to wzrost liczby robotów do około 34 tys. Wprowadzenie ulgi ma kosztować budżet około 150 mln zł w pierwszym roku jej obowiązywania i około 315 mln zł w ostatnim (piątym), będzie to zatem porównywalne do kosztów ulgi B+R. W sumie zatem koszt ulgi będzie niewielki w porównaniu do tego, co da resortowi finansów np. opodatkowanie CIT spółek komandytowych, które planowane jest już na rok 2021.

eprasa.pl 2fa82032cf

62 kilogramy złota za odsiecz wiedeńską

Gdy przez kilka najbliższych dni po zwycięskiej bitwie pod Wiedniem, do której doszło 12 września 1683 roku, Austriacy nawet nie dostarczyli żywności polskiemu wojsku, wielu żołnierzy Jana III Sobieskiego w słowach „Niechby ta pycha do szczętu wyginęła" wyrażało opinię, iż niewdzięczny cesarz niepotrzebnie otrzymał polską pomoc. Zapewne nikt z nich nie wiedział wówczas, iż do odsieczy Wiednia faktycznie mogło nie dojść. Za taką możliwość jedno z europejskich mocarstw chciało zapłacić... 62 kilogramy złota.

Jarosław **Mańka**

Bitwa pod Wiedniem była jedną z największych bitew w dziejach Europy. Obok Grunwaldu w historii Polski nie było zwycięstwa, które wywołałoby większe uznanie na świecie. Od Wysp Brytyjskich po azjatyckie stepy mówiono o polskim królu Janie III Sobieskim – pogromcy Turków i wielkim wodzu. Oczywiście Polacy spodziewali się wdzięczności Austriaków. O tym jednak, że na wdzięczność Habsburgów nie ma co liczyć, Sobieski mógł przekonać się krótko po zwycięstwie. Cesarz Leopold nie chciał godnie uczcić wkładu wojsk polskich w zwycięstwo pod Wiedniem. Zgodził się jedynie na to, by Sobieski 13 września jako pierwszy wkroczył do stolicy Austrii, gdzie został entuzjastycznie powitany. I na tym koniec.

Chłodno i z wyniosłością

Leopold I traktował polskich sojuszników chłodno i z wyniosłością. Cesarz Austrii nie zdjął kapelusza, gdy po bitwie prezentowano mu syna Sobieskiego – królewicza Jakuba. Nie uczynił też żadnego gestu, gdy podczas przeglądu wojsk pochylały się przed nim zwycięskie polskie sztandary.

Potem było już tylko gorzej. Austriacy nie dostarczyli polskim wojskom prowiantu i nie pozwolili wejść rycerzom do miasta. Zdarzały się nawet przypadki otwierania ognia do wygłodniałych Polaków, gdy ci próbowali dostać się do Wiednia po żywność. Austriacy utrudniali nawet pozyskanie statków potrzebnych do przewiezienia rannych do zorganizowanego w Preszburgu szpitala.

Rozgoryczony król, zaskoczony niewdzięcznością wiedeńczyków, pisał do królowej Marysieński: „Stoimy tu, nad brzegami Dunaju, jak kiedyś lud izraelski nad babilońską wodą, płacząc nad końmi naszymi, nad niewdzięcznością tak nigdy niesłychaną".

Lew Lechistanu z pewnością przypominał sobie wtedy, jakie były kulisy polskiej odsieczy Wiednia. Odsieczy, do której o mały włos, a wcale by nie doszło...

Radość Króla Słońce

Sobieskiego na tron Rzeczypospolitej wyniosła w dużej mierze sława zwycięzcy Turków w bitwie pod Chocimiem (w roku 1673). Nikt zresztą z europejskich monarchów nie cieszył się bardziej z elekcyjnego wyboru polskiej szlachty niż Król Słońce, czyli Ludwik XIV. Przyczyna była prosta – Lew Lechistanu zapowiadał się na wiernego sojusznika Francuzów. I tak początkowo było. Jan III Sobieski w pierwszych latach swoich rządów, zawiązawszy sojusz z Francją i Szwecją, bardziej zainteresowany był północnymi granicami Rzeczypospolitej, a ściślej mówiąc, inkorporacją Prus Książęcych niż wojną z Imperium Osmańskim. Nic z tych zamierzeń jednak nie wyszło m.in. za sprawą szlachty niechętnej przyszłej wojnie z elektorem brandenburskim.

Niepowodzenie bałtyckich planów Sobieskiego było jedną z przyczyn skierowania uwagi monarchy na południowe rubieże Rzeczypospolitej, wokół których było coraz bardziej gorąco.

W 1679 roku Sejm Rzeczypospolitej Obojga Narodów udzielił poparcia Sobieskiemu dla antytureckiej polityki i dla pozyskania sojuszników w planowanej rozprawie z Turkami. Polski król złożył wtedy propozycję sojuszu cesarzowi Austrii Leopoldowi I, który jednak odniósł się do tego z dużą rezerwą. Cesarz Austriaków był bowiem przekonany, że Turcja prędzej uderzy na Polskę lub Rosję niż na Austrię.

Sytuacja zmieniła się radykalnie we wrześniu 1682 roku, gdy przeciwko Austrii zbrojnie wystąpili Węgrzy. Wspierani przez Turcję Madziarzy wybrali na swojego króla (górnych Węgier) Emeryka Thököly'ego, który stał się lennikiem sułtana. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko wojnę między Imperium Osmańskim a Cesarstwem Austriackim. Taki obrót sprawy był z kolei na rękę Królowi Słońce, który życzył sobie widzieć ostateczną klęskę znienawidzonych Habsburgów, z którymi Francja toczyła długie i krwawe wojny. Ludwik XIV postanowił, że za wszelką cenę nie dopuści do sojuszu Wiednia z Warszawą.

Rola pewnego markiza

Jego plan miał zrealizować francuski poseł w Warszawie, markiz Franciszek Vitry de l'Hopital. Francuski dyplomata dysponował potężnym orężem – przebiegłością i pieniędzmi, które w połączeniu z przekupstwem większości polskich magnatów zdawało się gwarantować realizację planu.

I rzeczywiście, stronnictwo francuskie wśród posłów Rzeczypospolitej, opowiadające się przeciwko sojuszowi z Habsburgami, szybko rosło w siłę podsypywane francuskimi złotem. Jednak Sobieski postanowił przeciwdziałać. Polski król prowadził już

eprasa.pl 2fa82032cf

pertraktacje traktatowe z wysłannikiem Leopolda I w Jaworowie i Warszawie pod koniec 1682 roku i na początku roku 1683 . Szybko zwołał też sejm na 27 stycznia 1683 roku. Oczywiście bardzo energicznie działał też i markiz Vitry de l'Hopital, który w pewnym momencie postanowił... przekupić polskiego monarchę (skoro łatwo poszło z magnatami).

I tutaj trafiła kosa na kamień. Jak pisze austriacki historyk Sachslehner, francuski poseł zaoferował polskiemu królowi ni mniej, ni więcej tylko „Sto tysięcy liwrów, o ile ten zrezygnuje z sojuszu z cesarzem, lecz polski władca bez wahania odrzucił propozycję posła, mówiąc, że pieniądze nie są w stanie skłonić go do działania, którego nie potrafiłby pogodzić z własnym poczuciem obowiązku".

Królewska łapówka

Była to kwota, która z pewnością na Sobieskim zrobiła wrażenie. Sto tysięcy liwrów to równowartość 62 kilogramów złota. Można by rzec – iście królewska łapówka.

Na szczęście rodzina Sobieskich do biednych nie należała, a i królowi na sercu leżało, by Rzeczpospolita była podmiotem, a nie przedmiotem polityki międzynarodowej. Jan III postanowił ukrócić działania francuskiego posła, który nad Wisłą zachowywał się jak udzielny władca. Skoro można było kupić Polaków przez Francuzów, to czemu nie spróbować kupić Francuzów przez Polaków? Nic prostszego.

Wkrótce agentom Sobieskiego udało się przekupić dwóch pracowników francuskiego poselstwa, dzięki którym polski monarcha wiedział o każdym ruchu markiza. Agenci króla Jana III znaleźli też sposób na to, by sprawdzać listy wysyłane do Paryża pocztą przez Gdańsk. Brakowało jedynie twardych dowodów. Aby je zdobyć, Polacy posunęli się nawet do napadu na kurierów księcia elektora brandenburskiego, z których usług korzystał de Vitry. W ten sposób w polskie ręce wpadła tajna korespondencja kompromitująca polskich dostojników biorących pieniądze od markiza Vitry.

fot. PAP/Jakub Krupa

Zwycięstwo Jana III Sobieskiego **było całkowite**

Podczas posiedzenia Sejmu 16 marca 1683 roku wydawało się, że markiz Vitry ma zwycięstwo w kieszeni. Podczas obrad członkowie potężnej „partii francuskiej" rozpowszechniali broszury i ulotki nawołujące do niezawierania sojuszu z Habsburgami.

List z komentarzem

Sobieski odpowiedział na atak „partii francuskiej" bardzo inteligentnie. Najpierw posłowie zapoznali się z raportem Samuela Proskiego – polskiego rezydenta w Stambule, który donosił o zakrojonych na szeroką skalę zbrojeniach Wysokiej Porty. Następnie król nakazał odczytać przechwycone, skopiowane i odszyfrowane (sic!) listy francuskiego ambasadora do Ludwika XIV, w których wymienione są sumy wypłacone przekupnym senatorom. List dodatkowo opatrzony był upokarzającym komentarzem o do cna skorumpowanej polskiej szlachcie, z którą za pieniądze można robić „co się żywnie podoba".

Przechwycone listy obciążyły wielu czołowych polskich dostojników – podskarbiego Jana Andrzeja Morsztyna (który oprócz poezji barokowej nie mniej cenił poezję pieniądza), hetmana wielkiego koronnego Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, wojewodę ruskiego Stanisława Jabłonowskiego i wielkiego hetmana litewskiego Kazimierza Jana Sapiehę. Szlachta po odczytaniu listów francuskiego posła była oburzona.

Wymienieni podczas obrad Sejmu senatorowie mieli się z pyszna – jawili się w kontekście realnego tureckiego zagrożenia jako wrogowie i zdrajcy Ojczyzny. Dalszy rozwój wypadków nie był już dla nikogo zaskoczeniem.

Poeta Morsztyn został usunięty z urzędu i stanął przed sejmowym trybunałem. Ostatecznie uniknął kary, gdyż nie udało się rozszyfrować jego listów pisanych do Francuzów. Morsztyn zawdzięczał to zapobiegliwości żony, która zawczasu spaliła klucz szyfrowy. Podskarbi musiał jednak opuścić kraj; udał się z rodziną do Paryża. Za niepowodzenie misji w Warszawie stanowiskiem

eprasa.pl 2fa82032cf

zapłacił również markiz de Vitry, którego odwołania zażądał sam Sobieski.

Jakie sumy wydała Francja na polskich przekupnych magnatów? Tego nie wiadomo, ale wziąwszy pod uwagę „królewską ofertę" 100 tys. liwrów, musiała to być góra pieniędzy, która w przypadku realizacji planu Ludwika XIV i tak by się Francji opłaciła. Wyjątkowo tym razem się nie udało. Lew Lechistanu nie żałował z kolei pieniędzy na swoich agentów i szyfrantów.

500 tys. zł od króla

Sobieski oczywiście wykorzystał nastroje wśród szlachty i szybko przeforsował sojusz z cesarzem. Ostatecznie traktat z Austrią został podpisany 1 kwietnia 1683 roku (następnie antydatowany na 31 marca ze względu na funkcjonujący już w XVII wieku... prima aprilis). Na mocy traktatu Rzeczpospolita miała wystawić 40-tys. armię, Austria – 60-tys. Cesarz zobowiązał się też subsydiować wystawienie polskiej armii kwotą 360 tys. florenów oraz kwotą 150 tys. florenów wojska Hieronima Lubomirskiego. Wkrótce w Rzeczypospolitej rozpoczęły się zaciągi do armii. Sam król z własnej kiesy wyłożył 500 tys. zł na wojsko.

Tymczasem już w połowie lipca oddziały dowodzone przez wielkiego wezyra Kara Mustafę znalazły się pod Wiedniem i rozpoczęły jego oblężenie. Liczyły one ponad 100 tys. żołnierzy (niektóre źródła szacują ich liczebność nawet na 300 tys.). Była to największa armia, jaką Turcy zmobilizowali w XVII wieku. Wiedeń miał wprawdzie silne fortyfikacje i odpowiednią liczbę dział, ale wojska Kara Mustafy były w tym czasie wyspecjalizowane w zdobywaniu fortec. Cesarz austriacki musiał ewakuować się w głąb kraju. Pomoc Rzeczypospolitej stała się dla Austrii sprawą gardłową.

16 lipca do Jana III Sobieskiego dotarł posłaniec cesarza Leopolda z prośbą o pomoc. Król ruszył niezwłocznie z tymi siłami, które udało się zebrać, czyli z 27-tys. armią. Po drodze zatrzymał się na Jasnej Górze i w Piekarach Śląskich, gdzie przed obrazami Matki Bożej błagał o zwycięstwo.

3 września w Tulln nad Dunajem król przejął dowodzenie nad całością wojsk austriackich, niemieckich i polskich, liczących łącznie 70 tys. żołnierzy. 12 września pod murami Wiednia rozegrała się jedna z największych bitew w dziejach Europy. Zgodnie z planem króla na zaskoczonych Turków ze wzgórza Kahlenberg runęła rozstrzygająca szarża husarii.

Zwycięstwo Jana III Sobieskiego było całkowite. Zginęło 20 tys. Turków, podczas gdy po stronie wojsk sprzymierzonych poległo 1500 rycerzy, z czego połowa to Polacy. Zaraz po zwycięskiej bitwie, w nocy, w zdobycznym namiocie wezyra król napisał dwa listy. Jeden do papieża Innocentego XI ze słowami venimus, vidimus et Deus vicit (Przybyliśmy, zobaczyliśmy i Bóg zwyciężył), drugi do małżonki Marysieńki, zaczynając od słów: „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały".

Odsiecz wojsk polskich przybyła **w ostatniej chwili**

Zero wdzięczności

Odsiecz wojsk polskich przybyła w ostatniej chwili. Król w kolejnym liście do Marysieńki napisał, że widząc zniszczenia, jakie Turcy uczynili w Wiedniu, obrona miasta upadłaby w ciągu pięciu dni. Niestety, kolejne dni po bitwie i zachowanie cesarza Leopolda I były afrontem dla króla i wojsk polskich. Sobieski pisał w listach, iż ranni polscy rycerze leżą „na gnojach", na próżno oczekując godnej opieki.

Podczas pisania tego artykułu nachodzi mnie pytanie, czy Jan III Sobieski kiedykolwiek wspomniał cesarzowi Leopoldowi o tym, iż Francja chciała go przekupić równowartością 62 kg złota po to, by odsiecz wiedeńska nie doszła do skutku? Dzisiaj, także biorąc pod uwagę historię z pomnikiem odsieczy wiedeńskiej (władze austriackiej stolicy nie zgodziły się, by takowy pomnik, dar Polaków, znalazł się na Wzgórzu Kahlenberg), trudno mówić o jakiejkolwiek wdzięczności Austriaków. I wcale jej nie oczekujmy. Pilnujmy za to własnych interesów.

eprasa.pl 2fa82032cf

Piotr **Hofman**

Duzi dla małych, czyli sposób na wsparcie MŚP

Od momentu powstania Ministerstwa Aktywów Państwowych zarysowuje się nowe podejście do roli spółek Skarbu Państwa w gospodarce. Z jednej strony to oczywiste, że powinny koncentrować się one na własnej działalności, wypracowywaniu zysku i zapewnieniu bezpieczeństwa państwa w danym sektorze (energetycznym, paliwowym, finansowym itp.), z drugiej – nic przecież nie stoi na przeszkodzie, by pełniły również funkcję motoru, którego moc pozwoli uzyskać odpowiednią dynamikę także mniejszym przedsiębiorstwom. Dzięki temu spółki te mogłyby (a w zasadzie powinny) stać się ogromnym wsparciem dla całego sektora MŚP. To taka koncepcja, którą można zamknąć w stwierdzeniu „duzi dla małych". Niewątpliwie taki segment działalności polskich czempionów powinien być pewnego rodzaju misją, szczególnie we wspieraniu innowacyjności i konkurencyjności kooperantów, z którym spółki wchodzić będą w biznesowe relacje. Czas odbudowy gospodarki po lockdownie związanym z pandemią to doskonały moment, by taką koncepcję na poważnie zacząć realizować.

Chodzi o to, by spółki Skarbu Państwa budowały takie organizmy, które wokół nich pozwolą funkcjonować innym, mniejszym podmiotom. Słusznie w lipcowym numerze „Forum Polskiej Gospodarki" zauważył prezes Kongresu 590 Remigiusz Kopoczek, że to nie tylko kwestia kontraktów czy prowadzenia wspólnych interesów, ale samego faktu, że duża firma pokazuje dobre praktyki, jakie wprowadziła i jakie sprawiły, że dynamiczniej się rozwija. Bo tak naprawdę ci duzi mogą wspomóc tych mniejszych na wiele sposobów: pod względem technologicznym, marketingowym, w kwestii działania z kooperantami, w kulturze pracy, odpowiedniej obsłudze klienta itd. Kształcić, edukować, wspierać, pokazywać nowe trendy. Płaszczyzn do wspólnego działania jest wiele.

Taka współpraca będzie dla firm z sektora MŚP nieoceniona. Tym bardziej że przecież wiele z tych firm nie stać na jakieś skomplikowane i drogie analizy, badania rynku czy eksperymenty technologiczne. To byłby niezwykle cenny wkład spółek Skarbu Państwa w rozwój całej naszej gospodarki.

Na razie o współpracy dużych podmiotów z sektorem MŚP mówi się raz na jakiś czas, głównie przy głośnych inwestycjach, jak przekop Mierzei Wiślanej czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego. Takie inwestycje – co oczywiste – powinny być olbrzymią okazją dla polskich małych i średnich firm. Do tego, by firmy te mogły zarobić, zbudować rozpoznawalność marki i się rozwijać. Ale za hasłem „duzi dla małych" kryje się coś więcej – zbudowanie pewnego naturalnego mechanizmu współdziałania w każdych warunkach i przy każdej okazji. Być może do stworzenia takiego mechanizmu przyczyni się nowa ustawa Prawo Zamówień Publicznych, która wejdzie w życie 1 stycznia 2021 roku. Według zapewnień tych, którzy nad nią pracowali, ma ona dać poważny impuls prorozwojowy średnim i małym firmom, w których dominuje polski kapitał. Dobre prawo z jednej strony, dobra praktyka w spółkach Skarbu Państwa z drugiej – to wszystko może sprawić, że hasło „duzi dla małych" zacznie być skutecznie realizowane. Oby tak było.

eprasa.pl 2fa82032cf

Konkretne wygrane padają dzień po dniu

Mini Lotto

za jedyne 1,50 zł

Codziennie możesz wygrać nawet 400 000 zł

Dołącz do grona wygranych!

18+ W gry liczbowe i loterie mogą grać osoby, które ukończyły 18 lat.

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

eprasa.pl 2fa82032cf

Ogólnopolski Dzień
Młodych Sportowców
Olimpiad Specjalnych
Warszawa 2020

Dziękujemy, że jesteśmy RAZEM!

Warszawa, 2-4 października 2020 r.

Z dumą wspieramy rozwój wielkiej rodziny Olimpiad Specjalnych w Polsce. Uczciwa rywalizacja, integracja osób z niepełnosprawnościami, szacunek, akceptacja oraz poczucie wspólnoty – są bardzo bliskie wartościom Huawei. Jesteśmy obecni w Polsce od 16 lat i angażujemy się w inicjatywy wspierające integrację społeczną, pomoc potrzebującym i walkę z wykluczeniami wszelkiego typu.

#GrajmyRazem

HUAWEI

eprasa.pl 2fa82032cf